



# *Anne Stuart*



*Bez wstydu*

# Rozdział pierwszy

*Londyn, 1842 rok*

Benedick Francis Alistair, szósty wicehrabia Rohan, powrócił do Londynu, gdyż miał do wykonania zadanie. Zamierzał znaleźć stosowną żonę i spłodzić potomka. Poza tym nabrał niesłychanej wręcz ochoty na cielesne igraszki. Pragnął kobiety na tyle biegłej w sztuce miłości, by nie mógł mówić ani ruszać się przez co najmniej cztery godziny po akcie. Jego ostatnia metresa była radosna i uległa, lecz niestety umiarkowanie pomyślowa. Nie zamierzał jednak brać sobie nowej kochanki. Tym razem zamarzyła mu się odmiana. Chciał obcować z każdą niewiastą, która wpadnie mu w oko, młodą czy starą, grubą czy chudą, ładną czy pospolitą. Pragnął wyłącznie rozkoszy, a Londyn znakomicie nadawał się do zaspokojenia takich potrzeb.

Benedick czuł się znużony wiejską posiadłością w Somerset, a jeszcze bardziej domem rodziców w Dorset. Brat Charles działał mu na nerwy, razem z nadętą żoną i zarozumiałymi dziećmi. Z kolei domostwo siostry w Krainie Jezior było dla Benedicka niedostępne, gdyż z chęcią zamordowałby szwagra, gdyby tylko nadarzyła się ku temu okazja. Inna sprawa, że uwielbiał siostrzeńców, mimo że ich ojciec to potomek szatana nazywany przez wszystkich Skorpionem, czyli osławiony Lucien de Mahleur.

Przynajmniej dom przy Bury Street był wolny od kochających, lecz wścibskich rodziców oraz innych osób, które zanadto wtrącają się w jego sprawy. Benedick doskonale zniósł ponowne owdowienie. Druga żona zmarła przy porodzie, podobnie jak pierwsza, doszedł zatem do wniosku, że najlepiej będzie ożenić się z kimś, kto wydawał się stworzony do rodzenia dzieci. Nie kochał Barbary tak jak Annis, jednak jej śmierć sprawiła mu przykrość. Rok formalnej żałoby na szczęście dobiegł końca i Benedick powrócił.

Nawet wybrał już sobie nową narzeczoną. Panna Dorothea Pennington wydawała mu się odpowiednia pod każdym względem. Choć nie pensjonarka, w wieku dwudziestu trzech lat nadal była całkiem młoda i dość silna, aby obdarzyć go dziećmi, których potrzebował, oraz na tyle dobrze wychowana, by nie sprawiać kłopotów. Wiedział, że kiedy już ją poślubi, nie będzie musiał zawracać sobie nią głowy.

Gdyby miała pecha i zmarłaby po obdarzeniu go co najmniej dwoma potomkami płci męskiej, bez trudu by się z tym pogodził. Nie rozpaczałby głęboko, jak po śmierci pierwszej żony. Miał bowiem wrażenie, że każda kobieta, na tyle pechowa, by go poślubić, skazana była na rychłe zejście z tego świata. Szczęście w kartach, nieszczęście w miłości, jak głosiło stare porzekadło, a Benedick uchodził za pierwszorzędnego gracza.

Już miał zastukać laską w drzwi frontowe, kiedy nagle otworzyły się szeroko i stanął w nich majordomus Richmond.

- Wasza lordowska mość! Nie mieliśmy pojęcia, że wasza lordowska mość powróci do nas dzisiaj - powitał Benedicka z nietypową dla siebie wylewnością, po czym się odsunął, by go wpuścić. - Dom jest gotów, naturalnie, ale gdybym wiedział, zamówiłbym świeże kwiaty.

- Nie zawracaj sobie tym głowy, Richmond - odparł Benedick. Zdjął płaszcz i rękawiczki, a następnie wręczył je majordomusowi. - Kwiaty to najmniejsze z moich zmarwień. Potrzebuję gorącej kąpieli, posiłku i drzemki, a także nieco spokoju, nim zdołam stawić czoło światu.

Richmond wydał z siebie charakterystyczny, dyskretny pomruk, którym się posługiwał, kiedy pragnął przekazać niemile nowiny.

Benedick zamarł w drodze na schody.

- No mów, staruszkule - zachęcił majordomusa, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiała irytacja.

Richmond był jednym z niewielu ludzi, których Benedick starał się chronić przed swoimi napadami złego humoru. Znał go od dzieciństwa i choć majordomus skakał nad nim jak inni, robił to niezbyt natrętnie. Był doskonałym służącym, przewidywał każde pytanie i każdą potrzebę.

Drugą ludzką istotą, która umiała wzbudzić w Benedicku wyrzuty sumienia, była jego matka, ale na szczęście wraz z mężem podróżowała obecnie po Egipcie.

- Panicz Brandon jest tutaj, wasza lordowska mość.

- Brandon? Tutaj? - Poczul jednocześnie zdumienie i irytację. - Myślałem, że wyjechał do Szkocji. Od dawna tu tkwi?

- Od dwóch miesięcy, wasza lordowska mość - odpowiedział Richmond wymownym tonem.

Brandon miał kłopoty, co nikogo nie dziwiło. Z wojny afgańskiej wrócił jako inny człowiek. Już nie przypominał wesołego młodzieńca, który zaciągnął się do armii w nadziei na przygodę życia.

- Gdzie jest?

- Wypoczywa w swoich komnatach, wasza lordowska mość.

Była czwarta po południu. Wcześniej Brandon wstawał razem z kurami i nim słońce wzeszło, udawał się na konną przejażdżkę.

- Zachorował? - spytał Benedick.

- Nie wydaje mi się, wasza lordowska mość. Przebywa w błękitnym pokoju na górze, na końcu korytarza.

Benedick ruszył tam szybkim krokiem. Irytacja i troska walczyły w nim o pierwszeństwo - zwyciężyła irytacja. Kiedy dotarł do sypialni na końcu korytarza na piętrze, bez pytania otworzył drzwi, wszedł w mrok i natychmiast rozsunął zasłony, wpuszczając do środka jasne, popołudniowe światło.

Sylwetka na łożu nawet nie drgnęła. Benedick poczuł strach, lecz natychmiast nad nim zapanował. Energicznie podszedł do łoża i szarpnął za kołdrę, pod którą ujrzał Brandona. Leżał na brzuchu, nadal w bryczesach.

Był bardzo chudy. Blizny po lewej stronie jego torsu goiły się bardzo powoli i na pewno mocno dawały się we znaki. Benedick wiedział, że w takich wypadkach litość jest niewskazana, więc postanowił nie dopuścić jej do głosu.

- Wstawaj, żalсна kreaturo, i mów, co tu robisz! - zażądał.

- Odejdź - wymamrotał Brandon z twarzą ukrytą w poduszce.

- Mało prawdopodobne. To mój dom, jesteś tutaj na łasce mojej gościnności. Dlaczego wyjechałeś ze Szkocji?

Brandon powoli przewrócił się na plecy i nawet w niezbyt intensywnie oświetlonej sypialni Benedick nie mógł nie zauważyć, jak zniszczona jest jego niegdyś przystojna twarz. Pocisk z moździerza, który zabił dowodzącego oficera oraz siedmiu towarzyszy broni, oszpecił również połowę oblicza Brandona. Nawet teraz na ten widok Benedick

czuł złość. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu uważał, że powinien był ustrzec najmłodszego brata i nie dopuścić do katastrofy. Mimo to wiedział, że nawet gdyby ojciec odmówił wykupienia stopnia oficerskiego, Brandon tak czy inaczej by się zaciągnął. Miał obsesję na punkcie wojska i marzył, by zostać bohaterem.

I został, w rzeczy samej. Bohaterem oraz cieniem dawnego siebie.

- Napatrzyłeś się, Neddie? - spytał Brandon, używając dziecięcego przydomka Benedicka. Tylko rodzeństwo mogło zwracać się do niego w ten sposób. - Ślicznie wyglądam, prawda?

- Goi się - odparł Benedick bez śladu współczucia w głosie. - Co robisz w łóżku o tej porze?

- Zostałem stworzeniem nocy? Kto by chciał patrzeć w świetle dnia na coś takiego?

- Nie sądziłem, że lubisz roztkliwiać się nad sobą - oznajmił Benedick pogardliwie.

Brandon wykrzywił usta w parodii uśmiechu.

- Eksperymentuję z doznaniem, braciszku. Mnóstwo rzeczy jest dla mnie całkiem nowe. - Opuścił nogi na podłogę. - Pewnie teraz zawiadomisz rodziców, że nie pojechałem do Szkocji.

- A po co? Tylko by się zmartwili, a wiem, jak męcząca bywa ich troska. Gdyby tu przyjechali, żeby się tobą zająć, mnie również by nie odpuścili. Nie, mój mały, nie pisnę ani słowa. Czy to dlatego wybrałeś dom na Bury Street? Żeby nikt na ciebie nie doniósł?

- Dobrze mnie znasz. - Brandon nadal uśmiechał się bez cienia wesołości. - Tak jak ja ciebie. Nie ma nadziei, żebyś pozwolił mi jeszcze pospać, prawda?

- Mało prawdopodobne. Gdzie się włoczyłeś, skoro tak późno wróciłeś do domu?

- Nie twój interes - odparł Brandon słodkim tonem. - Mam przyjaciół.

- To oczywiste. Znam ich?

- Bez wątplenia. Ale nie zostaniesz zaproszony.

- Dokąd?

- Nie twój interes, do diaska.

- Teraz tak będziemy rozmawiali? - warknął wytrącony z równowagi Benedick.

- Owszem, dopóki będziesz zadawał mi pytania, na które nie mam najmniejszej ochoty odpowiadać. Nie przejmuj się, przeniosę się do hotelu do czasu znalezienia odpowiedniego lokum, skoro...

- Uspokój się - przerwał mu Benedick z irytacją. - Zostaniesz tutaj. Prawdę mówiąc, ani trochę nie obchodzi mnie, co robisz, dopóki nie będziesz przeszkadzał mi w planach na następne dwa tygodnie.

- A cóż to za plany?

- Zamierzam się zaręczyć i oddawać przeróżnym cielesnym przyjemnościom.

- Rozumiem, że nie z tą samą kobietą... Bo ograniczysz się do kobiet, prawda?

W głosie Brandona dał się słyszeć dziwny ton, jakby żartował z brata tylko pro forma.

Benedick stłumił niepokój i przeszył go wyniosłym spojrzeniem.

- Pod tym względem raczej pozostanę konserwatywny - odparł. - I nie sądzę, by szacowna panna Pennington nadawała się do zaspokojenia moich palących potrzeb.

- Ona zostanie twoją żoną? - Brandon zaśmiał się bez cienia wesołości. - Co za brak wyobraźni. No cóż, skoro i tak ma umrzeć przy porodzie, to chyba dobrze, że decydujesz się na kogoś równie oschłego i wyniosłego, jak ty. Pennington doskonale się nada. Przy okazji, skoro nie ona ma zaspokoić twoje sypialniane wymagania, to kto?

- Chyba zacznę od Violet Highstreet, jeśli uda mi się ją znaleźć. Podobno odeszła z przybytku pani Cadbury.

- Doskonały wybór - mruknął Brandon. - Podam ci jej nowy adres. Pewnie będzie zachwycona, mogąc odwiedzić cię dzisiejszego wieczoru. Obawiam się, że wyśmienity przybytek pani Cadbury zamknął podwoje. Będziesz musiał znaleźć sobie nowe źródło uciech. Tymczasem wychodzę i nie pytaj dokąd.

- Wybacz słabość, którą okazałem, przez krótką chwilę interesując się twoimi poczynaniami, braciszku - westchnął Benedick. - Możesz sobie iść do diabła, ani trochę mi to nie wadzi.

- Tam właśnie zmierzam - oznajmił Brandon z szelmowskim uśmiechem.

## Rozdział drugi

Szósta po południu nie należała do najbardziej konwencjonalnych pór na sypialniane uciechy, ale Benedick, wicehrabia Rohan, nic sobie z tego nie robił. Pobyt w Somerset wiązał się z przymusową wstrzeźliwością, a odkąd pół roku wcześniej ostatnia kochanka odeszła od Benedicka po pełnej wyrzutów scenie, żył on w przygnębiającym celibacie. Chciał jak najszybciej o tym zapomnieć, najlepiej dzięki towarzystwu Violet o ponętnych ustach. Ze wszystkich dziewcząt pani Cadbury Violet była najbardziej biegła w tej ulubionej Benedicka pieszczocie. Po miłosnym preludium zamierzał zabawić się bardziej tradycyjnie, a być może nawet udać się do klubu, by sprawdzić, kto obecnie przebywa w mieście.

W tym momencie jednak mógł myśleć jedynie o karminowych wargach La Violette.

Skoro przybytek Emmy Cadbury już nie działał, Benedick musiał znaleźć nowy dom uciech pełen entuzjastycznych i chętnych dziewcząt. Kobiety w Londynie można było podzielić na dwie kategorie. Do jednej należały cnotliwe żony i wdowy oraz dziewice, wszystkie poza kręgiem zainteresowań Benedicka. Do drugiej rozwiązałe wdówki i mężatki pragnące wyłącznie rozkoszy bez zobowiązań. I je właśnie Benedick cenił sobie najbardziej. Tuż za nimi plasowały się kurtyzany oraz metresy i dziewczęta pod opieką pięknych mesdames typu pani Cadbury, w których domach wisiały kryształowe żyrandole i podawano najlepszego szampana. Czasem takie dziewczęta trafiały do bardziej przygnębiających przybytków dogładanych przez ponure, stare wiedźmy. Naturalnie były też rozmaite ulicznice, ale tych Benedick starał się unikać, by nie ryzykować choroby. Tak czy inaczej, miał ogromny wybór i nie zamierzał czegokolwiek sobie odmawiać, poczynając od Violet Highstreet. Był rozochocony jak nastolatek i nie mógł się doczekać bliskiego spotkania z uroczą i chętną damą.

Usiadł w jednym ze skórzanych foteli w gabinecie, wyciągnął przed siebie długie nogi i znieruchomiał w oczekiwaniu na jej przybycie.

Lady Melisanda Carstairs, wdowa po sir Thomasie Carstairsie, lepiej znana jako „Samaritanka” ze względu na swe dobroczynne zapędy, tak irytujące śmietankę towarzyską, podniosła wzrok znad pozłocanego biurka w stylu Ludwika XV i zmarszczyła brwi. Na jednym z listów, które pisała, pojawił się olbrzymi kleks i pobrudził jej palce. Nic nowego, nieustannie wypisywała petycje do Izby Lordów oraz Izby Gmin i nieustannie była ignorowana, więc poplamione palce nie należały do rzadkości. Przecież właśnie do ich ukrywania stworzono rękawiczki, czyż nie?

Działo się jednak coś dziwnego. Przysięgłaby, że słyszała kroki na schodach, a jednak nikt nie zajrzał, żeby z nią porozmawiać bądź sprawdzić, co robiła. Mieszkanek Carstairs House, zwanego również Gołębniczkim, było dwadzieścia, a każda z nich zaliczała się do grona kobiet upadłych, zbrukanych gołąbeczek, czy też nieszczęśnic, jak kto woli. Wszystkie wyrwały się z oków upadającej profesji i obecnie zdobywały nowe umiejętności, takie jak prowadzenie gospodarstwa, szycie i gotowanie. Kilka z nich miało nawet większe ambicje - pragnęły zatrudnić się jako kopistki, guwernantki albo towarzyszk starszych dam.

Praca szwaczki czy modystki przynosiła mniejsze zyski niż obsługa mężczyzn w ciemnych alejkach, ale była znacznie bezpieczniejsza. Poza tym Melisanda dysponowała funduszami od kilku spółdzielni gotowych zatrudniać dziewczęta, dawać im przyzwoite posiłki i zapewnić czyste lokum. Przy odrobinie szczęścia mogły nawet wyjść za mąż.

Emma Cadbury, jej uzdolniona zastępczyni miała szansę zostać guwernantką, choćby w rodzinie jakiegoś zamożnego kupca. Ktoś, kto musiał pracować na swoją pozycję, na pewno potrzebował dobrze ułożonej damy, która nauczyłaby jego niezdarne córki reguł obowiązujących w wyższych sferach. Inna rzecz, że Melisanda bardzo nie chciała jej odejścia. Choć ona i trzydziestodwuletnia Emma były niemal rówieśnicami, dzieliła je przepaść. Melisanda zdawała się na przyjaciółkę w mniej przyjemnych dziedzinach życia, gdyż jej samej czasami brakowało praktycznego zmysłu i przyjmowałaby pod swój dach każdą zbrukaną duszyczkę. Jednak Emma na szczęście wiedziała, kto zasługuje na szansę i przestrzegала ją przed niektórymi dziewczynami. Melisanda zawsze



jej słuchała. Nie mogła narażać swoich wysiłków, nadaremnie próbując resocjalizować kogoś, kto wcale nie miał na to ochoty.

Taka choćby Violet Highstreet nadal stanowiła wielki znak zapytania. Gdy Emma zamknęła swój dom uciech, piękna Violet trzymała się jej w nadziei na komfortową przyszłość. Niestety, dziewczyna nie była zbyt bystra, a do tego całkowicie pozbawiona ambicji i niezainteresowana znalezieniem alternatywnego sposobu zarobkowania.

- Potrzeba jej męża - oznajmiła Melisandzie Emma podczas kolacji pewnego wieczoru. Dziewczęta poszły już spać, a przyjaciółki omawiały najbardziej palące problemy. - Nie przepracowała uczciwie ani dnia i wątpię, aby była do tego zdolna. Nadaje się tylko do jednego. Mężczyzna, który ją zagarnie, będzie wielkim szczęściarzem, gdyż Violet dysponuje niezwykłym talentem. Miejmy nadzieję, że przyszły mąż zechce zignorować jej przeszłość i intelektualne braki.

- O jakim talencie mówisz? - powtórzyła Melisanda ze zdumieniem. - Cóż jest takiego niezwykłego w jej zajęciu?

- Niezwykle biegle posługuje się ustami. - Emma skrzywiła się lekko. - Najlepiej w całym Londynie.

- To znaczy, umie świetnie się całować czy śpiewać?

Emma wybuchnęła śmiechem.

- Ty moja biedna, niewinna istoto - powiedziała czule. - Umie coś, co ani trochę nie przypomina śpiewania. Potrafi znakomicie zaspokoić mężczyznę ustami.

- Ale jak? - spytała Melisanda zaintrygowana, a Emma wszystko jej wyjaśniła.

Odtąd Melisanda nie umiała już patrzeć na Violet, nie czując się przy tym nieco rozkojarzona. Na samym początku było jej wręcz niedobrze, ale teraz pozostała jedynie ciekawość. Ona bowiem nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Nie pocałowałaby nawet męskich ust, a co dopiero...

Znów się zarumieniła i wstała od biurka, po czym podeszła do okna, by wyrzec na ulicę. Odziedziczyła Carstairs House po mężu, który pewnie przewracał się w grobie na wieść, jak wdowa robi użytek z domu. Tak naprawdę jednak Melisanda miała dużo pieniędzy i nadmiar czasu, a na świecie było zbyt wiele cierpienia. Chętnie sprowadziłaby jeszcze więcej dziewcząt, gdyby nie brakowało miejsca. Trzeba przyznać, że sąsiedzi nie

byli specjalnie zachwyceni jej pomysłem. Melisandę jednak ich opinie interesowały w takim samym stopniu, jak pośmiertne zmartwienia małżonka.

Teraz na przykład ciekawiło ją wyłącznie to, kto skradał się po schodach w czasie, gdy większość dziewcząt jadła kolację lub doskonaliła sztukę czytania i pisania.

Nagle drzwi do gabinetu otworzyły się i stanęła w nich Betsey. Najmłodsza mieszkanka Gołębniczka miała zaledwie dwanaście lat i większość życia spędziła w lupanarze, gdzie pracowała jej matka. Dwa lata wcześniej wylądowała na ulicy, a udało jej się przetrwać wyłącznie dzięki bystrości i starszej siostrze. Nikt jej nie tknął, ale kto wie, co by się stało, gdyby obie dziewczyny nie trafiły do Melisandy. Wszystkie kobiety w domu traktowały Betsey niczym maskotkę. Z grzywą rudych włosów i urokliwym uśmiechem ogromnie różniła się od innych mieszkanek Carstairs House.

- Pamiętaj o tym, żeby pukać, Betsey - upomniała ją Melisanda łagodnym tonem, próbując zignorować niepokój.

Przynajmniej to nie Betsey wymykała się z domu, kiedy nikt nie patrzył. Dziewczynka była urodzoną łobuzicą, na dodatek upartą jak sama Melisanda, ale na dłuższą metę nie dałaby sobie rady na ulicy.

- Przepraszam, panienko, znaczy się, jaśnie pani - powiedziała radośnie Betsey. - Tu jest karteczka.

Trzymała w dłoni gruby pergamin i nawet z tej odległości Melisanda zobaczyła zamaszyste, męskie pismo.

- Dla mnie?

- Nie, jaśnie pani. Dla Violet. Nie umiem za dobrze czytać, ale ona tylko spojrzała i od razu wybiegła. Nikt nie wie, gdzie teraz jest.

Violet. Oczywiście, Violet. Melisanda przeszła przez pokój i wyjęła papier z ręki dziecka. Powinna była kazać Betsey podejść, ale czuła się zbyt zaniepokojona, żeby marnować czas na lekcje etykiety.

- Zazwyczaj nie czyta się poczty przeznaczonej dla innych - oświadczyła ze zmarszczonymi brwiami. - Ale to jest wyjątkowa sytuacja.

- Ojoj - powiedziała Betsey, niewątpliwie zaniepokojona.

I rzeczywiście, sytuacja była wyjątkowa. Violet postanowiła odwiedzić wicehrabiego Rohan w jego miejskim domu na Bury Street. List nie wyrażał prośby, tylko wezwanie.

Melisanda zakłęła szpetnie, czym jeszcze bardziej zaimponowała Betsey.

- Podaj mi czepek i pelisę - poleciła jej, gniotąc dokument w dłoni. - Wychodzę.

TLR

## Rozdział trzeci

Gdy Benedick przeszedł do mniejszego salonu na piętrze, pomyślał, że La Violette jest piękna jak zawsze. Już wcześniej postanowił wykorzystać wszystkie pomieszczenia w tym domu do swoich lubieżnych celów, ale chwilowo nie był jeszcze gotów na zbezczeszczenie biblioteki. Zawsze miał skłonność do romansowania poza domem, prawdopodobnie ze względu na resztki szacunku dla swojego drugiego małżeństwa. Po śmierci Barbary zamierzał to jednak zmienić.

Violet już na niego czekała. Nieco się zdziwił na widok jej skromnego przyodziewku, ale myślał wyłącznie o ustach, które teraz rozciągnęły się w radosnym uśmiechu.

- Jaśnie panie - odezwała się Violet zadyszczanym, irytującym głosem. Benedick pomyślał, że na szczęście za chwilę nie będzie musiał go słuchać. - Tęskniłam za jaśnie panem!

Benedick ujął ją pod brodę.

- Gdybym w to wierzył, moja słodka Violet, byłbym głupcem - zauważył. - Zawsze traktowaliśmy się uczciwie, więc cóż to za nagły przypływ sentymentów?

- To prawda - westchnęła. - Jaśnie pan jest ładniejszy niż większość panów, co z nimi miałam do czynienia, i umie okazać wdzięczność, nie tylko monetą. Jaśnie pan jest hojny i miły, a to ważne dla dziewczyny.

Jej słowa rozbawiły Benedicka. Niewiele osób na tym świecie uważało go za hojnego i miłego, a fakt, że dostrzegła to ładacznica, powinien go zastanowić. Tymczasem jednak wolał skupić się na czymś innym.

- Bardzo mi to pochlebia - odparł. - Gdybyś mogła...

Violet uśmiechnęła się do niego zalotnie.

- Z przyjemnością, jaśnie panie - powiedziała i uklękła tuż przed nim, sięgając do zapieć przy bryczesach.

Zamknął oczy i odchylił głowę, przygotowując się na rozkosz. Nagle jednak drzwi salonu skrzypnęły, Violet wydała z siebie okrzyk przerażenia, a Benedick rozchylił po-

wieki. Ujrzał w progu rozwścieczoną kobietę. Na szczęście nadal był przyzwyczajony do odzia-  
ny. Cofnął się o krok, podczas gdy Violet najwyraźniej osłupiała i nawet nie drgnęła.

- Wstawaj, Violet! - powiedziała nowo przybyła surowym tonem. - Nie musisz już  
wykonywać takich upokarzających czynności. Jeszcze tego nie pojęłaś?

- Ale jaśnie pani, ja to lubię! - pisnęła Violet.

Kobieta w drzwiach umilkła ze zdumieniem, a Benedick skorzystał z okazji i przy-  
jrzał się jej uważnie. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że ma do czynienia z damą. -  
Violet ochoczo nazywała wszystkich jaśnie panem lub jaśnie panią w nadziei, że dzięki  
temu okażą jej hojność. Ta kobieta wydała mu się nie najmłodsza, choć i nie stara. Na  
głowie miała czepek, który skrywał jej włosy i większość twarzy. Ubrana była w strój  
znakomitej jakości, lecz zupełnie pozbawiony stylu, a jej głos brzmiał tak, jakby wywo-  
dziła się z wyższych sfer albo została wychowana przez doskonałą guwernantkę.

- Wstań - powtórzyła po chwili. - Nie wiem, czym groził ci ten człowiek, ale nie  
musisz się niczego bać. Nie zrobi ci krzywdy. Ja mu na to nie pozwolę.

Benedick doszedł do wniosku, że najwyższa pora zabrać głos.

- Gdyby raczyła pani wysłuchać Violet, zrozumiałaby pani, że przyszła tutaj z wła-  
snej woli - oznajmił.

Kobieta popatrzyła na niego błękitnymi oczami.

- Po prostu otworzyła pierwsze lepsze drzwi i weszła, by zaoferować swoje usługi,  
tak? - zapytała z ironią.

- Wysłałem do niej pismo z zaproszeniem - odparł.

- Też mi zaproszenie. - Pełnym pogardy gestem nieznajoma cisnęła kartkę na pod-  
łogę. - To wygląda mi raczej na wezwanie niż na zaproszenie.

- Czytuje pani cudzą korespondencję? - Cóż za irytująca istota! Zupełnie nie przy-  
padła mu do gustu. - Może wobec tego powinienem w przyszłości słać zaproszenia pani?

- Mnie?

- Cóż, nie przypomina pani żadnej znanej mi madame i nie najlepiej ubiera pani  
dziewczęta, ale dawno nie bawiłem w stolicy - wyjaśnił. - Najwyraźniej czasy się zmieni-  
ły, a ja gotów jestem się przystosować.

Kobieta zacisnęła usta i popatrzyła na klęczącą dziewczynę.

- Violet, chcesz tu zostać czy wracasz do domu? - zapytała. - Jedno wyklucza drugie.

Violet ze smutną miną zerknęła na Benedicka, po czym wstała.

- Bardzo mi przykro, jaśnie panie - oznajmiła i bez słowa wyszła z salonu.

Nieznajoma nawet nie drgnęła. Patrzyła na Benedicka z zimną niechęcią.

- Proszę więcej nie zaczepiać moich dziewcząt - wycedziła groźnym tonem.

- Ma pani doprawdy nadzwyczajny akcent - mruknął leniwie Benedick. - Można by nawet pomyśleć, że jest pani damą, a nie stręczycielką. Rozumiem, że nie zezwala pani dziewczętom na wizyty domowe. Niech i tak będzie, przeniosę się zatem gdzie indziej. Tymczasem zastanawiałem się, czy nie zechce pani skończyć tego, co zaczęła Violet. - Sięgnął do zapięcia bryczesów tylko po to, żeby zobaczyć, jak zareaguje nieznajoma.

Melisanda odwróciła się gwałtownie i wyszła bez słowa, a on ze śmiechem opadł na fotel. Choć nieznajoma była irytująca, jej idiotyczny wybuch zafascynował go znacznie bardziej niż radosny entuzjizm Violet. Gdyby nie zaatakowała go już od drzwi, najprawdopodobniej próbowałby ją przekonać do chwili przyjemności. Jej złość była głęboko kusząca.

Nagle rozległo się ciche pukanie do drzwi i stanął w nich Richmond ze zmartwionym wyrazem twarzy.

- Ogromnie mi przykro, wasza lordowska mość - powiedział. - Młody Murphy otworzył drzwi i nie wiedział, jak ją zatrzymać. Czy mogę na coś się przydać?

- Nie, chyba że podasz mi nazwisko i miejsce zamieszkania kobiety, która właśnie wyszła z tego domu - odparł Benedick bez większej nadziei.

- Wydawało mi się, że wasza lordowska mość doskonale zna pannę Violet Highstreet. - Dezaprobata Richmonda była wręcz namacalna.

- W rzeczy samej, Richmond. Kim jednak była kobieta, która nam bezceremonialnie przerwała? Jestem zdumiony, że jej nie powstrzymałeś.

Richmond wydawał się jeszcze bardziej sztywny niż zwykle.

- Jak rozumiem, wasza lordowska mość ma na myśli lady Carstairs? - spytał.

Benedick parsknął śmiechem.

- Wierz mi, Richmond, kobieta, która tutaj wpadła, nie miała nic wspólnego z damą - oznajmił. - To była zwykła madame.

- Żałuję, że nie mogę się zgodzić z waszą lordowską mością, ale to była lady Melisanda Carstairs, wdowa po sir Thomasie Carstairsie. Prowadzi przytułek dla upadłych kobiet, w swoim domu na King Street. Zdaje się, że Carstairs House nazywają Gołębniczką, gdyż zamieszkują go zbrukane gołąbeczki, a o samej damie mówią Samarytanka Carstairs, ze względu na jej dobre uczynki.

Benedick popatrzył na niego z mieszaniną przerażenia i niewiary w oczach.

- Chyba sobie żartujesz, Richmond - szepnął.

- Zapewniam waszą lordowską mość, że jestem absolutnie pozbawiony poczucia humoru - powiedział majordomus z powagą.

A niech to diabli! Benedick doszedł do wniosku, że powinien za to podziękować młodszemu bratu. Brandon niewątpliwie wiedział, że Violet próbuje odejść z branży i że posłanie po nią przysporzy Benedickowi mnóstwa kłopotów. Dziwne, Brandona zwykle nie trzymały się takie niemądre żarty.

- Czy wasza lordowska mość życzy sobie czegoś jeszcze? - spytał Richmond. - Może wysłać lokaja z listem do innego przybytku?

- Nie patrz tak na mnie, Richmond - warknął Benedick. - Nieważne, że znasz mnie od zawsze, to nie uchodzi.

- Oczywiście, wasza lordowska mość.

Wspaniale! Teraz na domiar złego zranił uczucia starego majordomusa. Ten dzień nie mógł być już gorszy.

- Nieważne, Richmond - westchnął ciężko. - Chyba nie jestem w nastroju. Powiedz kucharce, że dziś wieczorem zjem w klubie.

- Oczywiście, wasza lordowska mość.

- I... Richmond?

- Tak, wasza lordowska mość?

- Miło cię znowu widzieć.

Majordomus wyraźnie się rozpogodził.

- Waszą lordowską mość również - odparł.

Jeszcze tego samego wieczoru Benedick dowiedział się wszystkiego o Melisandzie Carstairs, począwszy od jej małżeństwa z niedomagającym sir Thomasem Carstairssem, ponurakiem jakich mało, skończywszy na wdowieństwie i jej nieustającej pracy na rzecz innych, która tak nużyła większość ludzi. Lady Carstairs pochodziła z przyzwoitej, choć raczej zubożalej rodziny szlacheckiej z Yorkshire. Debiutowała ponad dziesięć lat temu, co oznaczało, że obecnie miała około trzydziestki. Wyszła za zniedołęźniałego, chole-rycznego sir Thomasa i poświęciła się opiece nad mężem w ostatnich latach jego życia. Powróciwszy do Londynu jako bogata wdowa, zamiast postąpić rozsądnie, czyli oddać się miłośnikom i frywolnym rozrywkom, ona nadal się poświęcała. Unikała przyjęć i publicznych zgromadzeń, aby tym bardziej skoncentrować się na niesieniu dobra.

Obecną krucjatę rozpoczęła niemal przypadkowo, jak powiedział Benedickowi jego stary przyjaciel Harry Merton nad dwiema butelkami czerwonego wina. Pewna zbrukana gołąbeczka wpadła pod powóz lady Carstairs i od tego momentu dama ta zbierała zbłąkane dziewczęta niczym figurki z porcelany. Wszystkie mieszkają w jej miejskim domu, gdzie uczy je szanowanych zawodów. Oczywiście, towarzysko jest zrujnowana, gdyż zadaje się z nierządnicami, ale najwyraźniej nic a nic jej to nie obchodzi. Z arystokracją widuje się wyłącznie w operze albo w teatrze. Nawet święty nie mógłby się wyrzec wszystkiego, a Samarytanka najwyraźniej bardzo kochała muzykę. Mężczyzn z kolei nie darzyła uczuciem.

- Stary sir Thomas mógłby zniechęcić do naszej płci nawet najbardziej entuzjastyczną damę - mruknął Harry, po czym opróżnił kieliszek i dał znać, by przyniesiono następną butelkę. - Że też wpadłeś na nią już pierwszego dnia po powrocie. To chyba znak.

Harry był przyzwoitym, choć niezbyt rozgarniętym młodzieńcem, do tego niesłychanie przesądnym.

- Owszem. Znak, że za długo mnie tu nie było - westchnął Benedick.

- To przecież nie zależało od ciebie. Naprawdę nie masz szczęścia do kobiet.

- Teraz nie kobiety mnie trapią, tylko Brandon - oświadczył Benedick, przyjmując kolejny kieliszek trunku od lokaja.



- A w co tym razem wdał się ten urwis? - zapytał zniecierpliwiony lord Petersham, który akurat ocknął się z pijackiego odrętwienia. - Zawsze lubiłem twój młodszego brata, Rohan. Choć ma więcej serca niż rozumu, z niego młodziak. Straszne, co zrobiła z nim wojna.

- Straszne, co wojna robi z ludźmi - oświadczył Benedick. W obecnych czasach rozrastającego się imperium te słowa można było uznać niemal za herezję. - Brandon zawsze był impulsywny. Rzucił się w coś bez zastanowienia. Dlatego właśnie odniósł tak poważne obrażenia. Jego batalion został zaatakowany, a Brandon postanowił odciągnąć zwłoki towarzyszy z pola bitwy i w trakcie tej czynności omal nie zginął.

- Myślę, że nie musisz się martwić o Brandona - oznajmił Harry jowialnie, choć nieco bełkotliwie. - Nic mu nie będzie. Najlepiej się nie wtrącaj i nie zadawaj zbyt wielu pytań.

Benedick uniósł brwi, ale Harry był zbyt pijany, żeby to zauważyć. Inna sprawa, że niewiele dało się zrobić - najwyraźniej Brandon nie był gotów rozmawiać o swoim prywatnym piekle, w którym tkwił od powrotu z afgańskich pól bitewnych.

- Powiedz mi, gdzie teraz szukać damskiego towarzystwa. - zapytał Benedick, zmieniając temat. - Mówiono mi, że Emma Cadbury zamknęła podwoje.

- I wprowadziła się do lady Carstairs - westchnął ze smutkiem lord Petersham. - Biała Perła stoi pusta. Kilka najpiękniejszych turkaweczek w Londynie porzuciło swoją profesję. Albo wyjechały ze stolicy, albo zrobiły się przygnębiająco szacowne. Piekło i szatani!

- Chcesz powiedzieć, że w tym mieście nie znajdę przyzwoitej nierządniczki? - spytał Benedick. - Nie wierzę!

- Może raczej wolisz nieprzyzwoitą nierządnicę? - Harry wybuchnął śmiechem, ale Benedick go zignorował. - Och, nadal jest tu sporo zacnych przybytków, do których dżentelmen może się udać na kieliszek wina, partyjkę kart i po damskie towarzystwo. Noc jest młoda!

Benedick wahał się przez chwilę i to go zaszokowało. Powrócił do Londynu, by zaspokoić swoje apetyty, zatopić się w zmysłowych rozkoszach, ale nadal widział te

przenikliwe, zmysłowe oczy, które patrzyły na niego z pogardą. Pomyślał, że nie ma nic gorszego od fanatyzmu.

- W rzeczy samej - przytaknął po chwili.

Wstał i z zadowoleniem przekonał się, że jest niemal całkowicie trzeźwy, a przynajmniej dość trzeźwy, by się dobrze bawić. Uśmiechnął się i spojrzał na Harry'ego. Jego zacny przyjaciel najwyraźniej przysnął. Zresztą Harry tak naprawdę nie przepadał za paniami, a już tym bardziej za nierządnicami.

- Wobec tego pójdę z tobą, Petersham - oznajmił Benedick.

- Wybornie! - Petersham wyraźnie się rozpromienił. - Obiecuję ci czystą i chętną ślicznotkę, która jest niezwykle biegła w...

TLR

## Rozdział czwarty

Melisanda Carstairs nie mogła zasnąć. Niestety zdarzało jej się to coraz częściej, więc aby tego uniknąć, wyszukiwała sobie jak najwięcej zajęć i kładła się do łóżka w stanie kompletnego wyczerpania.

Ostatnio nawet to nie pomagało i nie miała pojęcia dlaczego. Leżała w miękkiej pościeli, usiłując myśleć o przyjemnych rzeczach, ale i tak mogła skupić się jedynie na troskach. Przejmowała się Violet, Hetty, a także małą Betsey. Na dodatek, gdy już udawało się jej zasnąć, było jeszcze gorzej. Budziła się mokra od potu, a całe jej ciało pragnęło czegoś nieokreślonego i z całą pewnością niespecjalnie miłego.

Tak też było i dzisiaj. Po rozstaniu z wicehrabią Rohan w jego odrażającym stanie podniecenia wróciła do domu, by rzucić się w wir zajęć. Zaczęła od zapędzenia gromadki dziewcząt do kuchni, gdzie, ku oburzeniu kucharki, zaimprovizowała lekcję gotowania. Pulchna i spokojna Mollie Biscuits była niegdyś jedną z najśłynniejszych ładacznic w Londynie, ale wiek, wyczerpujący tryb życia, a także kulinarny talent sprowadziły ją do kuchni, której już nie opuściła. Nie przeszkadzały jej tam inne panie o wątpliwej reputacji, nie lubiła jednak, kiedy próbowano rozstawiać ją po kątach. Gdyby Melisanda miała odrobinę oleju w głowie, poszłaby na górę, by przejrzeć rachunki. Potrzebne jej jednak było coś, na czym mogłaby skupić uwagę, a do tego zamarzyły się jej biszkopeciki, chleb cynamonowy i słodki sos z moreli. W końcu Mollie ugięła się i przyłączyła do eksperymentów i radosnego gotowania.

Melisanda jak zwykle za dużo zjadła i żołądek szybko zaczął protestować. Namiętność do słodyczy była jej największą słabością i w ciężkich chwilach zawsze zaglądała do spiżarki. Nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego dziś jest tak przewrażliwiona. Cóż, spotkała się twarzą w twarz z osławionym wicehrabią Rohan, który wziął ją za madame. W innych okolicznościach rozbawiłoby to ją i pewnie dałaby mu do wiwatu, więc tym bardziej była zdziwiona, że takie głupstwo wytrąciło ją z równowagi.

Widziała wicehrabiego nie po raz pierwszy. Dwanaście lat wcześniej, podczas jej debiutu, Rohan zaręczył się z Annis Duncan, a Melisanda, która nosiła wówczas nazwisko Cooper, przyglądała się, jak tańczył z ukochaną. Nie zwrócił na nią najmniejszej

uwagi, i bardzo dobrze. Melisanda była świadoma, że nie interesuje mężczyzn jego pokroju, i akceptowała to bez żalu. Brakowało jej fortuny, tytułu i posiadłości. Wygląd miała raczej przeciętny, włosy ani brązowe, ani jasne, o nudnym, dość pospolitym odcieniu. Dżentelmeni za tym nie przepadali. Do tego Melisanda mówiła prosto z mostu to, co myśli. Była raczej zaokrąglona, a nie smukła, energiczna, a nie ospała, praktyczna, a nie rozmarzona... Wszystkie te przygnębiające cechy sprawiały, że nie cieszyła się powodzeniem u płci przeciwnej. Naturalnie, zdesperowani dżentelmeni, na próżno poszukujący żony, w końcu musieli zwrócić na nią uwagę. Właśnie dzięki temu zainteresowała swoją osobą sir Thomasa Carstairsa. Żaden inny dżentelmen nie poprosił jej o rękę, a ciotka Melisandy, jedyna żyjąca krewna, jasno dała do zrozumienia, że nie sfinansuje kolejnego sezonu.

Melisanda wyszła zatem za sir Thomasa Carstairsa, całkowicie świadoma, że jej małżonek w niezbyt odległej przyszłości przeniesie się na tamten świat. Wyniszczała go ciężka choroba, kaszlał i pluł krwią, a jego chwiejny temperament zapowiadał rychły zgon. Sir Thomas był wiecznie zirytowany, krytyczny, o wiele starszy od Melisandy i przeraźliwie wręcz niecierpliwy.

Bardzo go jednak kochała.

Dzięki troskliwej opiece sir Thomas żył nieco dłużej, niż przewidywał doktor. Co prawda nieustannie wrzeszczał na żonę, odprawiał ją i krytykował, ale też szczerze kochał. Kiedy zmarł, opłakiwała go ku wielkiemu zdumieniu otoczenia.

Najdziwniejsze było to, że przed pogrzebem zupełnie nie zdawała sobie sprawy z jego majątku. Sir Thomas nie miał potomstwa ani innych spadkobierców, więc wdowa-dziedziczka natychmiast stała się celem łowców fortuny. Po roku żałoby Melisanda powróciła do Londynu i szybko się zakochała. Skąd miała wiedzieć, że jej wybranek był rozrzutnikiem i miał słabość do smukłych pięknotek? Posunęła się tak daleko, że nawet dała mu się uwieść, ciekawa, czy zbliżenie z młodym mężczyzną będzie się różniło od sporadycznych zbliżeń z sir Thomasem.

Cóż, okazało się to nudne, a nawet ohydne. Jej kochanek, Wilfred Hunnicut, nie był szczególnie przystojny - miał cofnięty podbródek, nieumiejętnie maskowany bokobrodami, lekko skrzywiony kręgosłup i brzusek. Melisanda zamknęła oczy i zamiast

przywoływać w myślach spokojne i piękne krajobrazy, jak to sugerowała jej ciotka, wyobraziła sobie, że do łoża przyciska ją ktoś niepokojąco podobny do Benedicka Rohana. Nawet to jednak nie pomogło, gdyż pocenie się i dyszenie Wilfreda skutecznie ją rozpraszało. Na szczęście szybko skończył i zasnął. Być może mimo wszystko wyszłaby za niego i uwięzła u jego boku, gdyby nie przyłapała go na obłapianiu pokojówki.

Odprawiła go bez wahania, zatrzymała pokojówkę i doszła do wniosku, że nie potrzeba jej mężczyzny. Postanowiła wypełnić życie dobrymi uczynkami i otoczyć się przyjaznymi ludźmi - naturalnie, miały to być wyłącznie kobiety. Po latach obserwacji wiedziała, że kobiety są praktyczne, sprawiedliwe, pomysłowe i o wiele rzadziej niż mężczyźni przejmują się drobiazgami. A jeśli już to robią, zwykle z ważkiego powodu.

I tak w ciągu zaledwie kilku lat udało się jej blisko zaprzyjaźnić z kilkoma kobietami. Niektóre przyjaźniły się z nią nawet obecnie mimo jej dziwnego zwyczaju ratowania zbłąkanych duszyczek i sprowadzania ich pod swój dach, czasem z rodzeństwem lub z potomstwem. Nigdy jednak nie wpuszczała ich kochanków i alfonsów. Kiedy jakaś nieszczęśnica dołączała do kobiet w Gołębniczku, zmuszona była zrezygnować z dawnego sposobu życia w zamian za naukę przyzwoitego zawodu.

Z jakiegoś powodu Melisanda nie mogła sobie wyobrazić Violet Highstreet skulonej nad igłą u porządnej modystki. Trzeba było jednak przyznać, że miała dryg do mody. Niewątpliwie świetnie radziłaby sobie z projektowaniem czepków i kapeluszy, gdyby naturalnie wystarczyło jej cierpliwości do nauki fachu.

„Ale ja to lubię”, przypomniała sobie odpowiedź Violet Melisanda. Podobnie nie mogła zapomnieć ciemnych oczu Benedicka Rohana, które patrzyły na nią z nieskrywaną pogardą.

Naturalnie założyła, że ma do czynienia z madame. Podejrzewała jednak, że okazałby więcej szacunku właścicielce domu publicznego niż kobiecie zajmującej się działalnością dobroczynną. Dobrze wiedziała, że ludzie z niej kpią i za jej plecami nazywają ją Samarytanką Carstairs. Niech i tak będzie, powtarzała sobie. Istniały gorsze przezwiska, a zresztą ci, którzy jej schlebiali, pragnęli tylko pieniędzy. Wiedząc o tym, mogła spokojnie ignorować nawet najprzystojniejszych łowców majątków i cieszyć się, że nie będzie musiała znowu doświadczać niegodnych i uwłaczających czynności w łożu.

W końcu doszła do wniosku, że na bezsenność najlepsze są herbatniki i ciepłe mleko. Zarzuciła szal na ramiona i wsunęła stopy w miękkie, wyłożone futrem kapcie, po czym wyszła na korytarz, poruszając się jak najciszej, by nie obudzić innych.

Na parterze Carstairs House obecnie mieściły się sale zajęć praktycznych, a także niewielki gabinet Melisandy i biblioteka. Na pierwszym piętrze znajdował się salon oraz sypialnia pani domu i jej personelu. Emma Cadbury spała w pokoju obok, kilka starszych kobiet zaś dzieliło pomieszczenia na tyłach budynku. Melisanda umieściła tam także Violet, która była starsza niż większość dziewcząt w sypialniach na drugim piętrze.

Na korytarzu panowała całkowita cisza. Melisanda nie miała pojęcia, czy Violet znów się nie wymknęła i powróciła do wicehrabiego. Trudno było przekonać piękną, młodą kobietę, że lepiej pracować w trudnych warunkach za grosze, niż zarabiać godziwe pieniądze leżeniem na plecach. Melisanda nie mogła tego zrozumieć. Chyba każda rozsądna kobieta zgodziłaby się na skromniejsze zarobki, byle nie musieć robić tych rzeczy z mężczyzną! Wzdrygnęła się na myśl o Rohanie. Miałyby skończyć to, co zaczęła Violet, też coś!

Siedząc przy zniszczonym drewnianym stole pośrodku kuchni, czekała, aż herbata ostygnie, gdy nagle dobiegł ją hałas z korytarza. Było zbyt wcześnie na przygotowanie chleba, więc Melisanda zamarła. W tym samym momencie Emma zajrzała do kuchni i uśmiechnęła się na widok przyjaciółki.

- Słyszałam, że wychodzisz. - Weszła do kuchni i zdjęła ciężki biały kubek z półki.  
- Z początku myślałam, że to Violet, ale śpi. Wygląda jak aniołek! - parsknęła śmiechem.  
- Pewnie już niedługo. - Melisanda popchnęła ku niej talerzyk z herbatnikami.  
- Pewnie tak - zgodziła się Emma. - Wszystkich nie da się ocalić. Na pewno nie wtedy, gdy same tego nie chcą.

Melisanda naląła gorącej herbaty do kubków.

- Nie rozumiem - westchnęła. - Czy nie powinny być szczęśliwe, że uwolniły się od poniżenia? Jeśli trafia się okazja, by żyć porządnie bez mężczyzn, którzy obmacują cię przez cały czas, dlaczego z niej nie skorzystać?

Na ustach Emmy pojawił się uśmiech, a Melisanda pomyślała, że jej przyjaciółka jest wyjątkowo piękną kobietą.

- Zbliżenie z mężczyzną może przynosić zadziwiająco dużo satysfakcji. - Emma upiła łyk herbaty.

- Ciężko mi w to uwierzyć - mruknęła Melisanda. - Przecież nie jestem już... Mam doświadczenie, rozumiesz.

- Oczywiście, że masz - przytaknęła Emma kojącym głosem. - Ale sama przyznaj, że nie takie, jak ja.

- Jesteśmy niemal w tym samym wieku... - odparła Melisanda, wiedząc, że jej słowa zabrzmiały dziecinnie.

- Jesteś o sto lat młodsza ode mnie. Ciesz się z tego, moja droga.

- Przecież powiedziałaś przed chwilą, że w łóżu można zaznać zdumiewająco dużo przyjemności - przypomniała jej Melisanda.

- Na pewno sama to kiedyś odkryjesz... z odpowiednim mężczyzną.

- Bardzo w to wątpię. - Melisanda pokręciła głową. - A przecież ty również zrezygnowałaś z towarzystwa mężczyzn, żeby tu zamieszkać. Nie brakuje ci tych rzekomych przyjemności?

- Dlaczego o to pytasz?

- Chodzi o coś, co Violet powiedziała, kiedy nakryłam ją u wicehrabiego Rohan - wyznała Melisanda.

- O co konkretnie? - zapytała Emma.

Po krótkim wahaniu Melisanda odparła:

- Powiedziała, że to lubi. Muszę przyznać, że jeśli już kobiecie miałyby sprawiać przyjemność robienie czegoś takiego mężczyźnie, to musiałyby nim być właśnie wicehrabia Rohan. - Te słowa wydostały się z jej ust, nim zdążyła ugryźć się w język.

- To bardzo przystojny dżentelmen - zgodziła się Emma z powagą, ale w jej oczach pojawił się niesforny błysk. - Wszyscy Rohanowie są piękni, niepokorni i nie sposób im się oprzeć. To zupełnie naturalne, że czujesz się przy nim tendre.

- Mało prawdopodobne. - Melisanda sięgnęła po następny herbatnik. - Sama twierdzisz, że to przystojny mężczyzna. Musiałabym być ślepa, żeby tego nie zauważyć, a nie jestem. Nie znaczy to jednak, że chciałabym mieć z nim do czynienia.

- Pytanie brzmi, czy cię kusi?

- Oczywiście, że nie! - skłamała Melisanda. - Zresztą nie jestem jedną z tych kobiet, z którymi zadaje się wicehrabia Rohan. I Bogu dzięki!

- Bogu dzięki? - Emma nie zamierzała ustąpić. - Jeśli cię nie kusi, to jakie ma znaczenie, czy byłby zainteresowany, czy nie?

- Odkąd zrobiła się z ciebie taka swatka? - odparowała Melisanda.

- No cóż, siedem lat prowadzenia domu o wątpliwej reputacji dało mi ogromne doświadczenie. - Emma uśmiechnęła się. - Od razu widzę, kiedy ktoś jest zainteresowany, i potrafię dostrzec potencjalnie udany związek.

- Ja nie jestem zainteresowana żadnym związkiem.

- Nie, oczywiście, że nie. - Emma nie zdołała ukryć rozbawienia.

- Sama się przekonasz. Wcześniej czy później pewnie na niego wpadnę i będę mogła udowodnić ci, że nic a nic mi na nim nie zależy. Chociaż za Violet więcej nie pójdę. Dałam jej ostatnią szansę.

Emily pokręciła głową.

- Nie zostanie tutaj - oznajmiła.

- Pewnie nie. Wicehrabia Rohan może ją sobie wziąć. - Melisanda wstała i ziewnęła. - Nie wiem, czy mam się znowu położyć, czy machnąć na to ręką, ubrać się i czymś zająć.

- Ubierz się - poradziła jej Emma. - Jesteś najbardziej aktywnym stworzeniem, jakie znam. Do południa zrobisz sto rzeczy.

- Tak łatwo mnie rozgryźć? - Melisanda uśmiechnęła się szeroko.

- Tak.

Emma pozostała przy kuchennym stole na długo po odejściu Melisandy, wpatrując się w kubek. Żałowała, że nie umie odczytywać przyszłości z fusów. Przeszłość już znała - cudownie byłoby mieć pewność, że nigdy do niej nie wróci.

Oczywiście było tysiące powodów na wytłumaczenie, dlaczego stała się tym, kim się stała. Histeryczna matka Emmy rzuciła się z dachu ich podniszczonego domu w Plymouth, zaś jej ojciec, zimny, zamknięty w sobie człowiek, cierpiał na obsesję na punkcie grzechu oraz zbawienia. Miał zwyczaj troszczyć się o córkę w ten sposób, że ją bił, a także rytualnie i boleśnie szorował. Z kolei dziadek dotykał Emmy i chciał być dotykany.



Szeptał przy tym, że to jej wina, że go skusiła i że spłonie w piekielnym ogniu. W końcu jedenastoletnia Emma w to wszystko uwierzyła.

Szczęśliwie wkrótce umarł, także z jej winy, bo modliła się o jego śmierć. Była niegodziwa, skoro prosiła Boga, aby dziadek zszedł z tego świata i uwolnił jej ciało od natrętnego dotyku swoich sękatych, pomarszczonych dłoni.

Uciekła w wieku piętnastu lat po tym, jak ojciec zaciągnął ją za włosy do sypialni, rozebrał do naga i wymył, najpierw brutalnymi ruchami, a potem powoli i delikatnie. Emmę paraliżował wstyd, wiedziała bowiem, że przez swoje lubieżne kształty kusi nawet cnotliwego ojca. Uciekła, żeby przypadkiem nie posunął się o krok dalej.

Wystarczyło jej pieniędzy akurat na to, by dotrzeć do Londynu. Znalazła schronienie u matczki Howard, słodkiej staruszki o uroczym uśmiechu i delikatnych dłoniach. Gdy tylko Emma wysiadła z dyliżansu, starowinka zagadnęła ją życzliwie, proponując bezpieczne przytulisko, póki nieboga nie znajdzie pracy. Trudno się dziwić, że dziewczyna, która nigdy nie zaznała matczynego ciepła, bez wahania poszła z nieznajomą. Sądziła, że przynajmniej wyglądem nie zmaci myśli tak miłej starowinki.

Potem nie mogła przestać się zastanawiać, za jaką cenę stara ropucha sprzedała jej dziewictwo. Ktoś przytrzymał Emmę i wmusił w nią na tyle dużą dawkę narkotyku, aby była posłuszna, lecz przytomna, a wszystko to działo się przy wtórze rechotu matczki Howard.

Pod koniec tej okropnej nocy Emma trafiła do pokoju pełnego ponurych dziewcząt. Leżała na posłaniu, płacząc i pragnąc umrzeć, dopóki ktoś nie usiadł obok niej i nie powiedział rzeczowym głosem:

- Płacz nic ci nie da, skarbenku. - To była Mollie Biscuits. - Powiedziałabym ci, że najgorsze za tobą, ale kto to tam wie. Co poniektórzy klienci matczki Howard lubią krzywdzić dziewczuchy, żeby im stanął, ale szczęściem dla nas jeszcze więcej lubi krzywdzić samych siebie. Będiesz miała okazję wybatożyć łajdaków, co to pragną cię skrzywdzić, i nieźle się wtedy zemścisz.

Emma nie uniosła głowy, ale łzy przestały płynąć.

- Wielu wystarczy zaspokoić ustami, a to długo nie trwa - ciągnęła Molly. - Niektórzy będą cię chcieli na caluśką noc, ale jak poznasz parę sztuczek, wymęczysz ich w go-

dzinę i resztę nocy pośpisz se w lepszym łożu niż to tutej. Inni żądają zboczonych dziwactw i musisz się zgadzać, bo nie ma wyjścia. Ale widzisz, skarbeńku, Howard jest stara i chora. Słyszałam późną nocą, jak chrycha, przed Zielonymi Świątkami będzie z niej zimny trup. Większość z nas nie ma dokąd iść, więc zostaniemy tu i będziemy robić to, co teraz, bo inaczej trafimy na ulicę, a tam to już szybka i brzydka śmierć. Ale ty możesz pojechać do domu. Mateczka Howard pilnuje, żeby nie było żadnych dzieci, więc wrócisz, skąd przyjechałaś, i zapomnisz.

Emma uniosła głowę. Kobieta siedząca naprzeciwko była duża i sympatyczna, starsza od dziewcząt, które patrzyły na nią z ostrożnym współczuciem.

- Nie mogę wrócić do domu... - wyznała Emma. - Byłoby jeszcze gorzej.

Mollie Biscuits skinęła głową.

- No to staraj się jak najlepiej tutaj - powiedziała. - Pomożemy ci, prawda, dziewczęta? W naszym fachu dobrze znać sztuczki, a siostra mateczki Howard nie jest taka paskudna, jak ta stara suka. Jak przejmie interes, będzie nam lepiej.

Emma rozejrzała się wokół siebie. W sypialni na strychu było zimno i brudno, wąskie prycze stały pod dwiema ścianami. Brakowało miejsca do umycia się, a wychodek budził obrzydzenie. Co gorsza, czuła, że chodzą po niej robaki.

- Nie ma wyjścia - powiedziała inna dziewczyna, młoda i rudowłosa, z silnym irlandzkim akcentem. - Postaraj się dobrze na tym wyjść.

Wtedy Emma poczuła, że jej serce twardnieje i zmienia się w kamień. Te kobiety miały rację, nie było wyjścia. Ojciec nieustannie powtarzał jej, że urodziła się, by kusić mężczyzn, a dziadek dodawał, że zostanie dziwką. To wszystko było jej winą. Urodziła się taka, nie mogła od tego uciec, a jedynie ułatwić sobie życie. Nie musiała wegetować w głodzie i brudzie.

- Tak - oznajmiła stanowczo. - Postaram się obrócić sytuację na swoją korzyść.

Mollie Biscuits zachichotała.

- Jaśnie panienka przemówiła! - mruknęła dobrodusznie. - Jesteś z porządnej rodziny, prawda? Pewnie będzie ci ciężko na początku, ale uszy do góry, skarbeńku. Tutaj wszystko jedno, skąd kto jest, teraz jesteś tu jak w rodzinie. Ja jestem Mollie Biscuits, to Agnes i Długa Jane, Jenny i Chuda Polly. Przedstawię ci innym, jak się zbudzą. Dbamy

o siebie, i to jak! Ostrzegamy się przed kiepskimi klientami. Niektóre dziewczyny lubią jedne sztuczki bardziej niż inne, i jak jesteśmy sprytnie, można się zamieniać. Mameczka Howard nie ma nic przeciwko, o ile tylko dżentelmeni są zadowoleni, a z jej siostrą jeszcze łatwiej idzie się dogadać. Jak przywykniesz, praca nie będzie ciężka. - Zniosła się chrapliwym kaszlem. - Przynajmniej nie trzeba całuski dzień stać na nogach.

Mollie Biscuits nie wyglądała na kogoś, kto przyszedł na świat, by wodzić mężczyzn na pokuszenie. Była pulchna, prosta i radosna. Inne dziewczęta też nie przypominały złych syren, tylko młode zmęczone kobiety. Niektóre były nawet całkiem ładne. Nie ulegało wątpliwości, że nie doprowadziły do swojego upadku, lecz są ofiarami okoliczności.

Emma jednak wiedziała, że różni się od nich. W głębi serca czuła, że jest zła i nie uniknie takiego życia. Mogła jednak je ułatwić, sobie i innym, i tak właśnie zrobiła.

Mollie Biscuits miała rację - mameczka Howard zmarła tuż po Wielkanocy, a jej siostra, pani Timmins, przejęła interes. Emma zaczęła pomagać w gospodarstwie, dzięki czemu nie musiała obsługiwać tak wielu dżentelmenów, którzy odwiedzali Białą Perłę. Poza tym przekonała panią Timmins do gruntownego posprzątania przybytku i lepszych posiłków, a również do tego, by wydała co nieco na remont. Dzięki temu Białą Perłę zaczęli odwiedzać nieco lepsi klienci i dziewczęta więcej zarabiała. Gdy panna Timmins zmarła, Emma miała już dziewiętnaście lat i była gotowa przejąć interes. Wtedy właśnie wprowadziła regularne kąpiele, przyzwoite posiłki, a dziewczęta zaczęły otrzymywać większość zarobionych pieniędzy. Owszem, sprzedawała ich ciała, lecz nigdy nie robiła tego wbrew ich woli. Doszła jednak do wniosku, że i tak powinna odbyć pokutę - za to i za inne grzechy. Była pewna, że to ona doprowadziła do śmierci matki, która z pewnością zorientowała się, że urodziła diabła w ludzkiej skórze.

Emma zaczęła co kilka dni odwiedzać szpital świętego Marcina i pomagać tamtejszemu personelowi. Zazwyczaj towarzyszyła jej Mollie. Inne kobiety nie chodziły do publicznych szpitali, tylko nierządnicę uważano za zdatną do takiej pracy. Emma robiła, co mogła, dla powracających z wojny afgańskiej umierających żołnierzy bez kończyn, z oczami zasnutymi szaleństwem wskutek okropieństw, których doświadczyli. Większość umierała, a jej nie było ich żal - wiedziała, że jedynie po śmierci odnajdą spokój.

Pełniła też inne obowiązki: sprzątała sale i pomagała zmieniać przesiąknięte fetorem zgnilizny opatrunki. Asystowała przy operacjach amputacji kończyn, siedząc na klatce piersiowej wrzeszczącego pacjenta, podczas gdy inni go przytrzymywali. Tuliła umierających w ramionach, śpiewała im stare piosenki, walijskie kołysanki. Myła umarłych i karmiła żywych.

Pewnego zimowego dnia poznała Brandona Rohana i życie nie było już takie samo.

TLR

## Rozdział piąty

Podpierając się laską, Brandon Rohan kuśtykał przez wąskie korytarze jaskiń pod Kersley Hall w Kencie. Ubrany był w strój mnicha, choć uważał ten koncept za wyjątkowo idiotyczny - przecież mimo zakrytej kapturem głowy i tak wszyscy mogli rozpoznać go po chromej nodze. Wielki Mistrz zarządził jednak, by nie pokazywali oblicza podczas spotkań, więc nie miał wyboru, musiał posłuchać. Spotkania Niebiańskich Zastępów odbywały się w mroku i odosobnieniu. Dyskrecja była nader wskazana. Brandon nie wiedział nawet, kto stoi na czele Zastępów, podobnie jak inni, których pytał. Nie miało to znaczenia: Wielki Mistrz był jednym z nich i tylko to się liczyło. On ustanawiał zasady oraz terminy i miejsca spotkań, a pod jego przywództwem organizacja się rozrastała.

Obecnie jej członkowie zbierali się w hrabstwie Kent. Kersley Hall zostało w większości strawione przez pożar i opuszczone przez prawowitego właściciela. Na szczęście kredowe jaskinie pod fundamentami budowli sprzyjały rytuałom, podczas których uczestnicy mogli spełniać swoje wyuzdane zachcianki.

Krzyki nigdy nie docierały na powierzchnię.

Brandona ogarnęły przelotne wątpliwości, ale szybko odsunął je od siebie. Nie był szczególnie zainteresowany opornymi partnerkami, choć niektórzy gotowi byli słono za nie płacić. Wolał kobiety, które nie walczyły, samo patrzeć na to było wystarczająco okropne.

Nie zamierzał jednak o tym myśleć. Skoro inni woleli, by ladaczniczki symulowały opór, jakie miał prawo ich oceniać? A jeśli nawet przypadkiem niektóre z prostytutek opierały się na serio, nic go to nie obchodziło. „Czyń wedle uznania”, głosiło motto stowarzyszenia, a jego członkowie nie mieli w zwyczaju ferować wyroków.

Zastanawiał się, co by o tym pomyślał Benedick. Ojciec braci za młodu też był członkiem Niebiańskich Zastępów, podobnie jak dziadek.

Benedick zapewne by to potępił, ale Brandon nie miał sobie nic do zarzucenia - w końcu poszedł w ślady najbliższych krewnych. Jeśli jego bratu się to nie podobało, niech sobie wraca do Somerset.

Z oddali dobiegł go niski pomruk, co oznaczało, że członkowie Niebiańskich Zastępów już przystąpili do idiotycznych prób przywołania diabła. Brandon nie wierzył w diabła, za to wierzył w piekło. Widział je w Afganistanie.

Musiał zapomnieć o bólu w nodze. Potrzebował czegoś, co oderwie go od cierpienia. Opium zagłuszyłoby jego męczarnie, a wiedział, że to, czego pragnie, znajdzie na końcu korytarza.

Usłyszał przenikliwy krzyk kobiety i na chwilę zamarł. Zapadła cisza. Dobrze im za to płacą, przypomniał sobie i pokuśtykał do słabo oświetlonego pomieszczenia.

Benedick z rozkoszą zapomniałby o denerwującej lady Carstairs, jednak natknął się na nią w St. James Park, dokąd zaprowadziła swoje stadko zbrukanych gołabeczek. Pewnie nawet by jej nie zauważył, gdyby nie złość na twarzy jego potencjalnej przyszłej narzeczonej, niebywale pruderyjnej panny Pennington.

- To ta kobieta - oświadczyła pełnym napięcia głosem. - Jak śmie paradować z tymi... z tymi... kreaturami, tu, między szlachetnie urodzonymi? Nie ma żadnego wyczucia sytuacji, nie potrafi się zachować? Ktoś powinien dać jej do wiwatu.

Benedick niespiesznie przyjrzał się gromadce. Lady Carstairs była ubrana w ten sam nudny strój, co poprzednio, a czepek znów zasłaniał jej włosy i część twarzy. Młode kobiety, które szły za nią, wyglądały raczej na przerośnięte pensjonarki niż na nieszczęsne były jawnogrzesznice. Benedick zastanawiał się, ile z nich poznał w biblijnym sensie, nim Samarytanka Carstairs skłoniła je do wstrzemięźliwości.

La Violette nie było w tej gromadce. Benedick zastanawiał się, czy ją ukarano. Może została zamknięta w lochu, o chlebie i wodzie? Nic dziwnego, że tak się ucieszyła z jego zaproszenia.

- Po prostu udały się na przechadzkę po publicznym parku, korzystając z pięknej pogody - powiedział spokojnie.

- Skoro tak się im zachciało świeżego powietrza, powinny wybrać się do Hyde Parku miast w bardziej cywilizowane okolice. - Panna Pennington zmrużyła oczy. Benedick po raz pierwszy zauważył, że były one nieduże, a ich spojrzenie surowe i nielitości-

we. - Życzyłabym sobie, by wasza lordowska mość udał się do tej kobiety i właśnie to jej zasugerował.

- Byłoby to niegrzeczne, panno Pennington - zauważył. - O ile mi wiadomo, dom lady Carstairs stoi nieopodal parku. To logiczne, że przyprawia swoje podopieczne właśnie tutaj.

- Sir Thomas musi się przewracać w grobie - burknęła dama. - Zamieniła jego dom w lupanar.

- Wręcz przeciwnie - odparł Benedick natychmiast. - Wydaje mi się, że wolno tam mieszkać wyłącznie kobietom, które porzuciły swoje poprzednie... zajęcie.

- Wasza lordowska mość sam widzi, jakie kłopoty nam sprawia. - Panna Pennington nadal był wzbudzona. - Nie powinnam dyskutować o tych sprawach z dżentelmenem. Nie powinnam nawet wiedzieć, że takie kobiety istnieją, a jaki mam wybór, skoro narzucają mi się one ze swoją obecnością?

Benedick pomyślał, że on sam nie ma nic przeciwko temu. Popatrzył na pannę Pennington i zaczęło go korcić, by wykreślić ją z listy potencjalnych narzeczonych. Nie tylko nie chciał budzić się rano i patrzeć w te niechętne świdrujące oczka, wolał również nie narażać na to swoich przyszłych dzieci.

Nagle poczuł do niej przemożną niechęć.

- Jeśli pani sobie życzy, porozmawiam z lady Carstairs - powiedział. - Nie chciałbym jednak pozostawiać pani bez eskorty.

Perlisty śmiech panny Pennington najwyraźniej miał mu przypomnieć, jak pogodna jest jej natura.

- Niechże pan nie będzie niemądry, wasza lordowska mość - zgała go żartobliwie. - Mam ze sobą pokojówkę i lokaja. Bywam na tyle śmiała, by spacerować jedynie w ich towarzystwie, w końcu nie jestem już dziewczęciem! Proszę iść i powiedzieć lady Carstairs, że nie jest tu mile widziana. Tymczasem powrócę do domu.

Benedick pomyślał, że panna Pennington rzeczywiście nie jest już dziewczęciem, tylko zgorzkniałą, dwudziestotrzyletnią staruchą. Uśmiechnął się i poniósł do ust jej dłoń w rękawiczce.

- Jak pani sobie życzy, panno Pennington. - Ukłonił się nisko.

Gdy się oddaliła, popatrzył na lady Carstairs. Wydała mu się nieco wyższa od przeciętnych kobiet, co lubił, była również uroczo zaokrąglona.

Zaklął szpetnie pod nosem, gdy zrozumiał, że wyobraża sobie jej ciało bez tego stroju. W ramach antidotum pomyślał o wrednych oczkach panny Pennington i z ulgą poczuł, że jego ekscytacja znika.

Zastanawiał się, czy powrócić do domu. Nie miał najmniejszego zamiaru upominać Samarytanki Carstairs. Jeśli stadko zbrukanych gołąbeczek uznało za stosowne paradować po St. James Park, on umiał się z tego tylko cieszyć.

Chwila ta jednak idealnie nadawała się na konfrontację z lady Carstairs, więc z ponurym uśmiechem na ustach ruszył w jej kierunku.

Podczas marszu wzdłuż nabrzeża kanału Melisanda starała się, jak mogła, by powstrzymać dziewczęta od flirtowania ze wszystkimi dżentelmenami w zasięgu wzroku. Głęboko wierzyła w dobroczynny wpływ świeżego powietrza i ćwiczeń, choć panna Mackenzie, jej była guwernantka, a obecnie główna pedagog w Carstairs House, podkreślała wyższość nauki nad gimnastyką. Najwyraźniej jednak w dniu dzisiejszym dziewczęta nie były w stanie skupić się na nauce. Melisanda wiedziała, że po Green Parku kręci się zbyt wielu niemających nic do roboty mężczyzn, więc postanowiła, że udadzą się do St. James Park.

Ku jej utrapieniu, mieszkanki Gołębniczka zdołały jakoś sprawić, że ich poważne, skromne ubrania wyglądały jak frywolne szmatki dam z półświatka. Melisanda jeszcze bardziej utwierdziła się w przekonaniu, że zalotność to kwestia podejścia, nie zaś kuszącego stroju ani nawet urody. Szczęśliwie sama pozbawiona była owej cechy, więc nie miała okazji sprawdzić tej teorii.

Dziewczęta kroczyły teraz dumnie, kołysząc biodrami, i choć wszystkie jak jeden mąż kochały Melisandę, słuchanie jej poleceń nie należało do ich priorytetów. Najgorsze, że wicehrabia Rohan wybrał sobie akurat dzisiejszy dzień na przechadzkę po parku.

Emma spędziła kilka ostatnich dni na plotkowaniu o wicehrabim i mimo protestów Melisandy nie miała zamiaru zamilknąć. Dzięki temu Melisanda dowiedziała się o jego dwóch zmarłych żonach, o narzeczonej, która się zastrzeliła, i o trwających obecnie po-



szukiwaniach odpowiedniej żony. W wyścigu o ten zaszczytny tytuł przodowała aktualnie Dorothea Pennington. Emma usłyszała też co nieco o dekadencej rodziny Rohanów, dynastii hulaków i libertynów, wielkiej posiadłości w Somerset i nieco zbyt dużo o jego rzekomo niesłychanej sprawności w sprawach miłosnych. Emma zapewniła Melisandę, że osobiście nie miała z nim do czynienia, jednak dziewczęta pod jej opieką lubiły plotkować, i choć rzadko wychwalały, jakiegoś dżentelmena, Benedick Rohan był przez nie zgodnie podziwiany.

Co oczywiście, ani trochę nie obeszło Melisandy. Wcale nie chciała słuchać plotek Emmy ani myśleć o tym mężczyźnie i jego ciemnych oczach. Na szczęście ostatnio Emma najwyraźniej o nim zapomniała, a Melisanda postanowiła iść w jej ślady. Dlatego z głęboką niechęcią przyglądała się teraz wysokiej, szczupłej sylwetce wicehrabiego, który pochylał się nad chudym ciałem Dorothei Pennington. Liczyła na to, że będzie tak zajęty flirtem, iż nie zauważy jej obecności. Niestety, dziewczęta natychmiast go dostrzegły - dysponowały wrodzonym instynktem, który pozwalał im momentalnie wyłowić w tłumie bogatego, atrakcyjnego mężczyznę. Melisanda pośpiesznie zaczęła je zaganiać, odwracając przy tym oblicze. Modliła się w duchu, by Rohan wyszedł z parku, nim jej stadko powróci z wymuszonego przez nią marszu nad kanałem.

- Lady Carstairs - odezwała się jedna z dziewcząt, dysząc ciężko. - Czy możemy nieco zwolnić? Strasznie się zmęczyłam.

- Nonsens. - Melisanda przyśpieszyła kroku. - Przyszliśmy tu ćwiczyć i zażyć świeżego powietrza, nie w celach towarzyskich.

- A nie można by i tego, i tego? - zapytała Raffaella.

Melisandę ogarnęły wyrzuty sumienia. Raffaella była córką włoskiego marynarza oraz irlandzkiej prostytutki, i kulą z powodu źle zrosniętej nogi, którą złamała, gdy alfons popchnął ją wprost pod powóz Melisandy. Melisanda przypomniała sobie jednak, że kiedy Raffaella czegoś zapragnie, biega po schodach w Carstairs House niczym sarenka...

- Nie potrzeba nam męskiego towarzystwa - powiedziała głośno wypraktykowanym, radosnym tonem.

- Jaśnie pani mówi za siebie - rozległ się mamrot jednej z dziewczyn, ale Melisanda postanowiła to zignorować.

- Po powrocie wypijemy herbatę i zjemy ciasteczka - oznajmiła, mając nadzieję, że tym przekupi dziewczęta, by zachowywały się jak należy.

- No, to jest ciasteczko, co to bym nim nie pogardziła - powiedziała głośno jedna z dziewcząt, patrząc gdzieś za nią.

Melisanda od razu wiedziała, o kogo chodzi.

Błagam, Boże, niech odejdzie z tą świętoszką Dorotheą, pomyślała w desperacji. Niech tu nie czeka. Wiedziała jednak, kto zmierza prosto ku niej, na ścieżce dostrzegła jego cień. Wstrzymała oddech i odwróciła się z uprzejmym uśmiechem na twarzy.

- Witam, wasza lordowska mość - powiedziała radośnie.

- Lady Carstairs. - Tembr jego głosu był równie głęboki, jak zapamiętała.

Cóż, gdyby wszyscy mężczyźni dysponowali takim barytonem, jej praca mogłaby być jeszcze trudniejsza. Usłyszała westchnienia swoich podopiecznych, ale dumnie uniosła głowę. Na szczęście była odporna na urok tego dżentelmena, kobiety za nią zachowywały się jednak niczym głupiutkie pensjonarki. Melisanda doszła do wniosku, że im szybciej zapędzi je z powrotem do Carstairs House, tym lepiej. Bardzo starały się przystosować do nowego życia, jednak wicehrabia Rohan mógłby skusić nawet świętą.

Tymczasem podszedł do niej, a na dodatek znał już jej nazwisko, czyli najwyraźniej o nią wypytywał. Nie była pewna, co o tym myśleć, ale doskonale wiedziała, że nie powinno jej to pochlebiać. Po prostu pragnął się dowiedzieć, kim była irytująca kobieta, która popsowała mu popołudniową rozrywkę.

Gdy ponownie przemówił, przeszyły ją dreszcze.

- Chyba jestem pani winien serdeczne przeprosiny, lady Carstairs - powiedział. - Byłem w błędzie co do pani tożsamości i potraktowałem panią obcesowo. Błagam o wybaczenie.

- Potraktował mnie pan odrażająco - odparła. - Ale z racji tego, że nigdy dotąd nie wzięto mnie za madame, pańskie zaskakujące skojarzenie uważam za absurdalne i nie zamierzam poświęcać mu uwagi. Rozumiem, że dowiedział się pan od znajomych plotkarzy, na czym polega moja misja.

- Misja? - Uśmiechnął się z lekkim szyderstwem. - W rzeczy samej, postanowiła pani pozbawić mężczyzn w Londynie ich ulubionej rozrywki.

Tym razem dziewczęta westchnęły jeszcze głośniej, ale Melisanda je zignorowała.

- Sądziłam, że dżentelmeni przedkładają konie i hazard ponad intymne harce - oznajmiła.

Większość mężczyzn szokował jej język, jednak Benedick Rohan patrzył na nią ze spokojem.

- Wszystko zależy od partnerki - wycedził.

- I od konia - odgryzła się.

W jego oczach pojawiło się zdumienie i coś jeszcze. Szacunek? Rozbawienie? Melisanda po chwili uznała, że szuka czegoś, czego tam wcale nie ma.

- I od konia - przytaknął. - A co do potraktowania pani jak madame, chyba wspominałem, że nie przypomina pani żadnej znanej mi właścicielki lupanaru.

Po tych słowach wbił wymowne spojrzenie w jej skromny przydzwiek. Co za nieprzyjemny łajdak, pomyślała Melisanda ze spokojem, ale zabrakło jej odwagi, żeby powiedzieć to głośno. Na to nie mogła sobie pozwolić, gdyż nie była w stanie przewidzieć, jak zareagowałby rozjuszony Rohan.

- W rzeczy samej. - Pokiwała głową. - Coś jeszcze? Bo jeśli nie, przyjmuję pańskie przeprosiny i życzę miłego dnia.

- Już pani odchodzi, lady Carstairs? Pomyślałem, że przewietrzę się razem z panią, a przynajmniej wyprowadzę panią bezpiecznie z parku.

- Aha! - wykrzyknęła Melisanda.

- Aha? - powtórzył.

- Widzę, że panna Pennington nie próżnowała. Jest pan jej chłopcem na posyłki, prawda? Kazała panu wyrzucić nas z uświęconego terenu, żebyśmy swoją obecnością nie kalały jej cnotliwych oczu.

- Nie sędzę, żeby panna Pennington miała coś przeciwko pani obecności, i nie jestem jej chłopcem na posyłki. Obecność pani podopiecznych jest rozkosznie oszałamiająca. - Popatrzył na dziewczęta, które natychmiast zachichotały. - Przypominają stadko ślicznych gąsek.

- I są równie głupie - burknęła Melisanda z niesmakiem. - Wystarczy im pokazać przystojnego mężczyznę, a zamieniają się w kompletne idiotki.

- Och, dziękuję za komplement, lady Carstairs - powiedział Benedick, a Melisanda poczuła, że ma ochotę kopnąć się w kostkę. - Może po prostu żałują, że opuściły perfumowane wnętrza przybytku pani Cadbury?

- Zapytamy je? - zaproponowała Melisanda zimno, po czym odwróciła się do grupki kilkunastu kobiet. - Moje panie? Wicehrabia jest zainteresowany pewnym eksperymentem. Uważa, że żałujecie dokonanego wyboru i wołałybyście poprzednie zatrudnienie, czy to w domu Emmy Cadbury, czy gdzie indziej. Co wy na to? Wołałabyś wrócić tam, gdzie cię znalazłam, Raffaello?

- Nie, jaśnie pani - odparła Raffaella prędko.

Reszta odpowiedziała to samo, więc Melisanda odwróciła się do Rohana z zadowoleniem.

- Naturalnie mogą kłamać w obawie przed moją krwawą zemstą, ale myślę, że mówią szczerze - powiedziała z ironią w głosie. - Życie ladacznicy wcale nie jest przyjemne, wasza lordowska mość. To świat pełen chorób i rozpacz, leżenia pod nieznany mi mężczyznami, którzy pragną jedynie zaspokoić swą żądzę. Takie kobiety szybko się starzeją i lądują na ulicach. Większość z nich umiera przed czterdziestką, z powodu chorób, wypadków lub morderstw.

Dostrzegła błysk w jego oczach.

- W gruncie rzeczy, lady Carstairs, w większości burdeli kobiety rzadko kiedy leżą pod mężczyznami - zauważył.

Melisanda patrzyła na niego spokojnie.

- Zapewne ma pan rację - odparła. - Moja przyjaciółka i zarazem zastępczyni w szczegółach opisała mi życie tych biednych kobiet i wątpię, by siedzenie na mężczyźnie szczególnie je nęciło.

- Rozumiem, że była pani mężatką. Nie wie pani tego z doświadczenia?

- Wiem, że to nie pańska sprawa - burknęła.

- Po prostu frapuje mnie, że wdowa, która zaznała rozkoszy małżeńskiego łoża, nie wie nic o niezliczonych wariantach uprawiania miłości. - Wzruszył ramionami. - Czyżby sir Thomas nie wypełniał mężowskich obowiązków? Cóż, pani młodość za jego fortunę.

W rzeczy samej, to stawia panią na poziomie pani czarujących podopiecznych. Miłosne zbliżenie w zamian za finansową gratyfikację.

Wiedziała, że próbował ją sprowokować i nawet mu się to udawało mimo jej raczej zrównoważonego usposobienia.

Melisanda przygryzła wargę.

- Pyta mnie pan, czy wszystkie kobiety to nierządnice z powodu struktury naszego społeczeństwa? - Popatrzyła mu w oczy. - Nie zaprzeczę, wasza lordowska mość. I choć to rzeczywiście nie jest pańska sprawa, sir Thomas wypełniał małżeńskie powinności, w bardzo właściwy i pełen szacunku sposób. Co nie uwzględniało... wariacji. - Nie mogła zrozumieć, dlaczego, na litość boską, rozmawia z nim o takich sprawach.

- Jaka szkoda.

Najwyraźniej uparł się ją zdenerwować. Ani myślała dać mu tę satysfakcję.

- Proszę wybaczyć, ale to naprawdę nie jest odpowiedni temat do konwersacji - oświadczyła słodkim głosem. - Czasami pasja, którą wkładam w moje przedsięwzięcie, sprawia, że nazbyt pochopnie wypowiadam się w pewnych kwestiach. Może sądzę, że powinniśmy się pożegnać. Proszę zapewnić swą wybrankę, że zrobimy co w naszej mocy, by nie kalać jej oczu naszą obecnością. Będziemy spacerowały rankami zamiast popołudniami.

Na litość boską, pomyślała zniecierpliwiona, znowu widząc błysk w jego oku. Teraz pewnie doszedł do wniosku, że i ona o niego rozpytywała. Przygotowała się w myślach na szyderstwa, ale w żaden sposób tego nie skomentował.

- Panna Pennington nie jest moją wybranką - powiedział spokojnie. - I wolałbym, żeby spacerowała pani popołudniami. Ze względu na swoje nocne eskapady mogę nie być skłonny do wstawania przed południem, a nie chciałbym przegapić tak barwnej ozdoby parku.

Naturalnie mówił o dziewczętach, ale patrzył prosto na nią. Melisanda po raz pierwszy w życiu zrozumiała, dlaczego kobieta mogłaby zapragnąć rozebrać się dla kogoś. Jego głęboki, pieszczotliwy głos, przenikliwy wzrok i przystojna twarz świadczyły o tym, że był specjalistą od podboju damskich serc. Wiedziała, że igra z ogniem. Ten człowiek mógłby namówić zakonnice do udziału w orgii!

Musiała się otrząsnąć. Nie była przecież zakonnicą, a on nie ją miał na myśli.

- Najlepszym lekarstwem na to, wasza lordowska mość, jest unikanie eskapad - oznajmiła. - Poranna aktywność jest dobra i dla ciała, i dla duszy.

- Cóż, leżenie w łóżu również może być dobre dla ciała, a kto wie, czy i nie dla duszy - odparł bardzo cicho. - Powinna pani spróbować.

- Przypominam panu, że jestem wdową, wasza lordowska mość - powiedziała wyniosłym głosem.

- Zgadza się, lady Carstairs. Bardzo bogatą wdową, jak mniemam. Proszę uważać na mężczyzn, którzy będą chcieli poślubić panią dla pani fortuny.

- Panu fortuna niepotrzebna.

- Myślała pani, że mówię o sobie? - Uniósł brwi. - Nie okazywałem pani specjalnych względów... Przynajmniej na razie.

W tym momencie Melisanda marzyła tylko o tym, by na starannie przystrzyżonych trawnikach St. James Park pojawiła się wielka dziura i pochłoneła ją, albo jeszcze lepiej wicehrabiego Rohan. Czy wiedział o Wilfredzie? Miała nadzieję, że nie. To jedno głupie potknięcie tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że nie należy zadawać się z mężczyznami.

- Chociaż Wilfred Hunnicut to zupełnie inna para kaloszy - dodał wicehrabia, jakby czytał jej w myślach. - Źle się stało, że nikt pani przed nim nie przestrzegł. - Zanim Melisanda zdołała wymyślić jakąkolwiek sensowną odpowiedź, skłonił się nisko. - Skoro nie potrzebuje pani mojej asysty, życzę miłego dnia, lady Carstairs. Jestem pewien, że wkrótce się spotkamy.

- Nie, jeśli będzie pan trzymał się z dala od moich dziewcząt - oznajmiła zgodnie z prawdą.

Wicehrabia Rohan uśmiechnął się szeroko.

- Cóż jednak, moja droga, jeśli nie będę mógł trzymać się z dala od pani? - zapytał.

## Rozdział szósty

Benedick był perwersyjnie zadowolony z przebiegu dnia, gdyż zdołał zagrać na nosie wścibskiej lady Carstairs. Po jego ostatnim komentarzu na jej twarzy odmalowało się tak dogłębne przerażenie, że omal głośno się nie roześmiał. Błyskawicznie zagarnęła swoje stadko i pośpiesznym krokiem opuściła park. Najwyraźniej sir Thomas był jeszcze większym ogrem, niż ogólnie podejrzewano, skoro tak brzydziła się mężczyzn.

Zastanawiał się, czy zmuszała dziewczęta do udziału w mszach i słuchania kazań. Był pewien, że lady Carstairs znowu wyjdzie za mąż, niezależnie od swojej niechęci do jego płci. Była zbyt krągła i kusząca, by prędzej czy później nie wpaść w sidła jakiegoś łowcy fortun. Wyobraził sobie, jak będzie go zmuszała do modlitwy przed miłosnym stosunkiem. I na pewno nie zdejmie nocnej koszuli.

Cóż, panna Pennington pewnie nie była lepsza. Lady Carstairs przynajmniej współczuła kobietom. Postanowił więc skupić uwagę na kimś młodszym i życzliwszym niż Dorothea Pennington. Wiedział, że ryzykuje zdradę, choć bez fałszywej skromności uważał to za mało prawdopodobne. Kobiety miały niefortunną skłonność do zakochiwania się w nim, podobnie jak miały niefortunną skłonność do umierania. Nawet Barbara kochała go na swój sposób. Taka kobieta jak Dorothea Pennington przynajmniej nie oplakiwałaby go przesadnie - na to była zbyt praktyczna.

Jej reakcja na stadko Samarytanki Carstairs podczas spaceru w parku w zupełności mu wystarczyła, więc w następnych tygodniach zajął się poszukiwaniem innych młodych dam na wydaniu. Żadna nie przypadła mu do gustu, choć kilka niewątpliwie znakomicie nadawałoby się dla Brandona. Jak dotąd każda z pretendentek do tytułu hrabiny Rohan nie odpowiadała mu z tego czy innego powodu. Jedna była zbyt ładna, druga zbyt brzydka. Jedna zbyt żywiołowa, druga zbyt nijaka. Jedna miała zbyt piskliwy śmiech, druga koszmarny charakter, a jeszcze inna okazywała się zanadto religijna. Ani jedna z nich nie spełniła jego oczekiwań.

Trudno mu było też znaleźć odpowiednią towarzyszkę do celów stricte damsko-męskich. Pomimo starań lady Carstairs nadal mnóstwo pań zabiegało o jego uwagę, lecz jak dotąd niewielu udało się wzbudzić jego zainteresowanie. Nawet Brandon by to za-

uważył, gdyby częściej przebywał w domu. Brat, niegdyś uroczy i tryskający entuzjazmem młody człowiek, zamienił się w jeszcze większego cynika niż sam Benedick. Wicehrabia Rohan doszedł jednak do wniosku, że nie jest przecież opiekunem brata, i nieustannie powtarzał sobie, że musi skończyć się o niego martwić.

Już dawno temu przestał przejmować się rodzeństwem. Jego brat Charles żył swoim nudnym życiem w Dorset, a jego dzika i dzielna siostra Miranda wyszła za mężczyznę o tak fatalnej reputacji, że Benedick nadal z trudem mógł w to uwierzyć. Ciągłe czekał na wezwanie o pomoc i gotów był co koń wyskoczy pognać i ratować ją przed potworem, którego poślubiła. Ona jednak rodziła dzieci jedno po drugim i wydawała się niesłychanie szczęśliwa, co go bardzo irytowało. Naturalnie wcale nie chciał, aby cierpiała - pragnął jedynie, by oddaliła się od przeklętego Skorpiona.

Nie był również opiekunem siostry. Musiał skupić się na własnych problemach.

Nagle usłyszał jakiś hałas przy drzwiach wejściowych i opuścił nogi na podłogę. Wiedział, że Richmond i lokaje poradzą sobie z każdym problemem, zwłaszcza po porażce z lady Carstairs, którą nieopatrznie wpuścili do domu, jednak mocno się nudził i był gotów na awanturę. Postanowił zatem, że pójdzie i sprawdzi, kto zakłóca spokój.

Nie musiał nigdzie chodzić, gdyż drzwi do biblioteki otworzyły się szeroko i, dyśiąc ciężko, stanęła w nich megiera we własnej osobie (i w przekrzywionym czepku). Po chwili wychynął zza niej Richmond i zgoła niepotrzebnie zaanonsował lady Carstairs, po czym pośpiesznie zamknął za nią drzwi i uciekł.

Benedick wstał, uniósł brew i spojrzał na gościa. Minęły już trzy tygodnie, odkąd widział ją w parku i miał nadzieję, że jest brzydsza, niż zapamiętał. Niestety było wręcz przeciwnie. Melisanda, lady Carstairs, okazała się zdumiewająco ładnym stworzeniem, mimo okropnego ubrania i czepka, który zasłaniał część jej twarzy.

- Co za urocza niespodzianka - odezwał się uprzejmie Benedick. - Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, lady Carstairs?

Przez chwilę wyglądała na wytrąconą z równowagi. Najwyraźniej przysła tu, spodziewając się bitwy, a on zachowywał się bez zarzutu. Z zadowoleniem uświadomił sobie, że jego uprzejmość irytowała ją jeszcze bardziej niż zwyczajowa opryskliwość.

Nagle jednak Melisanda zmrużyła oczy.



- Przyszłam prosić o pomoc - wypaliła.

Zauważył, że była zdenerwowana, co go zdumiało. Dotąd wyglądała mu na kogoś, kto nie boi się nikogo ani niczego.

- Chętnie nią służę, lady Carstairs - odparł. - Jeśli jednak uważa pani, że będę skłonny perswadować paniom, aby porzuciły rozkosze cielesne, to śpieszę zauważyć, że wybrała pani złego...

- Nie poprosi mnie pan, abym usiadła? - przerwała mu i westchnęła ciężko. - Właściwie to tu przybiegłam z Carstairs House.

- Powinna była pani wziąć powóz. Między King Street a Bury Street rozciągają się niezbyt interesujące ulice. Jak rozumiem, pani dama do towarzystwa albo lokaj czekają na zewnątrz?

- Rzadko zawracam sobie głowę absurdalnymi konwenansami, wasza lordowska mość, i nie stosuję się do nich - oświadczyła wyniośle. - A poza tym bardzo się śpieszyłam.

Nie czekając na zaproszenie, ściągnęła czepek i usiadła w fotelu przy ogniu, po czym wbiła wzrok w gospodarza. Benedick przez chwilę wpatrywał się w nią bez słowa. Lady Carstairs była naprawdę urocza. Miękkie, złotawobrazowe pukle włosów okalały jej twarz o szerokich, ruchliwych ustach, prostym nosie i niebieskich oczach. Dodawszy do tego jej ponętne kształty, błyskawicznie zmienił zdanie - teraz był pewien, że wyjdzie za mąż do końca tego sezonu. Jakiś bystry mężczyzna najzwyczajniej w świecie zignoruje jej protesty i zaciągnie ją do ołtarza.

Uświadomił sobie, że się na nią gapi, więc szybko przywołał się do porządku.

- Owe konwenanse istnieją z jakiegoś powodu - zauważył. - Jeśli będziemy tu przebywali tylko we dwoje, zamknięci przez dłuższy czas, ludzie mogą dojść do wniosku, że panią skompromitowałem.

- Nonsens! - prychnęła. - Kobiety mojego pokroju nie przykuwają uwagi takich mężczyzn jak pan. Ludzie prędzej pomyślą, że to ja pana skompromitowałam, ale zapewniam, jest pan bezpieczny.

- A ja zapewniam panią, lady Carstairs, że bardzo niewiele kobiet nie wpada mi w oko. Nie powinna pani dewaluować swoich wdzięków.

Lady Carstairs się zarumieniła i przez chwilę Benedick był po prostu oczarowany. Nagle jednak przeszła go surowym spojrzeniem.

- Niech pan nie traci czasu, Rohan - powiedziała, celowo zwracając się do niego bezceremonialnie. Dobrze wiedział, że w ten sposób próbowała go usadzić, na co oczywiście nie zamierzał pozwolić. - Te rzeczy mnie nie interesują i nie jestem idiotką. Nie chcę pana widzieć blisko moich dziewcząt, za bardzo je to rozprasza. Mam znacznie poważniejszy problem i być może pan jesteś współwinny, zważywszy na pańską rodzinną historię.

- Nie zamierzam brać odpowiedzialności za mojego ojca i dziadka - odparł. - To jedni z największych hulaków w historii Anglii i nigdy im nie dorównam. Byli jak bogowie, ja zaś jestem ledwie herosem. Biorę odpowiedzialność wyłącznie za własne ekscesy.

Pomyślał z humorem, że były liczne, jednak nie aż tak, jakby sobie tego życzył.

- Napawa to pana dumą? - Nie dała się zbić z tropu.

Na szczęście nie musiał odpowiadać, gdyż akurat zjawił się Richmond z tacą zastawioną ciastkami i najlepszą porcelaną, która rzadko widywała światło dzienne. Z bliżej nieokreślonego powodu majordomus najwyraźniej darzył sympatią lady Carstairs, gdyż postanowił przymknąć oko na tak ewidentne pogwałcenie etykiety i dać wyraz swojej aprobacie.

Lady Carstairs naląła herbaty, a Benedick z zadowoleniem zauważył, że nie zrezygnowała z dobrych manier. Popijając napar z dodatkiem cytryny, obserwował, jak Melisanda napełnia filiżankę ogromną ilością cukru i mleka. Najwyraźniej uparła się zabić smak herbaty, no i bez wątplenia miała słabość do słodczy. Innymi słowy, uciechy ciała nie były jej całkiem obce.

Chwyła ciastko i pochłonięła je w dwóch kęsach, podczas gdy Benedick spokojnie czekał. Od wielu tygodni nie wydarzyło się nic równie interesującego. Żałował, że w domu nie ma Brandona, chociaż trudno było przewidzieć jego reakcję. Dawny Brandon z pewnością by się ubawił, a potem, już po wyjściu lady Carstairs, niewątpliwie by jej broił. Nowy Brandon raczej miałby to w nosie.

Lady Carstairs zjadła drugie ciastko i najwyraźniej zdała sobie sprawę, że jest bacznie obserwowana, gdyż przełknęła ślinę, poprawiła się na fotelu i odetchnęła.

- Sprawa dotyczy Niebiańskich Zastępów - oznajmiła.

TLR

## Rozdział siódmy

Benedick patrzył na nią przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Spytałbym, skąd pani wie o istnieniu tego stowarzyszenia, ale zakładam, że dowiedziała się pani od swoich protegowanych - odezwał się w końcu. - O ile mi wiadomo, Niebiańskie Zastępy rozwiązały się niemal dziesięć lat temu. Nawet jeśli nadal istnieją, nie powinno to pani interesować. To nie pani zmartwienie, chyba że zapragnęła pani ratować znudzonych arystokratów przed cielesnymi uciechami.

Melisanda nie dała się zbić z tropu.

- Najwyraźniej dekadę temu doszło do jakichś skandalicznych wydarzeń, które sprawiły, że większość członków stowarzyszenia straciła zainteresowanie jego działalnością - powiedziała. - Niestety, mniej więcej przed trzema laty zostało ono odtworzone i jest o wiele gorzej niż kiedykolwiek.

Większość kobiet z towarzystwa nie miała pojęcia, czym właściwie są Niebiańskie Zastępy, chyba że akurat należały do stowarzyszenia. Zdumiewająco duża liczba ekstrawaganckich sióstr oraz żon założycieli przyłączyła się do Zastępów, tym samym radykalnie zmniejszając potrzebę rekrutacji płatnych towarzyszek. Gdy Benedick miał niewiele ponad dwadzieścia lat, z ciekawości wybrał się na zebranie Zastępów, ale szybko znudziły go ich rozrywki.

- Może zechciałaby pani powiedzieć coś więcej. Co teraz robią gorszego niż w przeszłości? - Miał nadzieję, że Melisanda znowu się zarumieni, ale jej nie docenił.

- Według moich źródeł, Niebiańskie Zastępy wcześniej kierowały się zasadą dobrowolności - odparła. - Każdy uczestnik musiał wyrazić przyzwolenie na zdeprawowane czyny, w których będzie uczestniczył.

- O jakie zdeprawowane czyny chodzi? - zapytał niewinnie.

- Na przykład takie, jakich zamierzał się pan dopuścić na Bury Street z Violet Highstreet - przypomniała mu.

- To ona zamierzała wykonać tę czynność, ja byłem tylko odbiorcą.

Dotąd udawało się jej trzymać nerwy na wodzy, ale z zadowoleniem zauważył, że ponownie się zarumieniła. Postanowił zatem kontynuować swe wywody.

- Na zebraniach Niebiańskich Zastępów odbywają się stosunki oralne, bo tak brzmi techniczna nazwa tego typu aktów. Przykro mi, że muszę panią o tym poinformować, lady Carstairs, ale ten akt odbywa się w niemal każdej sypialni w tym mieście.

- I na każdym rogu ulicy oraz w ciemnych zaułkach - dodała.

- Cóż, pani opinia na ten temat jest mi dobrze znana i nie zamierzam się kłócić. Czy pani misją jest zatem wyrugowanie oralnych rozrywek, czy też coś innego? Zapewniam, że przekonanie ludzi do zaniechania ich jest mało prawdopodobne...

- Niechże wasza lordowska mość wreszcie przestanie! - wykrzyknęła, ponownie zwracając się do niego w bardziej oficjalny sposób. - Nie przyszedłam tutaj rozmawiać o...

- Stosunkach oralnych? - odpowiedział usłużnie.

- Zgadza się. Chodzi mi o to, że trzeba powstrzymać Niebiańskie Zastępy, które obecnie dążą do całkowitej deprawacji, takiej bez żadnych ograniczeń.

- Czyli?

- Mam na myśli wiązanie ludzi, żeby nie mogli się bronić ani nawet ruszać czy mówić i musieli biernie znosić zabiegi członków stowarzyszenia.

- To stara sztuczka nierządnic, lady Carstairs, często wykorzystywana nawet w najznamienitszych sypialniach. - Roześmiał się. - Nie rozumie pani zasad tej gry. Proszę mi wierzyć, to może być całkiem stymulujące.

- Oni gwałcą kobiety.

Rozbawienie zniknęło z twarzy Benedicka.

- Proszę nie mówić bzdur - zachnął się. - Kobiety, które przychodzą na zebrania, są chętne i zawsze były. Te, które biorą udział w nieco bardziej obcesowych rozrywkach, zgadzają się na nie i są sownie opłacane.

- Obcesowe rozrywki? - powtórzyła. - Tak to się nazywa, kiedy kobietę biczuje się, aż zacznie krwawić, a jej twarz zostaje oszpecona bliznami do tego stopnia, że nieszczęśnica już nigdy nie będzie mogła pokazać się publicznie? Kiedy młode niewinne dziewczęta sprowadza się po to, by zaspokoili najprymitywniejsze instynkty najobrzydliwszych mężczyzn na ziemi?

- Nie - warknął. - Niebiańskie Zastępy zawsze przestrzegały zasady chronienia dzieci i to na pewno się nie zmieniło. Ludzie wierzyli w najgorsze opowieści o tej orga-

nizacji, a tak naprawdę nikomu nie czyniła ona krzywdy. To tylko grupa zepsutych arystokratów, którzy uwielbiają udawać niegodziwców. Te ich spotkania nie mają nic wspólnego z niewinnością dziewcząt.

- Oni kalają tę niewinność - oznajmiła.

Benedick niecierpliwie machnął ręką.

- Co się tyczy blizn na twarzy jednej z kobiet, jestem pewien, że był to nieszczęśliwy wypadek i że głęboko tego żałowano. Sądzę również, że kobieta owa została odpowiednio wynagrodzona, co zrekompensuje jej fakt, że w przyszłości jej zarobki zapewne się zmniejszą. Tak postępowano od zawsze i wątpię, aby to się zmieniło.

- Dziewczyna została zgwałcona, zbita i okaleczona nożem. Uciekła i próbowała zgłosić przestępstwo policjantom, ale ci zwyczajnie oddali ją dręczycielom. Od tego czasu słuch o niej zaginął.

- Skąd pani to wszystko wie? - Zmrużył podejrzliwie oczy.

- Jej siostra do nas dołączyła.

- Próbuje mnie pani przekonać, że ktoś zabił tę kobietę? Nie wierzę.

- Nie interesuje mnie, w co pan wierzy - zaperzyła się Melisanda. - Tak się składa, że to prawda. Aileen z własnej woli nie porzuciłaby Betsey na ulicy. A teraz oni przygotowują się do najbardziej przerażającego aktu ze wszystkich.

Na litość boską, pomyślał z irytacją Benedick. Towarzystwo od samego początku miało jakieś idiotyczne teorie na temat całkiem nieszkodliwych rozrywek członków Niebiańskich Zastępów. Nic dziwnego, że ktoś pokroju Samarytanki Carstairs w końcu uwierzył w te brednie.

- Proszę mi nie mówić, że planują orgię - mruknął znudzonym tonem. - To wręcz wymóg na spotkaniu Zastępów. Nawet brałem w nich udział... Za pierwszym i drugim razem to całkiem interesujące, ale po jakimś czasie się nudzi. Nie wiadomo, czyje pośladki się głaszczę, drogiej kurtyzany czy też najlepszej przyjaciółki własnego ojca. - Wzruszył ramionami.

- Bardzo mnie cieszy, że tak to bawi waszą lordowską mość - syknęła Melisanda. - Dlaczego nie? W końcu przecież nikt nie będzie tęsknił za dziewczętami, które oni wybierają, a dopóki pan nie uczestniczy w tym procederze, nikt pana nie obwini. Jednak

sam fakt, że nie kiwnie pan palcem, sprawia, że staje się pan równie winni jak naoczni świadkowie, którzy na to zezwalają.

- Na co zezwalają, lady Carstairs?

Melisanda odetchnęła głęboko.

- Zamierzają wezwać diabła podczas pełni księżyca.

Benedick zaśmiał się z pogardą.

- Już próbowali - oznajmił. - Jego niegodziwość nie raczy odpowiadać na zaproszenia, nawet jeśli są bardzo uprzejmie sformułowane.

- Tym razem zamierzają złożyć w ofierze dziewicę, żeby zapewnić sobie sukces.

W pomieszczeniu na chwilę zapadła cisza. Benedick zauważył, że ze zdenerwowania Melisanda zjadła wszystkie ciastka.

- To absurd! - mruknął w końcu. - Nie odważyliby się.

- Odważyli, odważyli. W ostatnich tygodniach zniknęło bez śladu dużo młodych dziewcząt, choć to mało prawdopodobne, by nadal pozostawały w dziewiczym stanie.

- Muszę panią rozczarować, lady Carstairs, ale istnieje całe mnóstwo żądnych krwi ludzi, którzy mogli porwać te biedaczki. Niebiańskie Zastępy nie mają wyłączności na deprawację.

- Proszę to tłumaczyć, jak pan chce, wasza lordowska mość. Jedną z tych dziewczyn przeznaczono na straszliwą ofiarę i nie mamy pojęcia, gdzie jest przetrzymywana. Pełnia już za sześć dni, więc brakuje nam czasu.

- Co to ma ze mną wspólnego? - zapytał lodowatym tonem. Ta kobieta musiała oszaleć. Żaden z członków śmietanki towarzyskiej nie dopuściłby się tak odrażających czynów. - Jeśli sądzi pani, że oskarżę przyjaciół z dzieciństwa o tego typu deprawację, to bardzo się pani myli. To w ogóle nie jest moja sprawa.

- A jeśli przekonam policję, by zjawiała się na ich spotkaniu i aresztowała tych przyjaciół z dzieciństwa? - wyrzuciła z siebie.

- Bardzo wątpię, by się to pani udało - odrzekł szczerze. - Jeśli jednak policja będzie na tyle niemądra, by wysłuchać pani idiotycznych oskarżeń, wtedy powiem, że ci przyjaciele z dzieciństwa dostali, na co zasłużyli. Nie jestem ani nigdy nie byłem strażnikiem brata mego.

- A jeżeli jednym z organizatorów jest w rzeczy samej pański rodzony brat?

Benedick czuł się zmęczony tą rozmową i już miał zadzwonić po Richmonda, by ten odprowadził Melisandę, ale nagle zmrużył oczy.

- Czym się pani znowu gorączkuje, lady Carstairs?

Ona jednak nie wydawała się rozgorączkowana. Mówiła bardzo logicznie i spokojnie, mimo absurdalności oskarżeń.

- Pański brat, lord Brandon Rohan, ostatnio porucznik armii Jej Królewskiej Mości, niedawno powrócił do kraju z wojny afgańskiej i odegrał istotną rolę w odrodzeniu Niebiańskich Zastępów - oznajmiła z powagą. - Nikt dokładnie nie wie, kto tam rządzi i kto wytycza ścieżki, którymi podążają niegodziwi członkowie, ale pański brat bierze w tym udział, na dodatek z własnej woli. Prędzej czy później to wyjdzie na jaw. Ostrzegam pana teraz, ponieważ jestem bardzo upartą kobietą i się nie poddam. Można by pomyśleć, że pański brat dość już wycierpiał.

Benedick patrzył na nią pustym wzrokiem, jednak miał mętlik w głowie. Jej wywody nie były pozbawione sensu. Brandon rzadko zjawiał się w domu i zachowywał się wyjątkowo tajemniczo. Był wychudzony, miał podkrążone oczy i coraz boleśniej utykał.

- Skąd pani ma te informacje? - warknął.

- Mówiłam panu, że jedna z dziewcząt uciekła i zamieszkała z nami. To ona nam powiedziała, co się dzieje, i od tego czasu staramy się zdobyć jak najwięcej informacji. Ci ludzie noszą kaptury, czasem również maski, ale z oczywistych powodów pański brat się wyróżnia. Nawet maska na pół twarzy nie zakrywa blizn na jego obliczu, a do tego jest chromy. Rozpoznała też kilku innych, ale nie mistrza ceremonii. A teraz zniknęła, zostawiwszy swoją młodszą siostrę, i bardzo boję się, że nie żyje.

Wszystko, co mówiła wcześniej, traktował jako nonsens, teraz jednak skupił uwagę na jej słowach. Być może lady Carstairs wcale nie była oszalałą fanatyczką. Nawet na taką nie wyglądała, przypominała raczej wojowniczkę, współczesną Boudikę, gotową walczyć z dekadentkami Rzymianami, co zupełnie nie pasowało do słabej płci.

Tyle tylko, że on nigdy nie uważał kobiet za słabą płć. Przez całe życie otaczały go silne niewiasty, między innymi matka i siostra, więc wiedział, kiedy ustąpić.

- W porządku - powiedział. - Co mam zrobić?



## Rozdział ósmy

Melisanda sądziła, że czeka ją bitwa i najprawdopodobniej porażka, a tymczasem odniosła sukces. Odchrząknęła nerwowo.

- Potrzebny nam plan - powiedziała.

Wicehrabia Rohan spoglądał na nią spod na wpół przymkniętych powiek, więc nie widziała jego oczu. Doszła do wniosku, że jest zbyt przystojny jak na mężczyznę. Ci wszyscy przekłęci Rohanowie byli urodziwi, nawet najmłodszy, Brandon Rohan, ma w sobie surowe piękno, podkreślone przez zmasakrowaną część twarzy.

Naturalnie, przystojne męskie oblicza wcale nie interesowały Melisandy. Jej mąż był o pięćdziesiąt trzy lata starszy od niej i umierał, gdy go poślubiła. Jedyne z kolei kochanek miał dość pospolitą twarz i żadną miarą nie mógł się równać z Benedickiem Rohanem. Gdyby nadal była gąską, mogłaby marzyć o takim mężczyźnie. Jest jednak dorosłą kobietą, która nie miała z mężczyzną żadnego pożytku i pozostaje odporna na ich wdzięki.

- Sądziłem, że ma pani jakiś plan - zauważył Benedick.

Zamierzała sięgnąć po ciastko, jednak okazało się, że zjadła już wszystkie. Upiła łyk herbaty.

- Gdybym miała plan, sama bym go wdrożyła w życie - odparła oschle. - Doszłam do wniosku, że to przegrana sprawa, ale zawsze chętnie o takie walczę.

- Walczy pani z wiatrakami, lady Carstairs? I oczekuje pani, że będę pani Sancho Pansą? Nie bardzo mam ochotę odgrywać tutaj sceny z „Don Kichota”. Ta książka źle się kończy.

- Życie też się źle kończy - odparowała. - A wasza lordowska mość nie wygląda mi na optymistę.

- Nie wyglądam na optymistę? - zdumiał się. - Mamy jakiegoś wspólnego znajomego, o którym zapomniałem, a który opowiada pani o mnie?

- Nie mógłby pan zapamiętać każdej debiutantki. - Uśmiechnęła się. - Ja weszłam na salony w roku, w którym pan brał ślub. Pamiętam pańską żonę, była bardzo piękna.

- Która?

Melisanda zupełnie zapomniała, że Rohan dwukrotnie owdowiał. Doszło też do jakiegoś skandalu związanego z jeszcze inną kobietą, ale nikt nie znał szczegółów. Naturalnie, wcale o to nie pytała - przynajmniej nie więcej niż dwa, trzy razy. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, Benedick dodał:

- Nieważne, to już bez znaczenia. Wobec tego przyszła pani tutaj bez planu i bez pomysłu, jak zapobiec tragedii. Mnie najbardziej przejmuję mój brat. Mógłbym siłą przewieźć go do jednej z rodzinnych posiadłości na odległej wsi, żeby nie był w stanie uczestniczyć w tych spotkaniach. To rozwiązałoby mój problem, choć niespecjalnie pomogłoby pani.

- A zatem pan mi wierzy. - Nadal była zdumiona tym faktem.

- Przynajmniej częściowo - przyznał. - To akurat coś, w co mój brat mógłby się zaangażować, a ostatnio jest wyjątkowo tajemniczy. Inna sprawa, że niektóre z pani zmarzeń to zwykła fikcja. Dużo wiem o historii Niebiańskich Zastępów, w końcu stworzył je kuzyn mojego pradziadka, a pałeczkę po nim przejęli mój dziadek i ojciec.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - wymamrotała Melisanda.

- Ale Niebiańskie Zastępy nie składają się z wynaturzonych kreatur, o których pani mówi. Stworzyła je grupa znudzonych intelektualistów, ciekawych relacji między Bogiem i diabłem, a także pragnących zakosztować zakazanych owoców ludzkiego pożądania. Obowiązują jednak pewne zasady: żadnych dzieci, żadnych niechętnych niewinnych, choć jak rozumiem, dużo płacą za udział ochoczych dziewic. I żadnego przymusu. Ich motto brzmi: „Czyń wedle uznania”, a nie: „Czyń, do czegoś przymuszony”.

- Dziękuję za lekcję historii - oznajmiła ze zniecierpliwieniem. - Czasy się zmieniły.

Nie uszło jej uwadze, że wicehrabia chyba zaczynał żałować pochopnej zgody na pomoc.

- Gdyby miał pan okazję zobaczyć, co zrobili biednej Aileen... - dodała pośpiesznie, ale go nie doceniła.

- Nie musi pani tego mówić, i tak pani wierzę. Skoro nie opracowała pani planu, chyba powinniśmy zabrać się do tego jak najszybciej, najlepiej przy przekąsce.

Niczym za skinieniem magicznej różdżki pojawił się sztywny, lecz czarujący majordomus ze świeżym imbrykiem herbaty oraz talerzykiem ciastek.

- Gdyby zechciała pani nalać mi filiżankę... Tymczasem zastanowię się, czego nam potrzeba.

- Przede wszystkim musimy zidentyfikować innych członków organizacji, w tym ich przywódcę - zauważyła.

Podświadomie spodziewała się, że Benedick ją wyśmiej, ale tylko skinął głową.

- Odnalezienie innych członków będzie stosunkowo nietrudne - oświadczył. - Jest pewna grupa osób, które prawie na pewno należą do Niebiańskich Zastępów, w tym lord i lady Elsmere'owie. Jeśli znajdziemy jednego członka organizacji, dotrzemy do innych.

- A co z pańskim bratem? Nie powiedziałby panu o tym?

- Mój brat jest ostatnią osobą, która odpowiedziałaby na moje pytania - westchnął.

- Nie dogadują się panowie ze sobą? Ale przecież jest pan taki uroczy... Myślałam, że wszyscy pana kochają.

- Sarkazm niespecjalnie do pani pasuje, lady Carstairs.

- Nic mnie nie obchodzi, co do mnie pasuje, a co nie - oświadczyła buńczucznie.

- To oczywiste. Podejrzewam, że najlepiej będzie na wstępie zaatakować lorda Winstona Elsmere'a. Mamy wielkie szczęście, bo dziś akurat lord Elsmere wydaje przyjęcie. Lista gości jest niedługa, jakieś trzydzieści osób. Odrzuciłem zaproszenie, ale gospodarze zapewne będą przeszczęśliwi, mogąc nas powitać. Kolacja jest dla chętnych, tańce zaczynają się o dziesiątej. Podjadę po panią o wpół do dziesiątej.

Melisanda wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Nie idę na ich przyjęcie! - wybuchła. - Po pierwsze, nie byłam zaproszona.

- To bez znaczenia. - Machnął ręką. - Jeśli przyjdzie pani jako mój gość, będzie pani mile widziana. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że przynajmniej dwóch lub trzech członków Zastępów znajdzie się na przyjęciu. Zidentyfikujemy ich i śledztwo ruszy naprzód.

- Ale ja nie chcę iść na przyjęcie! - zaprotestowała. - Trzymam się z dala od towarzystwa.

- Nie ma pani wyboru, jeśli chce pani powstrzymać Zastępy.

- Chcę czegoś więcej. - Z trudem panowała nad sobą. - Chcę rozbić w pył tę organizację. Chcę ich narazić na taki wstyd, żeby nigdy więcej nie odważyli się spotkać.

- A zatem się zgadzamy - oświadczył, ignorując fakt, że na nic się nie zgodziła.

Melisanda sięgnęła po jeszcze jedno ciastko.

- Niektóre kobiety może lubią dominujących mężczyzn - zauważyła. - Ja uważam ich za wyjątkowo nudnych.

- No to będzie pani znudzona. - Nie chwycił przynęty. - Ma pani może coś bardziej eleganckiego? - Wskazał ręką jej suknię. - Ta wygląda jak własność kwakierki.

Melisanda nawet nie mrugnęła okiem.

- Mogę mieć coś starszego - odparła. - Może z mojego sezonu.

- Cudownie - westchnął zbolalym głosem. - Mamy wybór między beznadziejną szarzyzną i modą sprzed dziesięciu lat. Nie wiem, jak przetrwam taki cios.

- Da pan sobie radę. - Beztrosko zjadła jeszcze jedno ciastko. - Najpierw musimy zidentyfikować członków. Co dalej?

- Zobaczymy, jak nam pójdzie z tym pierwszym zadaniem - zasugerował i podał jej talerzyk z ciastkami.

Przez chwilę patrzyła na niego podejrzliwie, po czym z obrażoną miną złapała ciastko. Benedick w milczeniu uniósł brew, ale nic jej to nie obeszło.

Po chwili znów pojawił się majordomus.

- Richmond, każ przygotować powóz - polecił mu Benedick. - Lady Carstairs musi wrócić do domu.

- Mogę iść na piechotę - oznajmiła.

- Z mojego domu? Sama? - Popatrzył na nią z niedowierzaniem. - Rozumiem, że nie dba pani o reputację, w przeciwieństwie do mnie. Albo skorzysta pani z powozu, albo sam odprowadzę panią do domu. Skoro jednak pada, preferowałbym raczej to pierwsze.

Nie miała wielkiego wyboru. Poza tym rzeczywiście straszliwie lało.

- Nie musi mi pan towarzyszyć - oznajmiła wyniośle.

- Wcale nie mam zamiaru, choć moja matka byłaby zdruzgotana. Ponieważ jednak muszę zmienić moje poprzednie, o wiele bardziej rozrywkowe plany na dzisiejszy wie-

czór, zamierzam znaleźć dla nich alternatywę. - Popatrzył na nią przeciągle. - Gdzie indziej poszukam damskiego towarzystwa.

- Na pewno da sobie pan radę - powiedziała. - Jeżeli zdołamy szybko osiągnąć cel, wtedy odwiezie mnie pan do domu i pójdzie sobie do przybytku, który zastąpił Białą Perłę, by tam zaspokoić swoje... swoje...

- Pragnienie? - zapytał niewinnie. - Obawiam się, że ich piwnice nie są pełne przednich trunków. A może mówiła pani o innym pragnieniu, które muszę zaspokoić?

Doszła do wniosku, że równie dobrze dwoje może grać w tę grę.

- Na pewno zaspokoi pan wszystkie pragnienia, w końcu jest pan bogaty. - Wstała. - Było uroczo, ale lepiej wrócę już do domu i sprawdzę, czy mam coś przyzwoitego, co mogłabym na siebie włożyć.

Benedick również podniósł się z miejsca.

- Nie mogę się doczekać. - Omiótł ją spojrzeniem. - I jeszcze coś, lady Carstairs. Proszę tu więcej nie przychodzić samotnie, a właściwie proszę w ogóle tu nie przychodzić. Nie chcę wpaść w pułapkę pani rzekomej kompromitacji. Mam inne plany na przyszłość.

- Ja również, wasza lordowska mość - odparła spokojnie. - Będę gotowa o wpół do dziesiątej.

- Jeśli rzeczywiście tak się stanie, to będzie pani pierwszą znaną mi punktualną kobietą.

- Może kobiety po prostu jak najdłużej próbują opóźnić nieprzyjemny moment spotkania z panem - oznajmiła słodko. - Miłego popołudnia, wasza lordowska mość.

- Do widzenia, lady Carstairs.

Zanim wyszła, usłyszała jego cichy śmiech. Benedick usiadł w fotelu i w zamyśleniu potarł brodę. Chyba naprawdę był bardzo znudzony, skoro nie mógł się doczekać wieczoru w towarzystwie Samarytanki Carstairs. Nie wierzył w dyrdymałki, które opowiadała, ale nie miał wątpliwości, że ona traktuje te rewelacje niczym prawdę objawioną. Zresztą i tak nie miał co robić. Elsmere'owie byli nudziarzami, ale wiedział, że na przyjęciu zjawi się kilku jego przyjaciół, a skoro nowa znajoma miała ochotę pobawić się w śledczego, nie widział powodu, żeby ją zniechęcać. Postanowił, że zabierze ją do Elsm-

ere'ów i sprawdzi, na ile będzie mógł sobie pozwolić, zanim ją przerazi. Jej niepokój w kwestii niegodziwych czynów Zastępów musiał być w dużej mierze nieuzasadniony.

Organizacja rozpadła się niedługo po koszmarnym zebraniu na skraju Krainy Jezior, gdzie piekielny szwagier Benedicka ośmielił się sprowadzić jego siostrę. Reperkusje były tak skandaliczne, że nikt nigdy się nie odważył sugerować wskrzeszenia grupy męczących sybarytów.

Przynajmniej tak mu się dotychczas wydawało. Inna sprawa, że nie był w mieście od lat, a dokładnie odkąd Barbara postanowiła uprawiać miłość z każdym jego znajomym, no i oczywiście podczas roku żałoby. Może rzeczywiście Zastępy się reaktywowały - jeśli tak, to było wielce prawdopodobne, że Brandon został jednym z ich członków.

Postanowił nawet nie rozważać tej możliwości. Mimo to Samarytanka Carstairs mogła mu zapewnić pierwszorzędną rozrywkę.

Nagle usłyszał dyskretny kaszel Richmonda.

- Zaniósłeś do powozu pudełko ciastek? - spytał Benedick.

- Tak, wasza lordowska mość. Poprosić kucharkę, by upiekła nieco więcej?

Benedick, który nie przepadał za słodyczami, zastanawiał się przez chwilę.

- Może warto mieć pewien zapas pod ręką, Richmond - odparł w końcu. - Podejrzewam, że jeszcze nie raz zobaczymy lady Carstairs.

- Znakomicie, wasza lordowska mość - wymamrotał Richmond.

O dziwo, Benedick był pewien, że majordomus mówi całkiem szczerze.

Powóz Rohanów był kwintesencją elegancji i Melisanda usiadła w środku z westchnieniem. Też mogła sobie pozwolić na taki ekwipaż, ale luksus wydawał się jej nieco obsceniczny w kontraście do życia prowadzonego przez jej podopieczne. Nie znaczyło to jednak, że nie mogła się cieszyć komfortem, kiedy ktoś go jej narzucał.

Przejażdżka na King Street okazała się krótka i Melisanda dopiero w ostatniej chwili zobaczyła pudełko na siedzeniu naprzeciwko. Sięgnęła po nie i zerknęła na bilecik, zaadresowany na jej nazwisko, bez żadnego podpisu. Wiedziała jednak, że to od Rohana. Gdy rozwiązała wstążkę i otworzyła pudełko, roześmiała się mimowolnie. Najwyraźniej zauważył, że nie mogła oprzeć się ciasteczkom.

Gdyby miała odrobinę rozumu w głowie, zostawiłaby je w powozie, ale wcale nie zamierzała tego robić. Mollie Biscuits była doskonałą kucharką, jednak nie osiągnęła jeszcze takiej perfekcji. Melisanda postanowiła, że weźmie ciastka i zje wszystkie co do okruszka.

W domu czekała już na nią Emma z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Melisando, gdzieś ty była? - wykrzyknęła.

Melisanda podała jej pudełko, ściągnęła czepek oraz rękawiczki i rzuciła je na stół. Dziewczęta, które uczyły się na pokojówki, dopiero zaczynały, więc jeszcze musiały przywyknąć do witania gości od drzwi, ale Betsey najmłodsza z nich, była najbardziej skora do nauki.

- U Rohana - wyjaśniła Melisanda. - Pomoże nam.

Emma przez chwilę milczała, więc Melisanda popatrzyła na nią uważniej. Nagle dopadło ją niepokojące podejrzenie.

- Nie chciałaś, żebym tam pojechała... Był jakiś powód?

- Po prostu uważam, że Rohanowie nie są najodpowiedniejszymi pomocnikami przy próbach rozpędzenia Niebiańskich Zastępów - odparła Emma ostrożnie. - Szczególnie że plotki głoszą, iż to właśnie oni pomogli je utworzyć.

- Dlatego właśnie sędzę, że wicehrabia Rohan to doskonały wybór. Wie, jak działa to stowarzyszenie, i zna większość jego członków, nawet jeśli sam do niego obecnie nie należy.

- A skąd to wiesz?

- Tak mi powiedział. Nie powinnam mu wierzyć?

- O ile mi wiadomo, rzadko dajesz wiarę mężczyznom - zauważyła Emma.

Melisanda spojrzała na nią uważnie. Emma była uroczą kobietą, obecnie zupełnie inną niż wyperfumowana i wymalowana madame Cadbury, którą Melisanda poznała niemal dwa lata wcześniej. Miała znakomity akcent i maniery świadczące o dobrym pochodzeniu, jednak nie lubiła mówić o przeszłości, a Melisanda nie pytała. Doszła do wniosku, że Emma powie jej o wszystkim, gdy będzie gotowa.

- Obie świetnie wiemy, jak godni zaufania są mężczyźni. Tym razem jednak mu wierzę. Był naprawdę zszokowany, gdy powiedziałam, co zamierzają. - Zamyśliła się na

chwilę. - Cóż, może nie zszokowany, ale raczej niemilo zdumiony. Zresztą nie zamierzał nic z tym zrobić, dopóki nie powiedziałam mu, że jego młodszy brat ma zamiar uczestniczyć w tym przeklętym procederze.

- Uwierzył ci?

- Miał wątpliwości - przyznała. - Ale chce pomóc, co oznacza, że dzisiejszego wieczoru udam się na przyjęcie.

- Z wicehrabią Rohan? - Emma uniosła brwi.

- Między innymi. Zabiera mnie na przyjęcie u lorda i lady Elsmere'ów. Mówi, że jeśli ktoś należy do stowarzyszenia, to na pewno oni, a warto od czegoś zacząć. Może napomkną coś o planach Zastępów na najbliższą pełnię, może odkryjemy coś na temat innych członków. To jakiś początek.

- Rozumiem. - Emma cofnęła się o krok. - A więc dziś pojawisz się w towarzystwie u boku Rohana. Co na siebie włożysz?

- Nie zastanawiałam się nad tym - skłamała Melisanda, odgarniając włosy z twarzy. - Na pewno coś zostało z mojego debiutu.

- Chryste Panie - wymamrotała Emma. - Nareszcie coś dla nas. Dziewczęta! - krzyknęła. - Nowe zadanie!

Stadko zbiegło się natychmiast, jakby wszystkie dziewczęta podsłuchiwały. Tak pewnie zresztą było.

Kilka następnych godzin minęło jak z bicza strzelił. Mieszkanki domu zaciągnęły Melisandę do małego saloniku, gdzie dziewczęta uczyły się manier. Przyniesiono tam skrzynie ze strychu i już po chwili stare suknie leżały dosłownie wszędzie.

- Nie, ta żółć jest paskudna - oceniła Emma, patrząc na niemodną, balową kreację, którą trzymała Violet. - Melisanda wyglądałaby w niej bardzo niezdrowo. Potrzeba jej czegoś w kolorze jasnego różu.

- Róż nie był w modzie, kiedy debiutowałam - zauważyła Melisanda, ale została zignorowana.

- Betsey, każ przygotować kąpiel dla lady Carstairs - zarządziła Emma. - Musi się dobrze namoczyć i przetrzeć skórę mlekiem, żeby była modnie blada. Nie powinnaś była



wychodzić na słońce bez parasolki - zwróciła się do Melisandy. - Nawet najlepszy czepek nie ochroni cię przed słońcem.

- Przepraszam - bąknęła Melisanda.

- Nieważne. Zrobimy, co w naszej mocy.

- Ja dobrze czeszę włosy - oświadczyła Agnes, ruda dziewczyna z Irlandii i z ulic Whitechapel.

- Potrzeba czegoś lepszego niż ta paskudna koronka, co ją jaśnie pani nosi.

- Jestem wdową! - obruszyła się Melisanda.

- Masz rację, Agnes. - Emma zdawała się jej nie słyszeć. - Jane, wiem, że dobrze malujesz. Nie chodzi mi o to, czym zwykle pacykowałaś sobie twarz, tylko o coś subtelnego. Rozjaśnij jej oczy i dodaj stosowny rumieniec.

- Ja się nie rumienię! - Melisanda natychmiast udowodniła zebranym, że to nieprawda, gdy niecierpliwe ręce zaczęły ściągać z niej niemodną suknię.

- Lady Carstairs, ma pani piękną figurę! - westchnęła Sukey, była kochanka katolickiego biskupa. - Trudno się poznać w tych pani ubraniach. Co za biust!

Melisanda natychmiast skrzyżowała ręce na piersiach. Dziewczęta narzuciły na nią suknię, więc pozostało jej jedynie unieść ręce i wsunąć je w rękawy. Po chwili popatrzyła na jasnozieloną kreację, którą jej ciotka zawsze określała mianem nazbyt śmiałej.

- Za mały dekolt - oświadczyła Emma. - I musimy mocniej ją zasznurować. Odegnijcie ten tren, jest przeraźliwie niemodny, i dodajcie trochę koronki do gorsetu.

- Ja mam koronkę! - oznajmiła chuda Polly.

- Ten gorset też niech znika - powiedziała Violet. - Ma kto coś bardziej skąpego?

To pytanie rozbawiło wszystkie dziewczęta.

- A kto nie ma? - odezwała się Hetty. - Zobaczymy, co najlepiej pasuje. Proszę się nie martwić, jaśnie pani, wszystko jest przyzwoite jak diabli. A poza tym gorsety to były tylko do pokazywania, i tak się je szybko ściąga.

- Nie włożę czegoś takiego! - zaprotestowała oburzona Melisanda.

- Włożysz, zapewniam cię. Dzięki temu będziesz miała piękną talię i poczujesz się bardzo niegrzecznie. - Emma pociągnęła ją za suknię. - Wszystko masz trzy rozmiary za duże?

- Ciotka była przekonana, że jeśli będę nieustannie zajadać słodycze, bardzo utyję, a chciała, żeby ubrania nadal na mnie pasowały - wyznała Melisanda ze wstydem.

- Nonsens. - Emma popatrzyła na nią surowo. - Nadal jesz słodycze?

- Obawiam się, że tak.

- I masz śliczną figurę. Mężczyźni uwielbiają takie krągłości.

- Nieźle by pani zarobiła, lady Carstairs - oznajmiła bezczelnie Violet. - Chude dziewczyny zawsze wybiera się na końcu.

Melisanda z wrażenia omal się nie zakrztusiła.

- Pora na kąpiel. - Emma ściągnęła z niej suknię. - Violet, ty i Agnes będziecie tu dowodzić. Wiecie, co robić.

- Pewnie, pani Cadbury! Ja i Agnes ustroimy ją jak dla księcia.

- Ale ja nie będę robiła tego, co wy byście robiły - zauważyła Melisanda słabym głosem.

- Dajcie jaśnie pani kieliszek bordeaux. - Emma znów udawała, że jej nie słyszy. - Przed nami mnóstwo pracy!

## Rozdział dziewiąty

Melisanda zerknęła na siebie w lustrze i zarumieniła się na widok ogromnego dekoltu. Miała nadzieję, że prośba o koronkę pomoże jej zachować skromność w tej śmiało wyciętej sukni, ale dziewczęta uczące się na krawcowe jeszcze bardziej obniżyły dekolt, skrawek koronki zaś był ukłonem w stronę mody, a nie skromności.

Wicehrabia Rohan miał zjawić się za pół godziny, a Melisanda już była wyczerpana.

Dziewczęta wybieliły jej skórę, długie do bioder włosy poskręcały w wymyślne loki, a potem wepchnęły Melisandę w halkę tak delikatną, że wydawała się przezroczysta. Gorset wypychał jej biust i zapewniał wyraźne wcięcie w talii. Haftowane złotem pantofelki do tańca należały do Chudej Polly, pończochy pożyczyła Melisandzie Hetty, a srebrny szal był własnością Emmy. Nawet koronkowe reformy pochodziły z dawno zapomnianego zapasu bielizny, którą Melisanda kiedyś wrzuciła do kufra na wieczne zapomnienie. Obstałowała ją przy okazji nieudanego romansu, a oszczędność nie pozwoliła jej wyrzucić frywolnego przyodziewku, mimo że Wilfred okazał się zdradliwym draniem.

- Przecież nikt nie będzie oglądał moich reform! - syknęła z oburzeniem, gdy Emma upierała się, by je włożyła. - A już na pewno nie lord Rohan.

- Nigdy nie wiadomo - oświadczyła Violet. - Może namówi jaśnie panią, żeby z nich wyskoczyła.

- Oj nie - zarechotała Długa Jane. - Jaśnie pani ma więcej oleju w głowie. Nie rozłoży nóg przed takim, nawet jak jest bardzo ładny.

- Och, jest śliczny - westchnęła Violet.

Reszta kobiet zaczęła ochoczo potakiwać, a Melisanda spojrzała na nie z przerażeniem.

- Na litość boską, czy on spał z wami wszystkimi? - wykrzyknęła.

Sukey uśmiechnęła się szeroko.

- Po pierwszym razie mógł nas brać za darmo, jaśnie pani - wyjaśniła.

- Dziewczęta, o tym nie będziemy rozmawiać - powiedziała surowo Emma. - Wyglądasz prześlicznie, moja droga. Żałuję tylko, że nie mamy odpowiedniej biżuterii.

- Ja mam - odezwała się Hetty cicho, wchodząc z korytarza z aksamitną sakiewką w dłoni. - To moje oszczędności, ale chętnie pożyczę jaśnie pani. Dał mi je hrabia Selfridge. Powiedział, że to rodzinne klejnoty. Nie miał gotówki, a przecie musiał czymś zapłacić.

Emma wzięła od niej woreczek i go otworzyła, po czym zagwizdała w sposób zupełnie nieprzystający damie.

- Doskonale, Hetty - oznajmiła z zadowoleniem. - Obiecuję, że dostaniesz je z powrotem.

Szmaragdy były przepiękne i podkreślały zieleń sukni. Kolczyki do kompletu wychylały się spod loków Melisandy, artystycznie skreślonych przez Agnes. Do tego miała poprawione węglem rzęsy i przyprószoną ryżowym pudrem skórę, która dzięki temu wydawała się jaśniejsza, wręcz promienna.

- Nie mogę! - wykrzyknęła Melisanda w panice, ale to oświadczenie spotkało się z chórem protestów.

- Możesz - powiedziała Emma spokojnie. - To dla większego dobra.

Melisanda nagle się zawstydzila. Te kobiety musiały sprzedawać swoje ciała, leżeć pod obcymi mężczyznami tylko po to, by przetrwać. Naprawdę mogła choć trochę się wysilić, żeby im pomóc.

- Wychodzimy, dziewczęta! - Emma zaczęła przepędzać stadko. - Dotrzymam lady Carstairs towarzystwa, dopóki nie zjawi się wicehrabia Rohan.

Dziewczęta niechętnie wyszły i przyjaciółki zostały same. Zegar wybił wpół do dziesiątej, na co Melisanda poczuła ucisk w brzuchu.

- Dam ci pewną wskazówkę - zaproponowała Emma z uśmiechem. - To sztuczka nierządnic, ale całkiem przydatna. Wyobraź sobie, że odgrywasz rolę na scenie, jak wielka aktorka. To nie jesteś ty, to nie ma z tobą nic wspólnego. Po prostu wykorzystujesz swoje ciało dla wyższego celu. Możesz się uśmiechać, możesz flirtować i tańczyć, i udawać, że jesteś kimś innym, a wtedy to nie będzie miało żadnego znaczenia. Ty, prawdziwa ty, będziesz ukryta w środku całkiem bezpieczna.

- Sprawiasz, że zaczynam się siebie wstydzić - wyznała Melisanda.

- Nonsens - oburzyła się Emma. - Nie ma się czego wstydzić. Wszyscy na świecie muszą odgrywać jakieś role. Chciałaś kiedyś być kimś innym, kimś, kto jest na przykład niemożliwie piękny lub pełen gracji, kto ma wszystko i kto jest wszystkim, czym ty kiedykolwiek pragnęłaś być?

- Owszem - odparła Melisanda głucho.

- No to udawaj, że jesteś tą osobą. Rób to, co ona by robiła, śmiej się tak, jak ona by się śmiała i bądź szczęśliwa, tak jak ona by była.

- Ale ona nie żyje.

Emma pokręciła głową.

- Nie bądź taka ponura - poprosiła. - Bądź wobec tego taka, jak ona, kiedy jeszcze żyła. Jeśli poczujesz się niepewnie, powiedz sobie, że jesteś... Jak ona miała na imię?

- Annis.

Emma zawahała się przez chwilę, jakby to imię było jej znane, ale nie mogła sobie przypomnieć, kto je nosił.

- Więc powiedz sobie, że jesteś Annis i że zamierzasz spędzić wesoły wieczór, i nie masz zamiaru dopuścić, żeby ktokolwiek cię zasmucił. Przyda ci się ta sztuczka?

Melisanda spróbowała się uśmiechnąć.

- Szerzej, moja droga - poleciła jej Emma. - Uśmiech musi dotrzeć do oczu.

Spróbowała raz jeszcze.

- Doskonale. Wydaje mi się, że słyszę na dole głos wicehrabiego Rohan. Nie pozwól, by cię zdeprymował.

- Bardzo wątpię, żeby potrafił. - Melisanda zaśmiała się niepewnie i narzuciła cienki szal na ramiona.

Wiedziała jednak, że nie dorówna wicehrabiemu. Nie mogła też myśleć o sobie w roli Annis, wesołej i pięknej kobiety, która poślubiła Benedicka Rohana, po czym umarła podczas porodu. Mogła jednak wykorzystać wicehrabiego dla dobra innych.

Z wysoko uniesioną głową ruszyła w stronę schodów.

Od pięciu godzin Benedick Rohan żałował swojej impulsywnej decyzji i gdy pojawił się w Carstairs House, był w fatalnym nastroju. Pewnie w ogóle nie wysłuchałby lady Carstairs, gdyby nie była aż tak zajmująca. Ubolewał, że nie jest jedną z tych nieszczęśnic, którym próbowała pomóc, tylko ich zbawicielką. Co prawda postanowił nie brać sobie kochanki na ten sezon, ale gdyby Melisanda była do wzięcia, pewnie zmieniłby zdanie. Fascynowały go jej kształty pod tymi okropnymi ubiorami, a poza tym intrygowało go, co by zrobiła, gdyby ją pocałował i... gdyby trafiła do jego łóżka.

Wzruszył ramionami, przeskakując po dwa stopnie na schodach do Carstairs House. Potężna ulewa zamieniła się w mżawkę, ale nie śpieszył się z powodu deszczu. Gdyby zwlekał, być może w ogóle by zrezygnował, a przecież nie należał do tchórzy.

W najlepszych domach służba zawsze stała przy drzwiach i otwierała je, nim jeszcze gość zapukał. To nie był jeden z takich domów. Benedick tłukł laską o drzwi wejściowe w nadziei, że lady Carstairs niespodziewanie zapadła na ciężką chorobę, która zmusi ją do kilkumiesięcznego wyjazdu na wieś, dzięki czemu on będzie mógł bez przeszkód oddawać się swoim ulubionym rozrywkom.

Dziewczynka, która otworzyła drzwi, wyglądała na mniej więcej dwanaście lat. Była o wiele za młoda na jedną ze zreformowanych gołąbeczek lady Carstairs, przynajmniej miał taką nadzieję. Patrzyła na niego przez chwilę, bardzo uważnie, po czym przypomniała sobie wyuczoną lekcję: wpuściła go do środka i wyciągnęła rękę po kapelusz oraz płaszcz gościa.

- Jaśnie pani przyjdzie za moment - powiedziała, patrząc na niego jak na wcielenie diabła.

Benedick uśmiechnął się do niej krzepiąco. Nie był przecież ogrem i nie zamierzał straszyć dzieci.

- Witam, wasza lordowska mość - dobiegł go głos z góry.

Benedick podniósł wzrok i ujrzał na schodach pełną gracji nieznajomą. Wpatrywał się w nią przez chwilę, zastanawiając się, z kim ma do czynienia, aż nagle uświadomił sobie, że to Melisanda Carstairs. Jej złotobrzazowe włosy skrecone były w loki, skóra przypudrowana, a rzęsy przyciemnione węglem. Znał te wszystkie sztuczki, przez wiele lat obserwował swoje kochanki, i poczuł złość. Jej suknia nie była znoszoną, niemodną

kreacją, której się spodziewał, lecz najświeższym krzykiem mody, w dodatku z ogromnym dekoltem. Lady Carstairs miała na sobie uroczy naszyjnik ze szmaragdów z dopasowanymi kolczykami i wyglądała tak pięknie, że zapragnął wziąć ją za rękę, zaciągnąć do najbliższego pomieszczenia i zerwać z niej to eleganckie ubranie. I tak za dużo o niej myślał, więc ta nowa, czarująca wersja zazwyczaj nieco zaniedbanej lady Carstairs wytrąciła go z równowagi.

- Wasza lordowska mość? - powtórzyła pytającym tonem.

- Widzę, że pobierała pani nauki u swoich nierządnic - powiedział oschle i nagle się zawstydził tak nedorzecznego zachowania.

Melisanda uśmiechnęła się do niego.

- W rzeczy samej - przyznała. - Bardzo się napracowały, nie sądzi pan? Czy aby nie przesadziły? Muszę przyznać, że zupełnie się na tym nie znam, ale pani Cadbury zapewnia mnie, że wyglądam jak modna dama, a nie jak osoba z półświatka. Jeśli jednak uważa pan, że powinnam się przebrać...

- Pani Cadbury? - przerwał jej. - Ona też tu mieszka?

- Naturalnie. Chociaż nie rozumiem, dlaczego to pana interesuje.

- Najbardziej znana madame w całym Londynie jest pani lokatorką? - Nie mógł w to uwierzyć.

- Nie, wasza lordowska mość. Jest moją najlepszą przyjaciółką.

Przez chwilę myślał, że odpowiedziała sarkastycznie, ale uświadomił sobie, że mówiła szczerze. Postanowił nie kontynuować tematu - co zresztą miałby powiedzieć? To nie była jego sprawa. Nie interesowała go Melisanda Carstairs. Pragnął jedynie przekonać się, czy jej oskarżenia mają podstawy i czy jego brat jest zaangażowany w wiadomy proceder.

- Suknia jest piękna, a to, że malowała się pani, rozpozna tylko koneser - powiedział, nie wnikając w szczegóły, by sama wyciągnęła wnioski. - Możemy już iść, czy zmieniła pani zdanie?

- Naturalnie, że nie zmieniłam zdania - odparła. - Przecież mamy misję.

- Boże, dopomóż - wymamrotał Benedick pod nosem i nadstawił jej ramię.

Dotąd nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego powóz jest zbyt mały. Cóż, przyjechał lando, przeznaczonym do jeżdżenia po mieście, a nie do pokonywania długich dystansów.

Melisanda usiadła naprzeciwko niego, a delikatny zapach damskich perfum podrażnił jego nozdrza.

Był chłodny, wiosenny wieczór i choć minęła dziewiąta, nie zapadł jeszcze zmrok i mógł się lepiej przyjrzeć swojej towarzyszce. Wydawała się spokojna i opanowana, jak zawsze, ale wiedział doskonale, że wcale tak nie jest.

Usiadł w cieniu, tak by nie dostrzegła jego twarzy.

- Proponuję, byśmy udawali dobrych przyjaciół - oznajmiła niespodziewanie. - Inaczej moja obecność może się wydać nieco dziwna.

- I tak nikt w to nie uwierzy. Będą przekonani, że jesteśmy kochankami.

Zarumieniła się, co bardzo pasowało do jej bladej karnacji.

- Nikt, kto mnie zna, nie popełni takiego błędu - odparła wyniośle.

- Ale przecież pani nikt nie zna - zauważył Benedick. - Stroni pani od towarzystwa, by oddawać się tym drażniącym dobrym uczynom.

- Czy chociażby z tego nie wynika, że nie jestem skora do miłosnych przygód? - burknęła.

- W rzeczy samej. Przygoda, jak pani to ujęła, nie jest zbyt dużą pokusą, jednak trudno się oprzeć romansowi, któremu towarzyszy przyspieszone bicie serca, pulsowanie krwi i pragnienie. A poza tym wszyscy dobrze mnie znają - dojdą do wniosku, że jest pani mną zauroczona i że spadła pani z piedestału wprost do mojego łóżka. Przynajmniej na jakiś czas.

- Ufam, że zrobi pan, co w jego mocy, by wyprowadzić ich z błędu. - W jej głosie dało się słyszeć szczere przerażenie.

Benedick zaśmiał się dyskretnie.

- Zrobię, co w mojej mocy, wątpię jednak, czy moje protesty na coś się zdadzą - odparł. - Jeśli obieca pani nie czepiać się mojego ramienia i nie patrzeć na mnie z adoracją, może uda się nam przekonać ludzi, że spotykamy się wyłącznie w celu zaspokojenia żądzy cielesnej. Przecież nawet świętych muszą trapić cielesne żądze, jak mniemam.



- Nie jestem świętą - powiedziała cicho, a on przypomniał sobie historię o Wilfreddie Hunnicucie i jej chwilowym zejściu ze ścieżki cnoty.

- Nie, nie jest pani - westchnął, patrząc, jak jej biust wznosi się i opada.

Nagle zrozumiał, że choć Samarytanka Carstairs nie darzy go sympatią, to jednak go pragnie. Pewnie nie znosiła siebie za to, że ją pociągał, pewnie nawet nie chciała myśleć o tej możliwości. Być może dlatego wydawała się teraz tak spłoszona. Uśmiechnął się w ciemności i doszedł do wniosku, że mimo wszystko będzie się dobrze bawił.

- Proponuję, byśmy nie przejmowali się tym, co ludzie wyobrażają sobie na temat naszego związku - oświadczył. - Niech myślą, co chcą. Musimy odkryć, kto z nich jest zaangażowany w obecną działalność Niebiańskich Zastępów, jeśli pani absurdalne podejrzewania okażą się słuszne. W takim wypadku musimy również się dowiedzieć, gdzie i kiedy odbędzie się najbliższe spotkanie.

- Nie powinniśmy przede wszystkim odkryć, czy pański brat jest zaangażowany w ich działalność? - zapytała. - Czy też wierzy mi pan bez zastrzeżeń?

- Jeżeli wszystko odbywa się w sposób opisany przez panią, nie wątpię, że mój brat jest zaangażowany - przyznał Benedick. - Ma problemy. Wojna w Afganistanie była dla niego bardzo trudna, został poważnie ranny. Od dawna nie może się pozbierać i jestem przekonany, że pociąga go wszystko, co nihilistyczne. Poza tym ostatnio zrobił się niezwykle tajemniczy i mam powody, by się martwić. - Mówił jej więcej, niż zamierzał, i zastanawiał się dlaczego. - Porozmawiam z lordem Elsmere'em, spróbuję pociągnąć go za język. Proponuję, by pani zamieniła słowo z jego żoną.

Melisanda zmarszczyła brwi.

- Kto uczynił pana głową tej operacji? - mruknęła z przekąsem.

- Pani, prosząc mnie o pomoc - odparł bez wahania. - To mój świat, lady Carstairs, świat, od którego się pani oddaliła. Ja go znam i znam też jego mieszkańców. Byłaby pani nierozsądna, nie słuchając mnie, a przecież pani taka nie jest.

Zachmurzyła się. Najwyraźniej pragnęła, by wiedział, jak bardzo ją irytuje.

- Nie, nie jestem - oznajmiła po chwili.

W duchu miała taką nadzieję.

Powóz się zatrzymał, a jeden z lokajów zeskokczył na ziemię. Benedick nie mógł pozbyć się wrażenia, że właśnie przekroczyli ostatnią granicę i nie ma już możliwości odwrotu.

„Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie”, głosił napis przy wejściu do piekła w dziele Dantego. „Czyń wedle uznania”, widniało na wejściu do fikcyjnego opactwa Thelemy z powieści Rabelais'go.

Drzwi się otworzyły, a on popatrzył na miejski dom Elsmere'ów i na kobietę, która mu towarzyszyła. Zastanowił się, które z tych powitań byłoby bardziej odpowiednie w obecnej sytuacji.

TLR

## Rozdział dziesiąty

- Benedick, mój stary! - Oczywiście Harry Merton musiał być pierwszym człowiekiem, na którego wpadli. Melisanda stała tyłem do Benedicka, gdyż wręczała swój szal pokojówce, kiedy Harry zjawił się w przedsionku, z szerokim uśmiechem na nieco gapowatej twarzy. - Cieszę się, że cię widzę. Znalazłem dla ciebie wspaniałą turkaweczkę, dziewczynę o niewiarygodnej elastyczności. Nie uwierzyłbyś, co potrafi zrobić ze swoją...

- Dobry wieczór, Harry - przerwał mu Benedick pośpiesznie.

Harry zamrugał ze zdumieniem. Po jego oczach było widać, że sporo już wypił.

- Dobry wieczór - odparł po chwili. - Udało się coś z Samarytanką? Chętnie sam bym spróbował, zakładając, że udałoby mi się rozewrzeć te nóżki.

Melisanda odwróciła się do niego, a jej błękitne oczy miały płomień. Harry znowu zamrugał, wyraźnie zakłopotany.

- Najmocniej przepraszam, mój stary - wymamrotał. - Nie zauważyłem, że jesteś z damą. Dureń ze mnie. Proszę wybaczyć. - Ukłonił się nieco chwiejnie. - Sługa uniżony, droga pani.

Melisanda Carstairs przyglądała mu się przez chwilę, a Benedick zastanawiał się, czy zaatakuje. W końcu jednak z uprzejmym uśmiechem wyciągnęła dłoń w rękawiczce, którą Harry natychmiast ucałował.

- Pozwolę sobie przedstawić mojego starego przyjaciela, Harry'ego Mertona - oznajmił Benedick. - Jak powiedział, dureń z niego, ale ma dobre serce. Harry, chyba znasz lady Carstairs.

- Naturalnie - odparł Harry odruchowo i nagle dotarły do niego słowa Benedicka. - To znaczy... Wiem, że... To znaczy... - mamrotał z przerażeniem na twarzy, w końcu jednak zdołał się zebrać w sobie. - Znałem pani męża, lady Carstairs. Sir Thomas był dobrym człowiekiem.

- Niezupełnie - powiedziała, czym jeszcze bardziej wytrąciła Harry'ego z równowagi.

Benedick ujął Melisandę pod ramię i przyciągnął do siebie nieco władczym gestem.

- Wybaczysz nam, Harry, dobrze? Melisanda umiera z głodu, a ja obiecałem, że ją nakarmię. - Poczul, jak zeszywniała, więc uśmiechnął się do niej. Naprawdę była uroczą. - Dołączymy do reszty, najdroższa?

Z satysfakcją pomyślał, że to zupełnie nie przypadło jej do gustu. Nic jednak nie mogła poradzić, musiała podejść wraz z nim do szerokich marmurowych schodów i wkroczyć po nich na piętro. Po chwili znaleźli się w zatłoczonym salonie.

- Nie bądź taka niespokojna - mruknął ledwie słyszalnym głosem Benedick. - Nie popchnę cię przecież na podłogę i nie zacznę napastować.

- Wcale tak nie myślałam. Nie wątpię, że nie używałby pan przemocy.

- Widzę, że się uczysz, moja droga. - Uśmiechnął się do niej.

- Proszę się do mnie nie zwracać tak familiarnie - obruszyła się.

- Obawiam się, że muszę, mam na uwadze swoją reputację. Jeśli ludzie zaczną podejrzewać, że przyprowadziłem cię tu z innego powodu, wyrzucą nas, nim zdążymy cokolwiek się dowiedzieć. Oddaj się w moje ręce, a obiecuję, że sprawy przebiegną gładko. - Pogłaskał ją palcami po dłoni, tak delikatnie, jakby miał nadzieję, że nawet tego nie zauważy.

- Niech pan tak mówi tylko wtedy, kiedy ludzie nas słyszą.

- Muszę się przyzwyczaić, i ty też powinnaś.

Zerknął na nią z góry i uświadomił sobie, że od pewnego czasu jego myśli krążyły niemal wyłącznie wokół Melisandy Carstairs. Rozrywki, które usiłował sobie fundować, nie sprawiały mu takiej satysfakcji, jakiej oczekiwał, gdyż ciągle miał przed oczami zdeterminowaną twarz tej niezwyklej kobiety.

Po drugiej stronie pomieszczenia lord i lady Elsmere'owie witali gości. Czekając na swoją kolej, Benedick pochylił się ku Melisandzie.

- Wygląda na to, mój skarbie, że będę musiał cię uwieść - wyszeptał jej do ucha.

W tym samym momencie zaanonsowano ich przybycie i wszyscy goście spojrzeli na nich, zastanawiając się, co na litość boską, Samarytanka Carstairs, święta z King Street, robi w towarzystwie jednego z tych niecnym Rohanów.

Lady Elsmere była wiekową, mocno wymalowaną jejmością z upodobaniem do młodych mężczyzn. Powitała ich i swoim zwyczajem natychmiast obrzuciła taksującym spojrzeniem.

- Na litość boską, Rohan! - wykrzyknęła. - Czyżbyś najechał na klasztor?

Benedick objął Melisandę w pasie.

- Nie nazwałbym mojej damy klasztorem, lady Elsmere - wyszeptał poufale.

Melisanda wyczuwalnie drgnęła, a on doszedł do wniosku, że gdyby chciał, mógłby przejść z nią do innego pokoju i bez wysiłku zedrzeć z niej suknię. Ta myśl bardzo przypadła mu do gustu. Lekko cmoknął Melisandę w policzek i przezornie się odsunął.

- Bardzo się cieszymy, że pani do nas dołączyła, moja droga - powiedziała lady Elsmere. - Widzę, że Rohan przekonał panią do powrotu do towarzystwa. Proszę na niego uważać, namówiłby świętą, by dzieliła łożę z szatanem. Czyżby to się już stało?

- Ja wcale nie... - zaczęła Melisanda, ale Benedick uszczypnął ją w ramię. Spiorunowała go wzrokiem, po czym uśmiechnęła się do lady Elsmere. - To znaczy, jeszcze nie zdecydowałam, czy będę bywać w towarzystwie, ale dziś wicehrabia Rohan nie chciał słyszeć o odmowie.

- To oczywiste - zaśmiała się lady Elsmere. - Proszę nie mówić, że pani nie ostrzeżałam, lady Carstairs. To bardzo niebezpieczny człowiek.

- Niech pani nie żartuje, lady Elsmere. Jestem jak jagniątko.

- Proszę usiąść przy mnie później, moja droga, a wszystko pani o nim opowiem. - Lady Elsmere nie zwróciła na Benedicka najmniejszej uwagi. - Tymczasem może zatańczycie? Wicehrabia Rohan przynajmniej zajmie ręce czymś przyzwoitym.

Benedick ukłonił się jej, po czym odszedł wraz z Melisandą.

- Musiał mnie pan tak mocno szczypać? - zapytała Melisanda wściekle.

- Wyglądałaś, jakbyś nosiła się z zamiarem wygłoszenia wykładu o prawach kobiet albo czymś równie nudnym. Przecież przyszłaś tu jako moja kochanka.

- Jako przyjaciółka - poprawiła go.

- A niby dlaczego moja przyjaciółka zjawiłaby się na przyjęciu notorycznych łobuzów? Z ciekawości?

- Niewykluczone - przytaknęła. - A może chciałabym przekonać gości do mojej sprawy?

- No to wybrałaś złą grupę.

Z pokoju obok dobiegała muzyka i Benedick zaczął prowadzić Melisandę w tym kierunku.

- Zatańczysz ze mną - oświadczył. - To polecenie lady Elsmere.

- Co za urocze zaproszenie. Nie, nie zatańczę.

Benedick westchnął ciężko.

- Jeżeli każdy krok będzie bitwą, do następnej Gwiazdki nie odkryjemy, co planują Niebiańskie Zastępy - zauważył. - Czy mogę cię prosić o ten taniec?

Czuł, że Melisanda się waha i pragnie odmówić, ale nie przecenił jej inteligencji. Doskonale wiedziała, że nie warto tracić czasu na jałowe kłótnie.

- To walc - oznajmiła.

- No właśnie - przytaknął.

Zanim zdążyła cokolwiek dodać, wziął ją w ramiona i zaczął z nią wirować po parkiecie.

Na początku trochę się potykała, jakby nie była przyzwyczajona do tańca, więc zwolnił, aby oswoiła się z rytmem muzyki. Była sztywna jak deska i niezręczna w ruchach, a on próbował poskromić zniecierpliwienie. Sam dobrze tańczył, zwłaszcza jak na tak wysokiego mężczyznę, i zwykle unikał nieporadnych partnerek.

- Odpręż się - szepnął jej do ucha.

- Nie mogę, próbuję tańczyć.

- Nic ci z tego nie wychodzi. - Zakreślił ją nieco szybciej, by wytrącić ją z równowagi. Wiedział, że za bardzo się starała. - To jest jak zbliżenie fizyczne, moja droga - dodał. - Przestań się wyrywać i pozwól mi prowadzić.

## Rozdział jedenasty

Melisanda zatrzymała się nagle, oszołomiona i wstrząśnięta, a on omal na nią nie wpadł. Zanim uświadomiła sobie, co robi, znów zaczął z nią tańczyć. Była tak poirytowana, że przestała myśleć o tym, by za nim nadążyć. W ogóle o czymkolwiek przestała myśleć.

- Wypraszam sobie - powiedziała po chwili.

- Już się kłóćcie, Rohan? - rzucił z uśmiechem Harry Merton, tańcząc obok z młodą kobietą w sukni z wyzywającym dekoltem.

Melisanda natychmiast się opanowała. Nie podobał się jej Harry Merton, nie podobała się jej lady Elsmere, a teraz wręcz nie znosiła Benedicka Rohana. Naturalnie, robił co w jego mocy, by ją wyprowadzić z równowagi, co mu się zresztą udało. Gdyby miała taką możliwość, kopnęłaby go w goleń i wyszła stąd, nie oglądając się za siebie, jednak powstrzymało ją wspomnienie pooranej bliznami twarzy Aileen. Jak mogła narzekać na maniery salonowego głupka, gdy w grę wchodziło ludzkie życie?

- Lady Carstairs ma ognisty temperament - powiedział spokojnie Rohan, gdy omiatali Mertona. - Lubi się kłócić.

- Pewnie jeszcze bardziej lubi się godzić - mruknął Merton. - Szczęściarz z ciebie, Rohan.

- W rzeczy samej.

Benedick popatrzył na Melisandę, a ona odwzajemniła spojrzenie. Dopiero teraz dostrzegła, że miał ciemnozielone oczy, nie czarne, i ciemne rzęsy. Nic dziwnego, że cieszył się powodzeniem. Która kobieta mogłaby się oprzeć komuś, kto patrzył na nią z taką intensywną przenikliwością?

Nagle muzyka umilkła, a Benedick już jej nie trzymał.

- A więc jednak potrafisz tańczyć - powiedział bardzo cicho. - Pod warunkiem, że jesteś zbyt wściekła, aby myśleć o tym, co robisz.

- Nie byłam wściekła - odparła słodko. - Jedyne zaskoczona pańskim dobrym gustem.

Roześmiał się, a kilka osób popatrzyło na nich z ciekawością.

- Jesteś naprawdę urocza. Może jednak uwiodę cię naprawdę, a nie tylko po to, żeby cię zaszokować i skłonić do lepszego tańca.

Zanim zdążyła pomyśleć, z całej siły nastąpiła mu na stopę. Odskoczył, tłumiąc przekleństwo, a ona zamarła, wstrząśnięta swoim zachowaniem. Zastanawiała się, jak się zemści.

Zdumiał ją jednak, bo roześmiał się głośno.

- Zapłacisz mi za to - powiedział, ale z takim rozbawieniem, że wcale się nie przejęła.

Prychnęła z lekceważeniem i odwróciła się od niego.

Lady Elsmere siedziała na pozłacanej kanapie w kącie sali. Melisanda ruszyła w tamtym kierunku, ignorując Harry'ego Mertona, który usiłował zwrócić na siebie jej uwagę. Po chwili dotarła do gospodyni, zajęła miejsce obok niej i powachlowała się dłonią.

- Jestem zupełnie wyczerpana - oznajmiła słabym głosem. - Wicehrabia Rohan to taki żywiołowy tancerz, że aż się dziwię, że nikogo nie podeptał.

- Mam nadzieję, że jest równie żywiołowy w pozycji horyzontalnej. - Lady Elsmere uśmiechnęła się pod nosem. - Lubię wytrzymałych mężczyzn.

- Zupełnie wyczerpana - powtórzyła Melisanda. Nawet nie chciała zastanawiać się nad słowami lady Elsmere. - W rzeczy samej, przy niektórych okazjach chciałabym, aby ukierunkował swoją uwagę także na kogoś innego.

Lady Elsmere uniosła brwi.

- Doprawdy, moja droga? Dotąd miałam wrażenie, że jest pani wręcz krzyżowcem - po części świętą, po części zakonnice. A tu, niespodziewanie, pokazuje się pani ze zdegenerowanej strony. Uważam, że to urocze.

Melisanda zerknęła na drugi koniec sali. Rohan był pogrążony w rozmowie z lordem Elsmere'em i jakimiś dwoma mężczyznami, których nie знаła, ale chyba poczuł jej spojrzenie na sobie, gdyż podniósł wzrok i popatrzył wprost na nią.

Miała nadzieję, że naprawdę prowadził śledztwo, a nie rozmawiał ze współnikami w zbrodni. Być może tylko się zabawiał, gdy zgodził się jej pomóc. W końcu był człon-



kiem tego stowarzyszenia i kto wie, czy nie chciał odwieść jej od misji? Najlepszym sposobem na to byłoby właśnie udawanie sprzymierzeńca...

Popatrzyła na lady Elsmere.

- Osobiste zainteresowania nie mają nic wspólnego z moją świadomością towarzyską, lady Elsmere. Muszę przyznać, że lord Rohan wprowadził mnie w świat nowych, niezwykle przyjemnych doznań. - Te słowa niemal wypaliły jej gardło.

Doszła do wniosku, że Benedick się nie mylił i w zaistniałych okolicznościach nie pozostało im nic innego, jak tylko udawać kochanków. Nikt by nie uwierzył, że jest tylko jego przyjaciółką, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak się do niej odnosił na przyjęciu. Miał jednak rację - gdyby jej nie przytrzymał, pewnie by uciekła. Albo Harry Merton okazałby zainteresowanie rozwarciem jej nóżek, jak wyraził się ten okropny człowiek.

Tak naprawdę, Merton nie był żadnym potworem, lecz przystojnym trzydziestoparolatkiem o jasnych oczach, ładnej skórze i szerokim uśmiechu. Wydawał się całkiem pijany, ale co do tego Melisanda nie miała pewności. Mimo głupkowatego uśmiechu rozglądał się wyjątkowo uważnie, co mogło oznaczać, że tylko udawał nietrzeźwego próżniaka.

Lady Elsmere zachichotała lubieżnie,

- Moje dziecko, jak ja pani zazdroszczę - westchnęła. - Z przyjemnością posmakowałabym energii lorda Rohana.

Melisandę kusiło, by zapytać o Niebiańskie Zastępy, jednak nie mogła tego zrobić. Wiedziała, że nie zostanie zaproszona do wstąpienia w ich szeregi, gdyż jej reputacja była zbyt dobrze znana. Najpierw należało uwiarygodnić się w oczach członków. Poza tym na myśl, że lady Elsmere mogłaby dotykać Rohana, Melisandzie zrobiło się niedobrze. Postanowiła to zignorować i uśmiechnęła się.

- Teraz jest tylko mój - oznajmiła.

- W rzeczy samej, jestem tylko twój, najdroższa - usłyszała głos za sobą i poczuła, jak rumieniec wypełza jej na policzki.

Ręce Benedicka spoczęły na jej obnażonych ramionach. Melisanda pisnęła i podskoczyła, ale jej nie puścił. Stał u jej boku i objął ją w talii w taki sposób, że jego dłoń

znalazła się niebezpiecznie blisko dolnej krawędzi piersi, a następnie pochylił się, jakby chciał pocałować ją za uchem.

- Pamiętaj, że jesteśmy kochankami, Samarytanko - szepnął. - Przynajmniej udawaj, albo będę zmuszony udowodnić im to w bardziej obrazowy sposób. Chodź, skarbie - powiedział głośniej. - Lord Elsmere pragnie z tobą zatańczyć. Ostrzegałem go, że to prawdziwe wyzwanie, ale gotów jest się go podjąć. Tylko dopilnuj, by jego ręce nie błądziły tam, gdzie nie powinny, i nie pozwól, aby podczas tańca pokierował cię do ciemnego kąta.

- Ale ja nie chcę...

- Lordzie Elsmere! - wykrzyknął Benedick. - Lady Carstairs właśnie mówiła, jak bardzo cieszy się na myśl o tańcu z panem. Proszę być jednak łagodnym, gdyż nie ma zbyt dużego doświadczenia.

Pomyślała, że jest naprawdę irytujący, i uśmiechnęła się z wysiłkiem, po czym pozwoliła, by wiekowy lord Elsmere wziął ją w ramiona. Doszła do wniosku, że jeśli to absurdalne partnerstwo przetrwa wieczór, będzie musiała wziąć kilka lekcji tańca u swoich podopiecznych.

Taniec z lordem Elsmere'em udał się jednak znakomicie. Rzeczywiście, starszy pan miał tendencję do dotykania jej tam, gdzie nie trzeba, ale Melisanda nieustannie zajmowała go rozmową. Niestety, nie powiedział jej nic, co byłoby istotne dla misji. Zachwycał się jedynie pięknem krajobrazów w Kencie, a także jakimś miejscem o nazwie Kersley Hall.

Następnie zatańczyła z niejakim Robertem Johnsonem, do kadryła poprowadził ją Harry Merton, a po jeszcze jednym walcu czuła się już całkiem pewnie. Za młodu nie miała zbyt wielu okazji do tańca. Nie stanowiła atrakcyjnej partii dla dżentelmenów, a sir Thomas był zbyt słabego zdrowia, by chodzić na przyjęcia. Wkrótce zdenerwowanie Melisandy gdzieś się ulotniło i zaczęła się całkiem dobrze bawić.

Po tańcach lord Elsmere poprowadził ją do jadalni. W drodze dołączył do nich Rohan, szepcząc coś na temat wstrzemięźliwości w jedzeniu ciastek. Spiorunowała go wzrokiem, ale on już się odwrócił i wbił wzrok w skąpo odzianą młodą damę, która tańczyła z Harrym Mertonem. Melisanda nie była tym zachwycona. Dziewczyna wyglądała

na gąskę, jej bujne kształty wręcz wylewały się z sukni, a śmiech był nawet bardziej irytujący niż rechot lady Elsmere.

Postanowiła pocieszyć się dodatkową porcją ciastek i zjadła ich całkiem sporo w nadziei, że Rohan przyłapie ją na obżarstwie, ale on prawie nie zwracał na nią uwagi. Gdy w końcu zauważył, co robi jego towarzyszka, Melisanda miała już dość słodczy i odłożyła widelec.

- Pani i Rohan powinni do nas dołączyć na jeden z weekendów - powiedział lord Elsmere, kładąc rękę na jej kolanie. Korciło ją, żeby się odsunąć, ale zmusiła się do siedzenia bez ruchu. Pomyślała, że jeśli teraz wyda się pruderyjna, na pewno nie zaproszą jej na orgię. - Kilkoro naszych przyjaciół spotyka się i wspólnie...

- Mój drogi, jestem pewna, że lady Carstairs ma lepsze rzeczy do roboty niż marnować czas na nasze nieciekawe spotkania - wtrąciła lady Elsmere ze śmiechem, a jej mąż natychmiast cofnął dłoń i wymamrotał coś niezrozumiale. - Wiesz, jacy są młodzi - mają własnych przyjaciół i własne przyjęcia. Po co zadawaliby się ze starcami? - Objęła Melisandę ramieniem. - Proszę usiąść bliżej mnie, moja droga. Znam mojego męża i wiem, że rozmowy z nim są zawsze wyjątkowo nudne. Tymczasem proponuję, byśmy ucięły sobie miłą pogawędkę. Opowie mi pani o sprawności wicehrabiego Rohan.

Melisanda zerknęła na Benedicka. Rozmawiał z jakimś dobrodusznym jegomościem i nie patrzył już na kuszącą młodą kobietę, która z zapalem prezentowała dekolt lubieżnemu starcowi po drugiej stronie stołu.

Gdy muzyka znów zaczęła grać, Melisanda miała po dziurki w nosie lady Elsmere, która najwyraźniej postanowiła zamęczyć ją rozmowami na najnudniejsze z możliwych tematów. Na szczęście Rohan przybył jej z odsieczą, więc Melisanda zerwała się na równe nogi, zanim jeszcze poprosił ją do tańca. Po chwili znów wirowali na parkiecie.

- Muszę z panem porozmawiać - wyszeptała.

Gdyby zdołał dopaść lorda Elsmere'a przed wyjściem, mogliby dostać zaproszenie na spotkanie Niebiańskich Zastępów, gdzie starsza pani miałaby okazję zakosztować... energii Rohana. Dostałby za swoje.

- Później - wymamrotał cicho. - Właśnie dotarłaś do punktu, w którym nie muszę cię już szarpać, żebyś się poruszała, jak należy.

- Właśnie, że teraz - wycedziła. - Tam jest cichy pokój, proszę mnie tam wprowadzić.

Benedick popatrzył na nią, a jego zielone oczy pociemniały.

- To chyba nie najlepszy pomysł. Jesteś pewna?

- Całkowicie. - Zaczynała tracić cierpliwość.

- Jak sobie życzysz, moja droga.

Już po chwili wprowadził ją w tańcu do wskazanego pomieszczenia i zamknął za nimi drzwi.

Znaleźli się w ciemnościach.

TTLR

## Rozdział dwunasty

Przyparta to szczupłego ciała Rohana Melisanda doszła do wniosku, że to jednak chyba nie był najlepszy pomysł.

- Co pan wyprawia? - Próbowała mówić spokojnym głosem, ale i tak słycać było w nim drżenie.

- To, moja droga, jeden z pokojów, które Elsmere'owie trzymają na amory - odparł.

- Gdy ktoś już tutaj zniknie, nie wyłoni się przez godzinę lub nawet więcej.

- A co tu można robić przez godzinę?

W ciemnościach zapadła cisza.

- Moja droga, jesteś wdową i miałaś przynajmniej jednego kochanka - rozległ się głos Benedicka. - Chyba potrafisz się domyślić?

Zupełnie zapomniała, że wiedział o Wilfredzie Hunnicucie. Sama była sobie winna i teraz płaciła za to cenę.

- Ale co tu robić przez godzinę? - upierała się. - Co można robić po pierwszych dziesięciu minutach?

Benedick wybuchnął śmiechem. Melisanda powtarzała sobie, że nie ma powodów do niepokoju. Przecież nie próbował wyrządzić jej krzywdy ani do niczego jej nie zmuszał. Po prostu ją trzymał, a w ciemnościach nawet go nie widziała. To mógł być każdy, na przykład ktoś, z kim pragnęłaby tu być, ktoś, kto ją pociągał i podniecał. Gdyby oczywiście istniał taki mężczyzna.

- Mój ty aniele - mruknął cicho. - Powiedz, proszę, że twoi kochankowie potrafili wytrzymać dłużej niż dziesięć minut.

Nie powinni o tym rozmawiać, jednak w mroku temat nie wydawał się zakazany.

- Czy liczymy czas potrzebny na doprowadzenie ubrań do porządku? - zapytała.

- Nie. Całkowite rozebranie kobiety zajmuje więcej niż dziesięć minut, chociaż ja potrafię to zrobić nawet szybciej.

- Rozebranie? - Była przerażona. - Do naga?

- Skarbie, czy ty w ogóle nie rozmawiasz ze swoją trzódką?

Poczuła, że znów się rumieni, i ucieszyła się, że tego nie widział.

- Co jakiś czas... Jeśli czegoś nie rozumiem. Przecież nie jestem zupełnie bez doświadczenia w tych sprawach.

- Mam wrażenie, że nie rozumiesz bardzo wielu rzeczy. Ktoś powinien zająć się twoją edukacją.

- Nie widzę powodu. - Odkasznęła nerwowo. - Nie zamierzam ponownie wychodzić za mąż, a branie sobie kochanka nie ma dla mnie żadnego sensu. Jeśli ktoś daje się obłapiać, równie dobrze mógłby wstąpić w związek małżeński. Ja poradzę sobie bez jednego i drugiego.

- Nie lubisz być obłapiana? - Jego głos był niski i chrapliwy.

- Nieszczerólnie. Szczerze mówiąc, mógłby mnie pan już puścić.

- Mógłbym, ale nie zamierzam. A pocałunki? Czy pocałunki też są ci wstrętne?

Znaleźli się na śliskim gruncie i Melisanda nagle poczuła strach, że nie zdoła opuścić tego pokoju bez pocałunków. Nie mogła jednak za nic w świecie zrozumieć, czemu taki hulaka jak Benedick Rohan chciałby ją całować.

- Skromne pocałunki są jak najbardziej dozwolone, o ile partnerzy darzą się uczuciem - odparła, jak jej się wydawało, szczerze.

- A jak definiujesz skromne pocałunki? - Benedick nawet nie próbował ukryć rozbawienia.

Melisanda doszła do wniosku, że nie pozwoli, by ją zawstydzał.

- Pocałunek trwający krócej niż pięć sekund zwykle wystarcza do okazania afektu.

- Pięć sekund? Mierzyłaś to? Moja droga Samarytanko! - Teraz śmiał się z niej na całego. Chciała nadepnąć mu na stopę, ale najwyraźniej on dostrzegwał coś w mroku, gdyż natychmiast się usunął. - Czy kiedykolwiek całowałaś się dłużej niż przez pięć sekund?

- Wiem, o czym pan mówi - odparła. - Emma opowiadała mi o tego typu pocałunkach i muszę powiedzieć, że dla mnie brzmi to absolutnie obrzydliwie. Dlaczego, na liść boską, miałabym całować kogoś, używając także języka?

- Pozwól, że ci to zademonstruję.

Zanim zdążyła zareagować, jego usta dotknęły jej warg. Melisanda zamarła. Jedną ręką objął ją w pasie, drugą chwycił jej brodę. Melisanda próbowała go odepchnąć, ale jego usta były rozkoszne, a pocałunek trwał z pewnością dłużej niż pięć sekund.

- Otwórz usta, turkaweczko - wyszeptał. - Nie możesz spędzić całego życia w ignorancji.

- Dlaczego nie? Uważam, że... - Popęłniła błąd.

Otworzywszy usta, by odpowiedzieć, dała mu okazję, by wsunął język między jej wargi.

- Nie bądź taka skromna, moja droga. To tylko pocałunek. - Przechylił głowę, wpychając język głębiej, między jej zęby.

To było dziwne, okropne, choć przy tym... zastanawiająco miłe. Przetaczały się przez nią fale nieznanymi doznań, a ciemność pokoju zdawała się ją otaczać niczym kokon. Nagle zrozumiała, że tego właśnie pragnie. Chciała, by ją całował w taki sposób, długo i głęboko, bez żadnych zahamowań. Pragnęła być całowana tak, jakby ją kochał i jej pragnął, jakby była najbardziej pożądaną kobietą na świecie. Mimowolnie odwzajemniła pocałunek, poruszając językiem. Jej mięśnie zwiotczały i wtuliła się w niego, a on popychał ją, powoli i konsekwentnie, ku ścianie, aż w końcu dotknęła jej plecami i zamknęła oczy.

- Naprawdę jesteś niesłychanie ponętna, moja droga Samarytanko - wymruczał, całując jej szyję.

Jego wargi dotknęły płatka ucha Melisandy, a wtedy jęknęła z aprobatą. Benedick naparł na nią biodrami i wyraźnie wyczuła jego podniecenie.

To ją zdumiało. Jeszcze nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego. Wilfred reagował powoli i był... nieduży w porównaniu do tego, co wyczuwała teraz. Benedick Rohan z pewnością wykorzystywał tę część ciała inaczej niż Wilfred i Thomas - z czymś tak dużym należało obchodzić się w szczególny sposób.

Stała na palcach, ocierając się o niego niczym zaciekawiona kotka. Usłyszała gardłowy jęk, co napełniło ją satysfakcją.

- Do licha, Samarytanko... - wyszeptał.

Musnął ustami jej skórę, a potem znowu ją pocałował. Zorientowała się, że jego duże, zwinne dłonie podciągają jej suknię i wędrują coraz wyżej.

Dotyk jego długich palców na jej nagim kolanie zmroził ją i wstrząsnął nią do tego stopnia, że nagle powróciła do rzeczywistości.

Uniosła dłonie i mocno odepchnęła Benedicka.

- Nie! - krzyknęła, cofnąwszy się o krok.

Mimo kompletnych ciemności wiedziała, że był tylko kilka centymetrów dalej, i słyszała jego ciężki oddech. Jej serce biło tak mocno, jakby zamierzało wyskoczyć z piersi. Drżała i czuła dziwną słabość w nogach, a jednocześnie miała ochotę go spoliczkować.

- Co pan wyprawia, na litość boską? - zdołała wydusić z siebie.

Benedick westchnął ciężko i przysunął się bliżej, dotykając czołem jej czoła.

- O to właśnie chodzi, moja słodka lady Carstairs. Nawet nie potrafisz rozpoznać uwodzenia. Po prostu nie możesz dalej wieść tak niewinnego życia. To zbyt niebezpieczne. Jakiś wielki, zły wilk w końcu cię dorwie i pożre.

Melisanda wstrzymała oddech.

- A skoro pan jest złym wilkiem, to jak rozumiem, chce mi pan okazać wspaniałość i pożreć mnie osobiście?

- A gdyby tak? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Jesteś tak niewinna, że naprawdę byś w to uwierzyła?

Melisanda ścisnęła ręce w pięści.

- Nie mam pojęcia - przyznała. - Jeszcze nikt mnie nie uwodził.

Nie wiedziała, czy w jego westchnieniu słysząc rozbawienie, czy też znużenie.

- To ty tu chciałaś przyjść, moja droga. Sądziłem, że jesteś gotowa doświadczyć cielesnych rozkoszy.

- Doświadczyłam mnóstwa cielesnych rozkoszy. Uwielbiam, kiedy wiosenny wiatr bawi się moimi włosami, kocham smak ciastek z cukrem, zabawę z kotkiem i trzymanie dzieci za rękę.

- Nie musisz mi mówić, że lubisz ciastka - mruknął. - Pocałunki też uwielbiasz.

- Wcale nie.

- Chcesz, żebym ci to znowu udowodnił?

- Nie!



Na te słowa odsunął się, a ona nagle poczuła się opuszczona. Teraz go widziała, cień w pokoju pełnym cieni. Ostrożnie wypuściła powietrze z płuc, zastanawiając się, co czuje.

Żal? Rozczarowanie? Ulgę?

- Chcę wracać - oznajmiła stanowczo.

- Cóż, moja droga, nie możesz - odparł szczerze. - Mówiłem ci, że chodzi tu o moją reputację znakomitego kochanka. Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie minie odpowiednio dużo czasu na porządne zbliżenie. Czyli zostało nam jeszcze czterdzieści pięć minut. Równie dobrze możesz usiąść i opowiedzieć, co cię podkusiło, by mnie tu zaciągnąć. Nie mam nic przeciwko temu. Jeśli Elsmere'owie i ich przyjaciele myślą, że udało mi się zdeprawować świętą z King Street do tego stopnia, że nie potrafi spędzić kilku godzin beze mnie między nogami, moje notowania tylko wzrosną. Kiedy stąd wyjdziemy, musisz być rozmarzona, potargana i zachwycona.

- Dlaczego jest pan taki ordynarny?

- Och, moja słodka Samarytanko...

- Proszę mnie tak nie nazywać! - Zupełnie straciła dobry nastrój.

- Moja słodka lady Carstairs? Brzmi gorzej, a Melisanda to imię dobre dla średniowiecznej męczennicy. Nikt cię nigdy nie nazywał żadnym zdrobnieniem?

- Nie. A nawet gdyby tak było, nie powiedziałabym jakim - oznajmiła i odsunęła się od ściany.

Nadal czuła słabość w nogach, więc przeszła przez pokój, by usiąść na jakiejś płaskiej powierzchni. Nawet nie wiedziała na czym. Nie mogła przestać się zastanawiać, dlaczego Benedick ją trzymał, całował, a potem nagle przestał. Chciał jej dać nauczkę? Udowodnić, że jest naiwna i zachowuje się jak dziecko? Jak absurdalnie niedorzeczna istota?

Cieszyło ją, że przebywają w ciemnościach. Nagle poczuła się zmieszana i niešťeśliwa. Zareagowała na jego dotyk i to ją zaszokowało. Może nie zauważył, pomyślała, w głębi ducha czuła jednak, że Benedick Rohan to człowiek, który zauważa wszystko. Dlaczego jej się to podobało? Coś, co zawsze uważała za co najmniej nieprzyjemne, nagle stało się niezwykle kuszące.

Nie chodziło o to, że sir Thomas o nią nie dbał. Kochał ją głęboko i cieszyła się, gdy mogła mu zapewnić odrobinę rozkoszy, tych kilka razy, kiedy czuł się na siłach. Była również zadurzona w Wilfredzie, choć teraz ją to zawstydzalo. Pragnęła jego pocałunków, jego skromnych pocałunków - tyle że nie poruszyły jej do tego stopnia, co pocałunek Benedicka Rohana.

- Co chciałaś mi powiedzieć? - spytał swoim głębokim głosem.

Doszła do wniosku, że musi natychmiast przestać myśleć o pocałunku.

- Lord Elsmere chciał nas zaprosić na przyjęcie do Kentu, w jakieś miejsce zwane Kersley Hall - oświadczyła. - To pewnie jedna z ich posiadłości? Lady Elsmere go powstrzymała, ale pomyślałam, że gdyby pan z nim porozmawiał, kto wie, czy nie ponowilby zaproszenia. W ten sposób przeniknelibyśmy w szeregi Niebiańskich Zastępów.

- Kersley Hall? - powtórzył. Melisanda usłyszała zdumienie w jego głosie. - Kersley Hall należało do hrabiego Cranstona, ale jestem pewien, że spłonęło zeszłej zimy. Dlaczego, na litość boską, ktoś miałby tam jechać?

- A są tam inne budynki? Jakies miejsce, gdzie mogliby się spotykać członkowie Niebiańskich Zastępów?

- Nie mam pojęcia - odparł. Z brzmienia jego głosu wywnioskowała, że praktycznie zapomniatł o jej istnieniu. - Ale zamierzam się tego dowiedzieć!

Benedick westchnął głośno i dotknął jej dłoni. Trzymał ją delikatnie, głaszcząc długimi palcami. Miała ochotę się wyrwać, ale z jakiegoś powodu nie zabrała ręki. Jego dotyk sprawiał jej dziwną przyjemność.

- To tylko kilka godzin drogi. Nie powinienem mieć trudności z wyjazdem i zbadaniem sprawy. Jeśli Zastępy tam się spotykają, na pewno się dowiem. Żaden z ewentualnych członków nie tolerowałby niewygód. To sybaryci. Możesz mi wierzyć, że chędozenie kogoś na twardej ziemi wcale nie jest przyjemne.

- Pan z pewnością to wie - powiedziała oschle.

- Z pewnością - zgodził się z zadowoleniem. - Jutro zapowiada się ładny dzień. Pojadę tam, a potem złożę ci sprawozdanie.

- Nie.

Jego ręka znieruchomiała.

- Nie chcesz już dłużej prowadzić dochodzenia? Bardzo rozsądnie.

- Nie. Chcę jechać razem z panem. Co dwie pary oczu, to nie jedna, a jutro nie czekają mnie żadne obowiązki. - Zdziwiło ją to, że znów naraża się na jego towarzystwo. Był niebezpieczny i właściwie powinna trzymać się od niego z daleka.

Nie ufała mu, ale potrzebowała go, bo więcej niż ona wiedział o tym, co się dzieje w towarzystwie i nie poradziłaby sobie bez niego. Benedick znowu pogłaskał ją po dłoni, tym razem z roztargnieniem.

- Poproszę kucharkę, by przygotowała piknikowy lunch - powiedział leniwie. - Na co masz ochotę, poza ciastkami, naturalnie?

Korzystając z ciemności, wysunęła język niczym niegrzeczne dziecko i usłyszała śmiech. Przyszło jej do głowy, że chyba ją zobaczył. Nie, to niemożliwe, uspokoiła się.

- Tak, tak, wysuwaj język, moja słodka - powiedział cichym, czarującym głosem. - Może się okazać, że...

- Dość! - Przepelnił ją gniew, jednak udało się jej go poskromić. - Jestem zmęczona pana aluzjami, wicehrabio - oświadczyła z godnością.

- Chyba powinienem traktować cię jak dziecko, bo właśnie tak się zachowujesz - dokończył, jakby jej nie słyszał.

Zastanawiała się, czy właśnie to chciał powiedzieć, ale tylko wzruszyła ramionami. Na chwilę, na tę jedną krótką chwilę, postanowiła zrezygnować z walki. Był zbyt błyskotliwy. Miał odpowiedź na wszystko, a ona czuła się demoralizowana. Gdyby jej nie pocałował, gdyby nie dotykał jej, nie byłaby w takim stanie.

Benedick poruszył się nagle i przygotowała się na atak, ale tylko puścił jej dłoń.

- By posunąć twoją intymną edukację naprzód, lady Carstairs, wyjaśnię ci, że istnieje coś takiego jak pośpieszne chędożenie. Zwykle robi się to przy ścianie. To prawdopodobnie bardziej pasuje do twojego doświadczenia, tyle tylko, że musisz dodać autentyczną przyjemność. Goście dojdą do wniosku, że właśnie to zrobiliśmy...

- Mimo to chciałabym już powrócić do towarzystwa.

- Będę potrzebował jakiejś części twojej garderoby - ciągnął. - Zakładam, że nie oddasz mi reform, ale nada się jedna z podwiązek.

- Co takiego?

- Słyszałaś. U Elsmere'ów trzeba zwyczajowo zostawić trofeum. Lord Elsmere pewnie zabawia się tym, co goście zostawiają w jego pokojach, dokąd lady Elsmere nawet się nie zapuszcza. Podwiązkę poproszę.

- Nie dostanie pan mojej podwiązki! - zaprotestowała z oburzeniem. - Pończoszki opadną!

- To nawet lepiej. Wezmę pończoszkę.

- Nie! - wykrzyknęła, ale i tak złapał ją za kostkę i położył sobie na kolanach.

Melisanda kopnęła go drugą nogą, ale unieruchomił ją między swoimi łydkami.

- Mam już dosyć tego kopania, Melisando - powiedział cicho i ściągnął jej miękki pantofelek do tańca.

Walczyła dalej, ale po chwili znalazła się w pozycji horyzontalnej, przygnieciona przez wicehrabiego. Uświadomiła sobie poniewczasie, że najwyraźniej dotąd siedzieli na łożu. Teraz na nim leżała, a na niej zaś bardzo zirytowany, bardzo duży i bardzo podniecony mężczyzna. Próbowwała go bić, ale tylko chwycił ją jedną dłonią za nadgarstki i unieruchomił nad jej głową. Następnie siłą wepchnął się między jej nogi.

- Przestań ze mną walczyć. - Nadal nie opuszczało go rozbawienie. - Przecież cię nie zgwałcę. Zignoruj moje przyrodzenie. Za każdym razem, gdy mocuję się z piękną kobietą, mam erekcję. Natura bierze górę.

Melisanda zamarła. Ten język ją szokował. Czuła dziwne ciepło, promieniujące w jej wnętrzu. Powiedział, że to natura bierze górę... Nie powinna sądzić, że to ma coś wspólnego z nią samą, upominała się.

- Mogę zrobić to siłą albo możesz zachowywać się, jak należy - ciągnął. - Tak czy owak, to się zdarzy.

Przez chwilę myślała, że mówił o zbliżeniu, ale potem zrozumiała, że chodzi mu o pończochę.

Przesunął dłoń wyżej, pod jej suknię. Miała śliczne podwiązki z jasnozielonej taśmki, z pastelowymi różyczkami. Poczowała, jak Benedick rozwiązuje wstążkę, a jego długie palce manipulują zdecydowanie zbyt blisko tych części ciała, o których nie powinna nawet myśleć. Następnie wcisnął dłoń pod jedwabną pończochę i ściągnął ją deli-

katnie. Melisanda wstrzymała oddech i zamknęła oczy, gdy w ciemności głaskał jej miękką skórę.

Co ona wyprawia? Czy jest zupełnie bezwstydną, ciesząc się dotykiem tego mężczyzny, potomka degeneratów?

Czuła bicie jego sera. Jej piersi nabrzmiały, stały się pełniejsze i wrażliwsze. Zastanawiała się, co by było, gdyby się wyprężyła i przycisnęła do jego ciała, jak podpowiadał jej instynkt. Co zrobiłby Benedick, gdyby uniosła biodra i dotknęła jego męskości?

Puścił jej nadgarstki, ale go nie uderzyła. Wszystkie części jej ciała były dziwnie odrętwiałe. Benedick wydawał się zamyślony. W ciemności widziała tylko jego lśniące oczy.

- Lady Carstairs - powiedział cicho po dłuższej chwili. - Zaczynam wierzyć, że jesteś bardzo niebezpieczną kobietą.

Melisanda przełknęła ślinę, niepewna, co ma powiedzieć. Nie mogła przestać myśleć o tym, co by się stało, gdyby go teraz przyciągnęła do siebie i pocałowała. Co by zrobił?

Benedick zsunął się z niej i wstał. Przez chwilę leżała nieruchomo, starając się uporządkować myśli. Wsunął pantofelek z powrotem na stopę Melisandy i pomógł się jej podnieść.

- Pamiętaj, masz być rozmarzona i oszołomiona - szepnął do jej ucha.

- Nie będę z tym miała najmniejszych problemów - wymamrotała.

## Rozdział trzynasty

Dobrze, że Benedick nie potrzebował zbyt dużo snu, gdyż następnego ranka mógłby znaleźć się w poważnych kłopotach. Noc była wyjątkowo ciężka. Najpierw musiał prowadzić słodką Samarytanę między gośćmi Elsmere'ów, niczym zwycięski ogier wiodący spłoszoną klaczkę. Pończochę zostawił na gałce do drzwi pokoju, w którym odbyło się ich rendez-vous, a podwiązkę wsunął do kieszeni, sam nie wiedząc dlaczego, i nawet nie zamierzał się nad tym zastanawiać.

Wyszli z przyjęcia dość szybko, starając się zrobić wrażenie, jakby nie mogli doczekać się powrotu do łoża. Przynajmniej on się starał. Melisanda była nienaturalnie spokojna, w powozie również milczała. Benedick liczył na to, że plany wyjazdu do Kersley Hall po prostu wyleciały jej z pamięci, ale gdy tylko odprowadził ją pod drzwi, odwróciła się i zapytała, o której wyruszają.

Nie mógł spać. W zasadzie tylko ją pocałował, co było bardzo przyjemne i do niczego więcej nie doszło. Owszem, leżał na niej i delektował się jej krągłościami, pełnym biustem, gładkością rozchylnych ud. Pragnął tej porządnej, przyzwoitej kobiety, świętej z King Street, zbawicielki zbrukanych gołąbeczek. Chciał ją widzieć nagą pod sobą, zetrzeć jej z twarzy ten pełen wyższości uśmiezek. A przecież było tyle powodów, dla których nie powinien tego robić. Pomijając wszystko inne, Melisanda nie należała do kobiet, które można wziąć do łoża, a potem porzucić. Rozgrywała tę grę na poważnie. Pewnie w ogóle nie traktowała jej jak zabawy.

Gdy zegar wybił trzecią, Benedick podźwignął się z łoża i udał na poszukiwanie brandy oraz czegoś do czytania. Nagle usłyszał hałas w holu na parterze. Chwycił szlafrok w rękę i podszedł do schodów, aby sprawdzić, kto zakłóca spokój w jego domu. Słowa jednak uwięzły mu w gardle, gdy ujrzał swojego brata, który z pomocą Richmonda usiłował wejść po schodach.

Z głowy Brandona sączyła się krew. Podśpiewywał coś pod nosem i był bardzo pijany, ale nie tylko - jego oczy dziwnie lśniły.

- Mój braciszek - oznajmił Brandon, patrząc na niego. - Miły gość, ale strasznie konwencjonalny. Nie podobałoby mu się.

Benedick zbiegł do połowy schodów i chwycił go pod ramię. Od Brandona bił zapach alkoholu i dziwnej słodyczy. Benedick zaczął się zastanawiać, co też wyprawiał jego młodszy brat.

- Co by mi się nie spodobało, stary? - spytał swobodnie, patrząc na zaschniętą krew.

Z ulgą dostrzegł, że na głowie Brandona wbrew pozorom nie było rany. Potem popatrzył na jego skaleczoną rękę.

- Nie przejmuj się tak - mruknął z irytacją. - Sam to zrobiłem.

- Dlaczego?

- Nie twoja sprawa. Dlatego - odparł Brandon. Umilkł, rozejrzał się wokół siebie, a jego oczy zmętniały. - Muszę do pokoju - oznajmił nieoczekiwanie.

- Panicz będzie chorował? - spytał niepewnie Richmond. - Mógłbym przynieść miskę.

- Żaden Rohan nie zliczy swoich wydatków. Pochodzimy ze starego rodu degeneratów... - W tym samym momencie dopadły go nudności i zwymiotował na Benedicka.

Benedick i Richmond zdołali zaciągnąć Brandona do sypialni, po czym Benedick zostawił brata pod opieką majordomusa. Nie zawracał sobie głowy wydawaniem poleceń, dotyczących wymycia brata i obandażowania mu ręki. Richmond od lat doskonale się nim zajmował i wiedział, co należy zrobić.

Na szczęście hałas obudził część służby, więc wkrótce gorąca kąpiel dla Benedicka była gotowa. Gdy kończył zmywać z siebie wymiociny Brandona, na zewnątrz robiło się już jasno, więc w ogóle zrezygnował ze snu.

Cóż, to nic takiego, pomyślał. Brak snu wyostrzał jego intelekt i radykalizował zachowanie. Wiedział, że będzie się zachowywał tak paskudnie, iż słodka Samarytanka poczuje do niego obrzydzenie i gdzie indziej poszuka sobie współnika. Wolał na własną rękę sprawdzić ewentualne związki Brandona z Niebiańskimi Zastępami, nie martwiąc się obecnością drugiej osoby.

Inna sprawa, że Brandon zdołał wpakować się w kłopoty z dala od Elsmere'ów i innych ewentualnych członków. To sprawiało, że jego przynależność do stowarzyszenia wydawała się mniej prawdopodobna.

Benedick postanowił, że dzisiaj położy kres wszelkim spekulacjom i tak obrzydzi lady Carstairs swoją osobę, że w przyszłości dama ta nawet nie zechce się do niego odezwać. Tak będzie lepiej dla nich obojga.

Oddała pocałunek... Bez wprawy, rzecz jasna, ale zareagowała, a jej słodycz wytrąciła go z równowagi. I tak był rozkojarzony, nie potrzebował dodatkowych utrudnień, kiedy musiał skupić się na celu...

Tak, dziś należy z tym skończyć, postanowił.

Popijając drugi kubek mocnej herbaty, Melisanda myślała o tym, jakie ma szczęście, że potrafi normalnie funkcjonować po zaledwie dwóch czy trzech godzinach snu. Ostatni wieczór i noc okazały się wyjątkowo stresujące.

Wszystko zaczęło się od wicehrabiego Rohan. Choć bardzo się starała, nie mogła przestać myśleć o tym, jak leżał między jej nogami. Oczywiście byli oboje ubrani, więc wyczuwała go bez narażania się na całkowitą utratę godności. Ciągłe czuła dotyk jego dłoni, kiedy przytrzymał jej nadgarstki, a drugą przesunął po nodze, aby bez najmniejszego trudu rozwiązać podwiązkę.

Melisanda zawsze szczyliła się tym, że potrafi stawić czoło prawdzie, nawet tej pozornie nie do przyjęcia. Wiedziała, że gdyby byli gdzie indziej, gdyby on był kimś innym, uległaby w okamgnieniu. Jego niebezpieczny pocałunek był niemal objawieniem. Spodobał się jej, mogłaby całować się tak przez całą noc. Chociaż Benedick Rohan raczej nie zechciałby całować jej tak długo.

Dobrze wiedziała, że mężczyźni całowali kobiety tylko po to, by następnie dostarczyć im jeszcze więcej upokorzeń. Gdy już taki zrobił swoje, kobieta mogła liczyć jedynie na czułe klepienie w policzek, zanim odsunął się i zasnął, nie biorąc nawet pod uwagę uczuć partnerki.

Melisanda odetchnęła głęboko. Jeśli podobały się jej jego pocałunki, znacznie bardziej niż pocałunki męża i kochanka, czy oznaczało to, że spodobałoby się jej także to, co mogło po nich nastąpić? Miała okropne podejrzenie, że tak, co prowadziło do oczywistej konkluzji.

Celibat nie był najlepszym rozwiązaniem dla każdej kobiety.



Naturalnie nie mogła trafić gorzej, na szczęście Benedick Rohan był całkowicie poza jej zasięgiem. Melisanda pochodziła z szacownej, lecz przeciętnie uposażonej rodziny, on zaś z bardzo starej i bogatej, choć niecieszącej się dobrą sławą. W końcu zostanie markizem i wybierze sobie na małżonkę bardzo młodą dziewczynę, a nie wdowę, która miała już swoje lata i na dodatek zapewne była bezpłodna. Wicehrabia Rohan pracowicie rozglądał się po najpiękniejszych wolnych damach i nie musiał brać pod uwagę fortuny. Wystarczyło, że skinął palcem, a najładniejsze i najmilsze damy biegły do niego w podskokach. Melisanda pomyślała, że gdyby nie rozproszyła go problemami swoich podopiecznych, prawdopodobnie już ogłosiłby zaręczyny.

Gdyby ona zdecydowała się ponownie wyjść za mąż, na pewno nie zadowoliliby się łowcą posagów w rodzaju Wilfreda ani też starcem pokroju Thomasa, nawet gdyby bardzo ją kochał. O nie! - chciała, by przyszły małżonek był silny, młody i, owszem, przystojny. Żeby ją adorował i zapewniał jej rozkosze z takim samym zaangażowaniem jak Rohan całował u Elsmere'ów. Czyżby prosiła o zbyt wiele?

Naturalnie mężczyźni, nawet czarujący, potrafili zamieniać się w brutali, ale z pewnością nie wszyscy. Musiała mieć otwarty umysł. Być może zbyt pochopnie machnęła ręką na cały męski gatunek.

Jej rozmyślania przerwała Emma Cadbury, która pojawiła się w drzwiach ze zmartwioną miną. Nalała sobie filiżankę herbaty i usiadła naprzeciwko Melisandy.

- Bardzo ładny strój jak na przejażdżkę - zauważyła.

- Sprzed siedmiu lat - odparła Melisanda, poprawiając długą spódnicę. - I dlatego jest zbyt... zbyt...

- Atrakcyjny? Widowiskowy? - dokończyła Emma z ironią. - Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz nosić strojów, które uwydatniają twoją figurę. Ta suknia wygląda na tobie prześlicznie, pięknie podkreśla błękit oczu. Nie ma powodu, dla którego nie miała-bys się cieszyć ładnymi ubraniami, Melisando.

- Nie chcę przyciągać niepożądanego męskiej uwagi.

- A co z pożądaną męską uwagą? - zapytała Emma.

Melisanda natychmiast się zarumieniła. Miała tylko nadzieję, że Emma nie potrafi czytać w myślach.

- A istnieje coś takiego? - wymigała się.

- Owszem - potwierdziła Emma stanowczo. - I mam wrażenie, że zaczynasz zdawać sobie z tego sprawę. Nadal nie opowiedziałas mi, jak przebiegł wieczór.

Melisanda bardzo pragnęła opowiedzieć przyjaciółce, co się wydarzyło w pokoiku przylegającym do sali balowej Elsmere'ów, ale coś ją powstrzymywało. Nie wiedziała, czy to zażenowanie, jednak nie była jeszcze gotowa dzielić się nowinami.

- Bardziej interesuje mnie, jak się miewa Maudie - zmieniła temat.

Emma właśnie zaczynała zasypiać, kiedy w domu pojawiła się Maudie, cała we krwi, z siniakami na gardle, przegubach i kostkach. Była kolejną ofiarą brutalnych zabaw Niebiańskich Zastępów. Niewiele powiedziała, gdy zdołały ją umyć i zabandażować, ale jej podbite oczy pełne były cierpienia. To cierpienie powinno zwiększyć niechęć Melisandy do rodzaju męskiego, jednak nasiliło jedynie jej obrzydzenie do arystokratów odpowiedzialnych za ten czyn i dla tych bezwartościowych wyrzutków społecznych, które znajdowały rozkosz w zadawaniu cierpienia bezbronnyim istotom.

Benedick, wicehrabia Rohan, był jej sprzymierzeńcem i miał pomóc ich powstrzymać. Sama nie dałaby sobie rady.

Emma powiedziała kiedyś z rozbijającą szczerością, że pozbawiona snu Melisanda zamienia się w marudną megierę. Postanowiła więc, że tak zniechęci do siebie wicehrabiego Rohan, że nie odważy się on podejść bliżej niż to konieczne.

- Maudie zasnęła - odparła Emma. - Straciła sporo krwi, ale szybko dojdzie do siebie.

- Przy odrobinie szczęścia to może jej tylko wyjść na dobre. - Melisanda podniosła się z miejsca. - Uciekała już trzy razy i ciągle wracała do życia nierządniczy. Być może teraz naprawdę ma dosyć.

- Być może - mruknęła Emma z powątpiewaniem. - Ale niektóre z dziewcząt nigdy się nie nauczą. Niestety, ta praca jest łatwiejsza niż dźwiganie wiader z węglem po schodach albo szycie od rana do nocy. Nie trzeba stać i szybko jest po wszystkim.

Melisanda zmarszczyła brwi.

- To mi coś przypomina - powiedziała. - Wicehrabia Rohan twierdził, że fizyczne zbliżenia mogą trwać nawet godzinę albo dłużej. Pewnie kłamał, ale...

- Dlaczego dyskutowałaś o fizycznej miłości z wicehrabią Rohan? - przerwała jej zaskoczona Emma.

Melisanda natychmiast chwyciła za gazetę.

- To była intelektualna, czysto teoretyczna dyskusja - odparła z godnością.

- Hm. - Emma najwyraźniej nie dała się oszukać. - Jeśli chcesz prowadzić intelektualne dyskusje o miłości fizycznej, powinnaś przyjść do nas, do mnie. Gdyby zsumować lata naszych doświadczeń i spisać, z łatwością wypełniłybyśmy drugą bibliotekę Octagonu.

- Czy biblioteka Octagonu ma w swoich zasobach księgi na temat miłości fizycznej? - zainteresowała się Melisanda. - Powinnam tam pójść i czegoś poszukać, zamiast tracić czas na wypytywanie naszego stadka.

- Nie próbuj zmieniać tematu. Wiesz, że martwię się o ciebie.

- Tak, wiem - odparła Melisanda potulnie. - Czy to prawda? Czy faktycznie to zajmuje więcej niż pięć do dziesięciu minut?

Emma przyglądała się jej uważnie.

- To zależy - powiedziała powoli. - Z doświadczonym kochankiem może trwać nawet całą noc. Gdy w grę wchodzi pieniądze, zwykle bardzo szybko jest po wszystkim. Dostarczycielka usługi pragnie zakończyć jak najprędzej, a jako profesjonalistka zna różne sztuczki, by przyspieszyć koniec. Nabywca też chce to mieć jak najszybciej z głowy, gdyż najprawdopodobniej jest zawstydzony, że musi zapłacić, i w dodatku boi się, że zostanie przyłapany przez przyjaciółkę albo żonę. Między kochankami jest jednak inaczej. W takim wypadku im dłużej to trwa, tym większa przyjemność. Istnieją też rozmaite sztuczki przedłużające akt. Można doprowadzić kogoś na sam skraj szczytowania i cofnąć go znad krawędzi, tylko po to, by ponownie go rozbudzić.

- Szczytowania?

Emma uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Najwyraźniej niewiele się od nas dowiedziałaś. Mówię o chwili absolutnej rozkoszy, która od czasu do czasu dana jest kobietom. Dla mężczyzn to kwestia biologii. Im wystarcza byle szparka, kobiecie jednak trzeba troski i umiejętności mężczyzny. Zwykle musi ona również darzyć go głębokim uczuciem. Tak mi przynajmniej mówiono...

Melisanda spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Tak ci mówiono? - powtórzyła. - Ale przecież byłaś najszlachetniejszą madame w mieście, i najmłodsza. Jak możesz nie wiedzieć?

- Przedłużenie męskiej rozkoszy to prosta sprawa - odparła Emma. - Przedłużenie damskiej przyjemności znam jednak wyłącznie z teorii. Bardzo niewielu mężczyzn specjalizuje się w zapewnianiu rozkoszy paniom, a ja nigdy nie darzyłam nikogo uczuciem. Większość mężczyzn, którzy dla mnie pracowali, świadczyła usługi innym mężczyznom. Tak, wiem, że nie chcesz o tym słyszeć, i nie musisz, ale zapewniam cię, że wielu z tych młodzieńców jest w takiej samej sytuacji jak kobiety, które tu mieszkają. Ale wracając do tematu, kobieca rozkosz nie ma specjalnej wartości. Czasem naprawdę dobry kochanek może przedłużać akt dla swojej partnerki, ale jak rozumiem, tacy mężczyźni to rzadkość, a gdy już zostaną odkryci przez żonę lub partnerkę, nie mają szansy zbłądzić. Czyli wicehrabia Rohan twierdzi, że zwykle kocha się około godziny?

- Nie licząc zdjęcia ubrań.

Na pięknych ustach Emmy wykwitł uśmiech.

- Nic dziwnego, że nierządnicę o niego walczą - powiedziała z rozbawieniem. - Gdybym wiedziała, sama bym to sprawdziła, choćby tylko po to, by się przekonać, czy to prawda.

- Ale tego nie zrobiłaś, prawda? - Melisanda zmarszczyła czoło.

- Czy spałam z Rohanem? Nie, nie spałam. A co to ma za znaczenie?

- Dlaczego miałyby to mieć jakiegokolwiek znaczenie? - zapytała Melisanda, podnosząc znów gazetę i odkładając ją z powrotem. - Poza tym, przecież wiem, że Violet i inne dziewczęta obsługiwały go przy różnych okazjach.

Wyraz twarzy Emmy był dziwnie badawczy, choć życzliwy.

- Na twoim miejscu nie zastanawiałabym się, kto zajmował się wicehrabią Rohan. Raczej skoncentrowałabym się na nim samym.

- Dlaczego? - chciała wiedzieć Melisanda.

- Poczekajmy i zobaczymy, co się wydarzy, dobrze?

- Nic się nie wydarzy. Dobrze wiesz, jaka drażliwa i nieprzyjemna potrafię być, kiedy mało śpię, a prawie nie spałam w nocy. Po kilku godzinach w moim towarzystwie nie będzie chciał mieć ze mną nic wspólnego.

Zanim Emma zdążyła odpowiedzieć, do pokoju wpadła mała Betsey.

- Tam na dworze to czeka jakiś jegomość, raz już tu był, i ten jegomość mówi, że-  
by jaśnie pani się pośpieszyła, bo jak nie, to odjedzie sam i tyle. Ale powabny to on jest -  
dodała ze znawstwem. - Na jaśnie pani miejscu to bym się pośpieszyła.

Melisanda omal nie rzuciła się do drzwi. Zapanowała jednak nad sobą i popatrzyła na Emmę.

- Zostawiam ci Betsey - powiedziała. - Najwyraźniej jestem potrzebna gdzie in-  
dziej.

- Urządź mu piekło - usłyszała za sobą słowa Emmy i uśmiechnęła się ponuro.  
Tak właśnie zamierzała postąpić.

## Rozdział czternasty

Przejazd z Gołębniczka przy King Street do ruin Kersley Hall w Kencie trwał około dwóch godzin i przebiegł w milczeniu. Benedick czekał cierpliwie, by Melisanda powiedziała coś zaczepnego. Miał ochotę na kłótnię, ona jednak nie odzywała się ani słowem, jemu zaś brakowało energii, by zacząć konwersację. Po pierwszych minutach drogi zapadł w stan przypominający otępienie. Powinien był odwołać wyprawę, ale nie chciał zawieść damy, nawet takiej megiiery jak Samarytanka Carstairs. Poza tym nienawidził poddawać się słabości. Nadal nie czuł się najlepiej na myśl o tym, co się wydarzyło w pokoiku u Elsmere'ów, więc poruszył się niespokojnie w siodle i zerknął na swoją towarzyszkę.

Miała przymknięte powieki i pozbawiony emocji wyraz twarzy. Ubrana była w niemodną suknię, i tak lepszą od jej zwyczajowych ubrań, poza zieloną suknią z wczorajszego wieczoru. Dobrze jeździła konno, co go zdumiało, a jej klacz była pięknym i dobrze ułożonym zwierzęciem.

- Gdzie nauczyłaś się jeździć? - zapytał nieoczekiwanie.

- Zdziwiło to pana? Uważa pan, że brak mi umiejętności? - W jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie.

Na to właśnie czekał. Wiedział, że kłótnia nie pozwoli mu zasnąć i przypomni, jak nieodpowiednia dla niego jest Melisanda. Pod każdym względem.

- Ależ skąd! - odparł z wyczuwalną ironią w głosie. - Obawiam się, że niewiele wiem o twojej przeszłości, poza tym, że wyszłaś za sir Thomasa Carstairsa. Pochodzisz ze starej rodziny w Lincolnshire, prawda?

- Jeżeli pyta pan, czy moi rodzice byli na tyle bogaci, by zapewnić konia swojemu jedynemu dziecku, odpowiedź brzmi: nie. Ojciec był uzależnionym od hazardu baronetem, a matka przejmowała się jedynie swoim wątłym zdrowiem. Nie mieli ani ochoty, ani pieniędzy na zapewnianie luksusów brzydkiej córce. Nauczyłam się jeździć konno dopiero po ślubie.

Nie zareagował na jej uwagę o rzekomej brzydocie. Melisanda prawdopodobnie dopominała się o komplementy, a on nie zamierzał jej pochlebiać.

- Skoro byli tacy biedni i nieczuli, dlaczego wysłali cię na sezon do Londynu? A może po prostu chcieli się ciebie pozbyć?

Melisanda obdarzyła go złowrogim uśmiechem.

- Umarli - odparła. - Ojciec upił się i spadł z konia, a matka dostała wysokiej gorączki. Ciotka zaoferowała, że wyprawi mnie na sezon, a potem... Szczerze mówiąc, nie wiem, jak wyglądałaby moja przyszłość, gdyby sir Thomas mi się nie oświadczył. Pewnie zostałabym guwernantką.

- I terroryzowałabyś małe dzieci - wymamrotał. - Twoje małżeństwo było szczęśliwe?

Zwolniła i popatrzyła na niego.

- A pańskie? - odparowała. - Czy oba zaspokoili pana cielesne apetyty?

- A cóż ci do moich cielesnych apetytów?

Na policzkach Melisandy pojawił się lekki rumieniec. Benedick pomyślał, że jej z nim do twarzy i pasuje do jej błękitnych oczu.

- Nic - odparła. - Chciałam po prostu wykazać, że te pytania są zbyt poufale.

- Nie słynę z dobrych manier - oznajmił szczerze. - Moją pierwszą żonę, Annis, da-  
rzyłem szczerym i głębokim uczuciem. Była upartą, ale namiętą kobietą, i gdyby nie  
zmarła podczas porodu, pewnie żylibyśmy ze sobą bardzo szczęśliwie. Moja druga żona,  
lady Barbara, również zmarła przy porodzie, choć w tym wypadku wątpię, by dziecko  
należało do mnie. Była równie uparta, nienasycona w łozu i z zapamiętaniem zaspokajała  
swoje apetyty. Chyba nie chciałbym znów się żenić, ale obawiam się, że muszę. Dlatego  
szukam uległej, młodej żony, której nie będzie interesowało nic poza sprawianiem mi  
rozkoszy.

Melisanda parsknęła szyderczym, nieeleganckim śmiechem.

- Na pewno ktoś taki się znajdzie - zauważyła. - Mam tylko nadzieję, że nie znudzi  
się panu. Uległość po jakimś czasie bywa bardzo nużąca.

- Dziwne, że w ogóle znasz sens tego słowa. A co do nudy, to oczywiście gdzie in-  
dziej będę szukał stymulacji.

Niemal usłyszał, jak zazgrzytała zębami, i od razu poprawił mu się humor. Sam był  
zdumiony, jaką przyjemność sprawiało mu denerwowanie Melisandy.

- To mnie wcale nie dziwi. - Pokiwała głową. - Większość mężczyzn ma kochanki. Niestety, oznacza to również, że poszukuje pan dwóch kobiet, nie jednej, a przy pana wygórowanych oczekiwaniach może się to okazać raczej trudne. Zwłaszcza odkąd ograniczyłam liczbę kandydatek na kochanki.

- Smutna prawda o nierządnicach, prostytutkach i damach z półświatka jest taka, że nigdy ich nie zabraknie - oznajmił Rohan.

Melisanda popędziła konia i wysforowała się do przodu. Nie od razu do niej dołączył. Kiedy jednak zrównał się z nią, ku swojemu żalowi ujrzał, że zdołała zapanować nad emocjami. Popatrzyła na niego surowo.

- Wasza lordowska mość - zaczęła pełnym napięcia głosem. - Nie jestem w dobrym nastroju. Czuję się zmęczona, mam zły humor i nie chcę prowadzić z panem rozmowy na siłę. Myślę, że lepiej od tej chwili milczeć.

Benedick zrobił skruszoną minę.

- Proszę wybaczyć, moja droga. Nie miałem pojęcia, że udało mi się popsuć ci humor.

- Nie udało się panu popsuć mi humoru - warknęła, po czym odetchnęła głęboko. - Czy już dojeżdżamy?

Benedick ściągnął wodze i rozejrzał się wokoło. Jechali po polnej drodze, porośniętej z obu stron drzewami, które tworzyły liściasty tunel. Panowała tu niepokojąca atmosfera odludzia i było jasne, że znajdują się u kresu podróży.

- To chyba za następnym wzniesieniem - oznajmił, postanawiając dłużej jej nie drażnić. - Nie jestem pewien. Byłem tu dwadzieścia lat temu, ale całkiem dobrze orientuję się w terenie. Z pewnością nie wygląda na to, by ktoś ostatnio odwiedzał to miejsce. Czy Elsmere na pewno wymienił Kersley Hall?

- Na pewno - odparła zwięźle.

Nagle ścieżka skręciła gwałtownie, prowadząc na wzgórze. Melisanda dotarła na szczyt przed Benedickiem.

Zatrzymała się z dziwnym wyrazem twarzy, czekając na towarzysza.

Kersley Hall, czy też jego ruiny, rozciągało się przed nimi. Budowla spłonęła niemal całkowicie, a poczerniałe wieżyczki sterczały wycelowane ku niebu. Kamienne ele-



menty konstrukcji były osmalone, a po oknach nie pozostał nawet ślad. Brakowało także dachu, ale uchowały się budynki gospodarcze, choć i one sprawiały wrażenie porzuconych.

- Jeśli Niebiańskie Zastępy organizują tutaj swoje zabawy, to bardziej zahartowana z nich gromada, niż sądziłem - mruknął Rohan z zadumą.

- To takie smutne. - Melisanda nie zwracała na niego uwagi. - Ta budowla pewnie stała tu przez wieki, a teraz marnieje.

- O ile dobrze pamiętam, wybudowano ją pod koniec panowania Tudorów. - Rohan popędził wierzchowca. - Nawet nie pamiętam, kto ostatnio dziedziczył to miejsce. Rodzina wymarła, a budowlę dostał w spadku jakiś biedny krewny. Pożar strawił nieruchomości, jeszcze zanim zdołał ją przejąć. Potem i on zmarł. Bóg jeden wie, kto jest teraz właścicielem. Niewątpliwie zmarnowaliśmy czas.

- Nie jestem pewna. - Melisanda nie odrywała wzroku od Kersley Hall. - To byłoby doskonałe miejsce spotkań tajnego stowarzyszenia, które pragnie czynić zło.

- Większość członków Niebiańskich Zastępów ma własne posiadłości i potrafi zapewnić sobie prywatność. - Wzruszył ramionami. - Kto wybrałby opuszczone, zrujnowane gruzowisko, gdzie z daleka wszystko widać jak na dłoni?

- Wątpię, by zjawiało się tu wielu przypadkowych gości. Sądzę, że Niebiańskie Zastępy potrzebują ścisłego odosobnienia, na które raczej nie mogą liczyć we własnych domach. Niewiele tu jest do zobaczenia. Na dodatek ruiny leżą nieopodal Londynu. To dostatecznie dużo zalet, żeby przekonać członków Zastępów.

Benedick uznał, że słowa Melisandy mają sens.

- To chyba jest możliwe - przytaknął niechętnie. - Jak twierdził mój ojciec, spotykali się na przyjęciach w swoich wiejskich domach, jednak znacznie wygodniejszych niż ten. Gdybym ja miał wybierać między kilkugodzinną wyprawą tutaj, udziałem w rozbuhannej orgii i długotrwałym powrotem do domu, a leniwą wycieczką do wiejskiej posiadłości i wygodnym pokojem, w którym mógłbym wypoczywać po ekscesach, z pewnością wybrałbym to drugie.

- Jak to dobrze się składa, że pochodzi pan z rodziny degeneratów... - wymamrotała jego towarzyszka. - Nadal jednak uważam, że Niebiańskie Zastępy zmieniły się z niemą-

drej lubiącej przebieranki grupki arystokratów w niebezpieczną organizację patologicznych dewiantów. To, co było kiedyś, straciło na atrakcyjności. Dawniej ci ludzie popełniali zbrodnie jedynie przeciwko przyzwoitości. Teraz łamią prawo i muszą zachować większą ostrożność.

- Chylę czoło przed twoją rozległą wiedzą na temat degeneracji. - Benedick z trudem stłumił ziewnięcie i nagle wyczuł w powietrzu zapach palonego drewna.

W ruinach panowała przygnębiająca, nieziemaska atmosfera. Nocą z pewnością można było pomyśleć, że są nawiedzone. Podczas tej porannej przejażdżki raz zauważyli słońce, ale nawet przy dobrej pogodzie to miejsce wpędzało go w melancholię. Zatrzymał konia i chwycił klacz Melisandy za uzdę.

- Jeśli chce pan tu przystanąć, wystarczy powiedzieć. - Melisanda z trudem zachowała uprzejmość.

- Chcę tu przystanąć. - Puścił jej konia, zeskoczył na ziemię, po czym zarzucił wodze na niską zwisającą gałąź dębu. - Może zjemy lunch, zanim udamy się na eksplorację tego miejsca? Muszę się pokrzepić.

Postąpił o krok ku Melisandzie, żeby pomóc jej zsiąść, ale ona zeskoczyła sama, co wymagało dużej zręczności. Wobec tego odwiązał od siodła piknikowy koszyk oraz tkaną narzutę, którą kucharka dołączyła w charakterze obrusa, po czym wepchnął jedno i drugie w ręce Melisandy.

- Proszę - powiedział niepotrzebnie. - Ja udam się na krótką przechadzkę.

- I niby ja mam to wszystko porozkładać? - Spiorunowała go wzrokiem.

- Sama jesteś sobie winna. Trzeba było wziąć służącą w charakterze przyzwoitki - odparł.

- Jeśli bał się pan o reputację, powinien pan być powiedzieć o tym przed wycieczką.

- I co, wzięłabyś kogoś ze sobą?

- Oczywiście, że nie - prychnęła. - Ale lepiej bym się bawiła, wiedząc o pańskim dyskomforcie!

Benedick z trudem ukrył uśmiech. Uwielbiał jej kłótniwość. Nie miał wyboru, musiał zaakceptować słuszność jej wcześniejszych obserwacji - uległa żona będzie z pewnością straszną nudziarą. Na szczęście planował spędzać z nią jak najmniej czasu.

- Wkrótce wrócę - oznajmił i ruszył ku ruinom.

- Proszę nie zaczynać eksploracji beze mnie! - krzyknęła Melisanda, ale tylko pomachał dłonią.

Nie chodziło wyłącznie o to, że chciał ją zdenerwować, przynajmniej nie przede wszystkim o to. Ruiny Kersley Hall mogły być bardzo niebezpieczne, a nie miał najmniejszej ochoty pędzić z pomocą Melisandzie. Mury groziły zawaleniem i należało mieć to na uwadze. Musiał udać się na krótki rekonesans, nawet gdyby to rozwścieczyło Melisandę. Poza tym to akurat wcale mu nie przeszkadzało.

Gdy wracał ku miejscu, gdzie ją pozostawił, czuł się zarazem poirytowany i uspokojony. W okolicy nie dostrzegł żadnych śladów ludzkiej obecności, ani złowrogich, ani niewinnych, więc cała ta wyprawa była psu na buty. Postanowił podrażnić się z Melisandą, ale zmienił zdanie, gdy ujrzał koc piknikowy na trawie, a na nim prawdziwą ucztę. Samarytanka Carstairs spała snem sprawiedliwych wśród jedzenia, a promienie słońca, które zdołały się przedrzeć przez rozkołysane liście, pokryły jej ciało ruchomym wzorem.

Benedick przystanął i wpatrywał się w nią długo, niepewny, co czuje. Zastanawiał się, jak wyglądałaby nago... W pewnym momencie podszedł bliżej i poczuł obezwładniające zmęczenie. Niech diabli porwą Brandona i jego ekscesy!

Gdyby nie Brandon, Benedick mógłby się porządnie wyspać. Gdyby nie Brandon, nigdy nie zadałby się z lady Carstairs!

Usiadł na kocu, tuż obok niej, czekając, aż się obudzi, ale nadal spała, oddychając głęboko i miarowo. Benedick uśmiechnął się pod nosem, po czym wiedziony nagłym impulsem, położył się obok niej, niemal jej dotykając. Patrzył na nią i leniwie snuł plany, jak zwabi ją do łóża, ale szybko je porzucił. Mogła uważać się za światową kobietę, była jednak niewinna w porównaniu z nim i szokowało ją wszystko, co robił. Uwiedzenie jej byłoby pierwszym krokiem na drodze do zguby.

Pomyślał, że pachniała jak róże. Jej nos upstrzony był delikatnymi piegami powstałymi od słońca. Nagle zapragnął ich dotknąć. Rankiem ich nie było i doszedł do wniosku, że Melisanda dostanie burę od pokojówki, o ile takową ma.

Przysunął się jeszcze bliżej, niemal dotykając twarzą jej ramienia, i w milczeniu wdychał zapach ciepłej od słońca skóry. Czuł woń róż, wiatru i czegoś jeszcze... czegoś kobiecego. Przypomniał sobie, że to bardzo niebezpieczna kobieta, po czym natychmiast zasnął.

TLR

## Rozdział piętnasty

Śniła, że znowu znajduje się w ramionach Thomasa, lecz tym razem nie trzymał jej delikatnie, z wahaniem, tylko mocno i władczo. Ciało, które jej dotykało, było młode, wolne od słabości wieku i choroby. Przytuliła się mocniej, wzdychając radośnie, a wtedy poczuła zapach słońca i malin. Pachniał jak wiosna i zielona trawa, co było dziwne, gdyż ze względu na podagrę Thomas nienawidził wychodzić z domu. Thomas ze snu był jednak silny i cudowny, a ona ukryła twarz w wełnie jego fraka.

Teraz Thomas był takim mężczyzną, jakiego by wybrała, młodym i zdrowym, nieco cholerycznym, upartym i opiekuńczym. Wiedziała, że będą żyli wiecznie, wśród dzieci, łez i śmiechu.

Nie było za późno - Thomas pokonał śmierć, by do niej powrócić.

Poczuła na policzkach łzy, ale palce Thomasa starły wilgoć z jej skóry. Jego oblicze znajdowało się teraz tuż przed nią i rozpoznała go po pocałunku, miękkim, słodkim i kuszącym. Tyle tylko, że dawniej Thomas nie lubił jej całować, a zatem wszystko się zmieniło. Była rozmarzona, szczęśliwa i pełna życia. Wtuliła się w niego i spała, a on obejmował ją mocno.

Nagle zrobiło się zimno i znowu została sama. Thomas odszedł, a łóżko było twarde, zbyt twarde. Ktoś bardzo mocno nią potrząsał. Szeroko otworzyła oczy i zobaczyła surową twarz wicehrabiego Rohan.

- Obudź się - powiedział zachrypniętym głosem. - Zasnęłaś.

Odsunęła się od niego, nadal częściowo nieprzytomna. Uświadomiła sobie, że to nie Thomas, tylko Rohan spał obok niej. Rohan, nie Thomas, który był martwy, który wcale nie wrócił! Ku swojemu upokorzeniu, zaczęła przeraźliwie szlochać.

- Na litość boską, Melisando, to nie moja wina - burknął Benedick. - Ja też spałem. To ty się do mnie przytulałaś, nie wiedziałem, co robię. Wcale nie chciałem cię pocałować, ale tak naprawdę sama się do mnie garnęłaś. Nie zdążyłem się obudzić.

Melisanda poczuła nagle, że boli ją brzuch. Otoczyła się rękami, próbując zapanować nad obezwładniającym smutkiem, był jednak zbyt silny. Gdy w końcu udało jej się trochę ochłonąć, przygryzła dolną wargę, jednak Benedick wszystko popsuł.

- To nie było nic takiego - powiedział. - Zwykły pocałunek.

Wtedy tama pękła. Melisanda zawyła, ukrywając twarz w dłoniach. Szlochała bezradnie, wiedząc, że powinna przestać, że musi się opanować, ale łzy przynosiły upragnioną ulgę. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz zdarzyło się jej tak płakać, ale z każdą łzą czuła się lepiej. A jeśli Rohana to krępowało - trudno!

Podciągnęła kolana i oparła na nich brodę, szlochając i zachłystując się powietrzem. Wciąż nie mogła się uspokoić. Popatrzyła jednak na przerażone oblicze Rohana i z wysiłkiem próbowała się uśmiechnąć.

- Nie chodzi o ciebie - wykrztusiła, walcząc o oddech. - Tylko o Thomasa.

- Twojego męża? - spytał ze zdumieniem. - Dlaczego płaczesz z jego powodu?

- Bo za nim tęsknię! - zawyła.

Benedick nie odpowiedział, a ona przestała o nim myśleć, koncentrując się na własnym nieszczęściu. Dotyk jego rąk ją zdumiał, lecz nie miała siły walczyć, kiedy wziął ją w ramiona i posadził sobie na kolanach. W jego geście nie był nic uwodzicielskiego. Objął ją mocno, a ona oparła głowę na jego ramieniu.

Powinna była walczyć, przestać płakać i z oburzeniem go odepchnąć, by zachować resztki godności. Czuła się jednak zagubiona. Płakała w ramionach Benedicka za mężem, za drogim przyjacielem, który nieoczekiwanie stał się dla niej wszystkim, po czym zmarł i ją opuścił.

Rohan milczał. Nie próbował jej uspokajać, cierpliwie, współczująco czekał, aż łzy przestały płynąć. Gdy jednak poczuła się lepiej, nie wstała z jego kolan, a jedynie obróciła ku niemu twarz.

W jego oczach nie dostrzegła satysfakcji i przypomniała sobie pocałunek ze snu. Pocałunek z nim, nie z Thomasem.

- Jeśli powie pan komuś, że płakałam, wytnę panu wątrobę - postraszyła go.

- Czy ty w ogóle wiesz, gdzie jest ludzka wątroba? - spytał.

- Tak - odparła i na potwierdzenie rąbnęła go w nią pięścią.

Zerwała się z jego kolan, gdy jęknął i chwycił się za bok.

- Powinien był pan to przewidzieć - dodała, nagle poweselawszy. - Gotowy na lunch?

- Chyba straciłem apetyt. - Zmarszczył brwi.

- No to go pan odzyska. Choć jeśli jest pan równie zmęczony jak ja, proponuję unikać wina.

- Doskonale wypocząłem. Wyglądałaś tak spokojnie, leżąc tu na trawie, że uległem pokusie i sam się zdrzemnąłem, mimo że co i rusz uparcie przetaczałaś się na moją stronę koca. Czy nikt nigdy nie powiedział ci, jak bardzo niespokojnie sypiasz?

- Nigdy z nikim nie spałam - odparła szczerze.

Pomyślała, że powinna była ugryźć się w język, i szybko sięgnęła po kanapkę.

- Zdumiewasz mnie. W końcu nie miałaś rodzeństwa. Jak rozumiem, ty i sir Thomas sypialiście osobno?

- To nie pańska sprawa - oświadczyła wyniośle.

- A twój żaloszny kochanek nie spędził z tobą nocy, gdy uległaś jego umizgom? - pytał dalej.

Melisanda popatrzyła na niego. Czuła się niespokojna, rozemocjonowana i znużona ciągłymi atakami.

- Doświadczenie z Wilfredem było dla mnie tak nieprzyjemne, że szybko się pożegnaliśmy. Bałam się, że mógłby zechcieć to powtórzyć. - Wzdrygnęła się. - Oczekiwałam, że ktoś młodszy i zdrowszy niż sir Thomas przekona mnie, że całe to kochanie warte jest zachodu. Otóż nie jest. Jest nieprzyjemne, brzydkie i brudne.

Benedick wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

- Moja droga - powiedział cicho. - Nie rozumiesz, że każdy zdrowy na umyśle, rozsądny mężczyzna potraktowałby twoje słowa jak wyzwanie?

Uniosła głowę, by popatrzeć w jego ciemnozielone oczy.

- Proszę nie mówić bzdur. - Wzruszyła ramionami. - Dlaczego ktoś miałby zawracać sobie mną głowę, skoro wokół jest tyle pięknych kobiet? Ze mną jest zbyt dużo zachodu. A poza tym nie uważam pana za rozsądnego mężczyznę.

- Jestem niesłychanie rozsądnym mężczyzną - zapewnił ją.

Zanim zdołała sobie uświadomić, co się właściwie dzieje, ponownie trafiła w jego objęcia. Benedick obsypał ją pocałunkami, głębokimi i gorącymi. Tak namiętna, pierwotna pieśczość powinna napełnić ją odrazą i niechęcią, tymczasem Melisanda poczuła

przyjemne ożywienie. Jej serce raptownie przyśpieszyło i nagle, wbrew sobie, objęła go rękami, bezwiednie zamykając oczy. W jednej sekundzie dała się pochłonać rozkoszy i nie protestowała, gdy wargami przywarł do jej ust.

Wyczuwszy przyzwolenie, Benedick zaczął delektować się pieśczętą. Kilka razy musnął jej dolną wargę i lekko chwycił zębami. Zdyszana Melisanda czuła, że jest gotowa pozwolić mu na wszystko, a gdy uniósł głowę, przyciągnęła go do siebie i odwzajemniła pocałunek z wielkim zapalem, choć bez wprawy.

Jak przez mgłę uświadomiła sobie, że Benedick ją uczy. Demonstrował, co można zrobić z językiem, naprowadzał, pokazywał, kiedy gwałtowniej, a kiedy delikatniej całować. Wreszcie nie mogła dłużej znieść przedłużającego się napięcia. Mimo to zebrała się w sobie, odetchnęła i złożyła dłonie na kolanach. Podobało się jej i chciała więcej, choć jego pocałunek był niczym trucizna. Zmuszał do zachowań, których nie akceptowała, i burzył jej wewnętrzny spokój.

- No więc dobrze reaguję na pańskie pocałunki, Rohan - oświadczyła wyzywającym tonem. - Jestem tylko człowiekiem, a pan doskonale całuje. Nie, żeby się na tym znała, ale podejrzewam, że jest pan jednym z najprawdziwszych mistrzów ars amandi. Powinnam wypytać moje dziewczęta i sprawdzić, co one myślą na ten temat - dodała lodowato.

Gdy się uśmiechnął, wokół jego oczu pojawiły się delikatne zmarszczki.

- Pokazałaś mi, gdzie jest moje miejsce, słodka Samarytanko. Nie musisz dyskutować o mnie ze swoją trzódką. Powiem ci wszystko, czego pragniesz.

- Gołąbeczki to nie trzódka, tylko stadko.

- Wszystko jedno. Nadal uważam, że jesteś bardzo niebezpieczną kobietą. - Znowu sięgnął po kanapkę, a ona podziwiała jego śniade, smukłe palce, w których trzymał chleb.

- Naprawdę? To urocze! - Rozpromieniła się. - Czym jeszcze mogę pana przerazić?

- Chyba nie sądzisz, że ci powiem, prawda? - Zerknął na ruiny. - Rozejrzałem się już po pogorzeliśku. Nie ma śladu ludzkiej obecności, a poza tym wydaje mi się, że nie jest tam bezpiecznie. Chyba dość widzieliśmy. Po posiłku powinniśmy wrócić do miasta.



- Mowy nie ma - oznajmiła stanowczo. - Pokonaliśmy kawał drogi i zamierzam dopiąć swego. Nie zniechęci mnie pan bajeczkami o niebezpieczeństwie zawalenia się murów. Przekona się pan, że jestem ulepiona z twardszej gliny niż większość pańskich znajomych.

- Niewątpliwie - wymamrotał. - No cóż, ale trzymaj się blisko mnie i nigdzie nie odchodź.

- Naturalnie - odparła.

- Kłamiesz, prawda?

- Naturalnie - powtórzyła. - Pań może iść za mną.

Benedick przecesał palcami ciemne, nieco kręcone włosy, a Melisanda zastanowiła się, jakie byłyby w dotyku. Wyglądały na miękkie, niczym futro małego wilczka.

- Naprawdę doprowadzasz mnie do szału - mruknął.

- Wobec tego osiągnęłam zamierzony cel. - Wstała. - Może posprząta pan ten bałagan, a ja rozejrzę się po ruinach? To sprawiedliwe, w końcu to ja wszystko rozstawiłam.

Benedick również zerwał się na równe nogi i ruszył za nią.

- Bałagan może poczekać. - Stanowczym ruchem wziął ją pod rękę, po czym ruszyli w kierunku spiętrzonych ruin pogorzelniska.

Benedick z uśmiechem pomyślał, że powinien być w paskudnym nastroju. W końcu Melisanda go obrażała, kusila, rzuciła mu wyzwanie, a nawet zaczęła mu grozić. Płakała, a on nienawidził łez. Uważał je za damską słabość, którą kobiety wykorzystują do manipulowania mężczyznami, aby spełniali ich zachcianki.

Tak naprawdę nie mógł jednak winić Melisandy. Choć było to zdumiewające, najwyraźniej bardzo pragnęła, aby jej choleryczny mąż powrócił. Zza grobu. I chyba szczerze wierzyła, że nie interesują jej rozkosze cielesne, choć reagowała za każdym razem, gdy jej dotykał. Nie miał pojęcia, dlaczego wydawała mu się tak kusząca. Aby nie ulec jej czarowi, musiał jak najszybciej odwieźć ją z powrotem do Londynu, do jej domu pełnego zbrukanych gołąbeczek.

Z Kersley Hall nie pozostało nawet tyle, by mogła tu zamieszkać rodzina myszy. Ogień strawił wszystko, co nie było z kamienia, nie ucierpiały jedynie fragmenty ze-

wewnętrznych murów i kominy. Melisanda przystanąła tam, gdzie kiedyś znajdowały się drzwi frontowe, i pokręciła głową.

- Od pożaru chyba rzeczywiście nie było tu nikogo - powiedziała.

- Zgadzam się. Wobec tego możemy...

- Co to za budynek? - Wskazała skromną chatkę, znajdującą się w pewnym oddaleniu od domu.

Dach był częściowo spalony, lecz jego większość zachowała się w dobrym stanie. W oknach Melisanda dostrzegła zasłony.

- Nie mam pojęcia - odparł Benedick. - Te okoliczne domostwa mają rozmaite zastosowania. Może to dom odźwiernego albo ogrodnika czy też łowczego. Równie dobrze mógł służyć jako mleczarnia albo pralnia, choć wtedy pewnie byłoby więcej kominów. Być może to po prostu dom gospodyni, choć zazwyczaj mieszkają one w głównym budynku. Jeśli uważasz, że Niebiańskie Zastępy spotykają się w takim otoczeniu, jesteś w błędzie. Po pierwsze, z braku miejsca nie dałoby się tam urządzić porządnej orgii. Po drugie, Zastępy cenią sobie ciepłe sypialnie, mnóstwo najlepszego wina i komfort. Ci ludzie nie zniżyliby się do poziomu domku gospodyni.

- Pozwoli pan, że sprawdzę. - Ruszyła w kierunku zabudowań.

Benedick zmełł w ustach przekleństwo i poszedł za nią.

- Czekaj. - Miał złe przeczucia. Melisanda sięgała do gałki, ale podbiegł bliżej i chwycił ją za ramię. - Ja pierwszy.

Zanim skończył mówić te słowa, ziemia pod ich stopami nagle się osunęła. Benedick zobaczył, że Melisanda się zapada, więc momentalnie wyciągnął ramiona, by ją chwycić, i runął w dół razem z nią.

## Rozdział szesnasty

Benedick zdołał obrócić ich, kiedy spadali, więc wylądował pod Melisandą, chroniąc ją przed bolesnym uderzeniem o podłogę. Stęknął nieelegancko, gdyż jednocześnie rąbnął mocno o grunt i został przygnieciony przez spadającą kobietę. Poruszył się niepewnie, nie wypuszczając jej z objęć, i dopiero po kilku sekundach z nieskrywaną ulgą zdołał odetchnąć. Wyglądało na to, że Melisanda wcale nie ma zamiaru wstać. Wczepiła się w niego kurczowo, a jemu przeszło przez myśl, że jest ranna. Ze strachem poruszył rękami i zaczął ostrożnie ją obmacywać w poszukiwaniu połamanych kości. Dopiero wtedy drgnęła i przetoczyła się, po czym z irytacją pacnęła go w dłoń. Benedick usiadł i lekko się skrzywił.

- Melisando, wszystko w porządku? - zapytał z niepokojem.

W powietrzu unosiło się sporo kurzu i pyłu, więc zakaszłała.

- Chyba tak. Co się stało?

- Wygląda na to, że znaleźliśmy miejsce spotkań Niebiańskich Zastępów - odrzekł.

- W piwnicy?

- Rozejrzyj się. Nie jesteśmy w piwnicy, tylko w samym środku tunelu. Na ścianach są pochodnie i toporne rysunki. Czegoś takiego nie znajdziesz w kopalniach. Pod wpływem ognia i warunków pogodowych musiało dojść do osłabienia gruntu, który zawalił się pod naszym ciężarem.

- Nie lubię małych, zamkniętych przestrzeni - wyznała słabym głosem.

Benedick wstał i otrzepał płaszcz z ziemi. On też był trochę przerażony. Znał ludzi, którzy wariowali ze strachu w zamknięciu, i to nie było miłe wspomnienie.

- Jak bardzo nie lubisz zamkniętych pomieszczeń? - zapytał grzecznie. - Czy czujesz się w nich niepewnie, czy też zwijasz się w kłębek i zaczynasz wrzeszczeć?

Popatrzyła na niego z oburzeniem, a on odetchnął z ulgą.

- Czy wyglądam jak ktoś, kto zaraz zacznie wrzeszczeć?

- Nie, chyba nie - odparł. - Wobec tego jakoś będziesz musiała to znieść, dopóki nie znajdziemy wyjścia.

Wyciągnął do niej rękę. Miała umorusany policzek i zmierzwiłone włosy, a także rozdartą suknię, ale poza tym wydawała się nienaruszona. Dzięki Bogu, pomyślał.

Zerknęła na dłoń Benedicka, niechętnie podała mu rękę i pozwoliła się postawić na nogi. W tym samym momencie krzyknęła głośno. Ugięły się pod nią kolana, lecz na szczęście Benedick zdążył ją złapać, nim upadła. Spojrzała na niego pięknymi, niebieskimi oczami, próbując ukryć ból, który niewątpliwie czuła. Nagle Benedick poczuł, że pragnie chronić ją przed niebezpieczeństwem i niewygodą - ba, gotów był nawet walczyć dla niej ze smokami. Zignorował to i postawił na prowokację.

- Widzę, że jednak wrzeszczysz - zauważył.

- Moja kostka... - jęknęła Melisanda. - Chyba wykręciłam ją przy upadku.

Benedick zerknął w górę. W korytarzu panowały ciemności, ale do miejsca, w którym się znajdowali, przynajmniej docierało światło słoneczne, sączące się bezpośrednio z otworu nad ich głowami. Położył ją z powrotem na ziemi, ukląkł u jej stóp i odsunął rąbek stroju do konnej jazdy. Melisanda natychmiast poprawiła ubranie i kopnęła Benedicka zdrową nogą.

- Co pan sobie wyobraża? - spytała z oburzeniem

- Sprawdzam, co się stało. Zapewniam, że mam doświadczenie w tej materii. Niejednokrotnie musiałem opatrywać braci i siostrę, nim nasi rodzice odkryli, w jakie wpakowaliśmy się tarapaty. Lubiliśmy wspinać się na skały i bawić w piratów. Przynajmniej sprawdzę, czy kostka nie jest złamana.

- No i po co? - Wzruszyła ramionami. - Jeśli jest złamana, to jest.

- Jeśli jest złamana, to im szybciej ją złożymy, tym mniej prawdopodobne, że zostanie uszkodzona na stałe - wyjaśnił. - Jak byś się czuła, gdybyś już nigdy nie mogła tańczyć?

Na jej twarzy pokazała się konsternacja, która jednak szybko zniknęła.

- W życiu kobiety nie brakuje gorszych katastrof - odparła sztywno. - A zresztą nigdy nie lubiłam tańczyć.

- Tak? Zdawałaś się o tym nie pamiętać, kiedy już się odprężyłaś...

- To naprawdę bez znaczenia, kiedy myśli się o kobietach, którymi się zajmuję...

Była bardzo męcząca.

- Jak byś się czuła, gdybyś nie mogła biegać to tu, to tam, żeby ratować swoje gołąbeczki? Uszkodzona kostka skutecznie ograniczyłaby twoje szlachetne zajęcia.

Tym razem trafił w sedno.

- No dobrze. To rzeczywiście ma sens - przyznała z niechęcią.

- Jeśli kostka jest złamana, zaprowadzę cię do lekarza. Na pewno jest jakiś w najbliższym miasteczku i zajmie się twoją nogą. Jeśli to tylko zwichnięcie, wrócimy do Londynu i tam cię opatrzą. Czy to brzmi rozsądnie?

- Owszem. - Popatrzyła na niego spod zmarszczonych brwi. - Ale ja panu nie ufam.

- I bardzo dobrze - odparł.

Gdy rozmawiali, zdołał wsunąć dłonie pod jej spódnicę i zacisnąć je na bucie do jazdy konnej. W tym samym momencie szarpnął mocno, zsuwając but, a Melisanda znowu wrzasnęła, tym razem jeszcze głośniej niż poprzednio. Nie chciał zrobić jej krzywdy, co go zresztą zdumiało, gdyż w takich sprawach zwykle robił, co musiał, i nie zastanawiał się, czy boli. Samarytanka Carstairs najwyraźniej miała na niego zły wpływ.

Opadła na łokcie, blada i spocona.

- Mógł mnie pan ostrzec! - syknęła.

- Byłoby jeszcze gorzej.

- Wykluczone.

Drgnęła, gdy delikatnie położył dłonie na jej stopie i przesunął po niej palcami w poszukiwaniu uszkodzeń. Miała bardzo ładną stopę, wąską, ze zdumiewająco atrakcyjnymi palcami. Benedick nigdy nie uważał się za wielbiciela kobiecych stópek, tym razem jednak był pod wrażeniem. Inna sprawa, że podobało mu się właściwie wszystko, co miało związek z Melisandą.

- No cóż. - Starał się mówić jak najbardziej obojętnym tonem. - To zaboli.

Dobrze sobie radziła, gdy naciskał i ugniatał, jęczała jedynie przez zaciśnięte zęby. Gdy jednak położył dłonie na jej zgrabnej łydce, spiorunowała go wzrokiem.

- Wyżej nie trzeba - oznajmiła.

- Ależ ból może promieniować od kolana, moja słodka Samarytanko - wyjaśnił, ignorując jej protesty. - Muszę to sprawdzić.

Miała urocze kolano, ale nie mógł się teraz na tym koncentrować. Jej kostka już zaczęła puchnąć, co oznaczało, że nie było mowy o ponownym włożeniu buta, to zaś z kolei oznaczało, że Benedick będzie musiał ją nieść. Nie miał nic przeciwko temu.

Uśmiechnął się szeroko i oznajmił:

- Nie jest złamana. Nie mogę być całkiem pewien, ale wydaje mi się, że to jedynie zwichnięcie. Będziesz musiała trzymać nogę wysoko w górze, obłożoną lodem.

- Nie mogę zrobić ani jednego, ani drugiego - odparła Melisanda trzeźwo i usiadła.

- Proszę mi podać but, włożę go z powrotem.

- Obawiam się, że nic z tego. - Pokręcił głową. - Spójrz.

Zerknęła na puchnąca kostkę i okropnie zakłęła. Benedick był pod wrażeniem. Doszedł do wniosku, że nauczyła się czegoś pożytecznego od swojego stadka.

- Niby jak mam chodzić w jednym bucie? - zapytała.

- Nie będziesz chodzić.

Pochylił się i bez trudu wziął ją w ramiona. Była dość lekka, a on zawsze dbał o kondycję fizyczną.

- Nie podoba mi się to - burknęła.

- Wiem, że nie - odparł pogodnie. - To będzie dla mnie jedna z przyjemniejszych chwil tego popołudnia.

Sądził, że zdenerwuje ją jeszcze bardziej, ale ku jego zdumieniu wybuchnęła śmiechem.

- Jest pan bardzo złym człowiekiem - zauważyła. - Nie rozumiem, dlaczego to mnie dziwi. Przecież pochodzi pan z rodu Rohanów, czyż nie? Prawdopodobnie pod względem perfidii pańska rodzina bije na głowę nawet Niebiańskie Zastępy.

- W rzeczy samej - przytaknął. - Jesteśmy absolutnie niepoprawni. W którą stronę mam iść, w prawo czy w lewo?

Objęła go za szyję. W tych okolicznościach był to całkiem naturalny gest, ale z jakiegoś powodu ogarnęło go wzruszenie. Okazała mu zaufanie i akceptację, być może nieświadomie.

- Chodźmy na prawo - oznajmiła w końcu, rozejrzawszy się wokół siebie.

- Wobec tego idziemy w lewo - odparł z łobuzerskim uśmiechem.

Melisanda pomyślała, że powinna być w znacznie gorszym humorze. Czuła okropny ból w kostce, zgubiła gdzieś but, a na dodatek jej wróg numer jeden niósł ją jak worek kartofli.

Znajdowali się nie wiadomo gdzie, w tunelu, z którego nie było widać wyjścia, a on tulił ją do siebie i nieustannie mówił do niej po imieniu. Pewnie nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Podążali zaciemnionym korytarzem, a gdy minęli zakręt, ogarnął ich mrok. Nie paliła się ani jedna z pochodni, choć nie brakowało ich na białych ścianach jaskini. Benedick niósł Melisandę bez wysiłku, jakby ważyła tyle, co piórko, choć doskonale wiedziała, że to nieprawda. Była dobrze zbudowana, by nie rzec pulchna, a dźwiganie jej niejednemu mężczyźnie sprawiłoby nie lada kłopot. Tymczasem Rohan nawet nie dostał zadyszki.

Robiło się coraz ciemniej. Miała ochotę mocniej przywrzeć do Benedicka, ale oparła się pokusie.

- Jest pan pewien, że zmierzamy we właściwym kierunku? - zapytała.

- Niczego nie jestem pewien - warknął z irytacją Benedick. - Polegam na instynkcie.

- Instynkt podpowiada panu, żeby robił pan wszystko wbrew moim propozycjom?

Było zbyt ciemno, aby zobaczyła wyraz twarzy Benedicka, ale wyczuwała jego rozbawienie.

- W rzeczy samej. Zastanawiam się...

- Zastanawia się pan? - ponagliła go.

Nieoczekiwanie postawił ją na ziemi, choć nie wypuścił jej z objęć. Położył dłoń na jej ustach, by umilkła, a wtedy usłyszała podniesione głosy i dostrzegła światło, zmierzające w jej kierunku. Benedick zwinnie doskoczył do wnęki w ścianie i wcisnął się tam razem z Melisandą, aby ukryć się przed zbliżającymi się ludźmi.

- Ani słowa - wyszeptał jej do ucha.

Skinęła głową, czy też raczej spróbowała skinać, gdyż jego ręka jej to utrudniła. Po chwili cofnął dłoń i znieruchomiał.

Teraz wyraźnie widziała światło w tunelu za nimi i lepiej słyszała głosy.

- Widziałeś kogoś? - Głos wydawał się nieco znajomy.

Należał do mężczyzny w średnim wieku, niewątpliwie z wyższych sfer.

- Nie bądź śmieszny. - Drugi głos był młodszy, nieco niezadowolony i całkiem nieznany. - W pobliżu ruin nie ma żadnych koni, prawda? Kto miałby tu być? Weszliśmy jedynym wyjściem, a było zamknięte na klucz, jak tu wchodziliśmy.

- Wydawało mi, że kogoś widziałem w szkolnej salce.

Głos i światło się zbliżyły, więc Rohan wepchnął ją głębiej do alkowy, zasłaniając ramieniem jej twarz. Stali nieruchomo, ale dostrzegła światło za jego plecami i wpadła w panikę. Na szczęście pozostali niezauważeni.

- Tu jest ciemno choć oko wykol - powiedział starszy mężczyzna. - Nic tylko posłanie i szmaty.

- Mógłbyś tam wejść i popatrzeć - oświadczył młodszy głos z ironią. - Obiecuję, że cię nie zamknę.

Światło się oddaliło, a Melisanda poczuła, jak przetacza się przez nią fala ulgi.

- Naprawdę myślisz, że jestem tak głupi, by ci wierzyć, Pennington? Twoje poczucie humoru zawsze było nieco ekscentryczne.

- Tchórz.

- Mógłbym cię wyzwąć na pojedynek za to słowo.

- Mógłbyś. Ale obaj znamy lepsze sposoby na rozwiązywanie sporów, prawda? - Mężczyzna o nazwisku Pennington miał miły głos, ale pobrzmiewała w nim nieprzyjemna nuta.

Drugi człowiek zachichotał.

- W rzeczy samej - odparł. - Mało jest przyjemniejszych widoków niż dwie kurwy, które starają się okaleczyć.

Melisanda wzdrygnęła się z odrazą, lecz Benedick tylko ją mocniej przycisnął i ponownie przyłożył dłoń do jej ust. Zamknęła oczy, usiłując rozluźnić napięte mięśnie. Choć pragnęła wyrwać się z objęć tego człowieka i rzucić z pięściami na degeneratów, których rozmowę przed chwilą usłyszała, z obolałą nogą nie miała szansy do nich dotrzeć. Poza tym przydałby się jej solidny kij, którym obilałby łotrów.

Poczuła, jak Benedick przyciska ją do ściany. Był tak blisko, że ich ciała wydawały się niemal sklezione. Na dodatek trzymał nogi między jej udami i ocierał się o nią lekko...



Uświadomiła sobie, że jest podniecony, a im dłużej stoją przy sobie, tym wyraźniej czuła jego męskość. Powinna była odepchnąć go, ale nie mogła przecież przyciągnąć uwagi złoczyńców do miejsca, w którym się ukrywała.

Z tego względu nie wolno jej było kopnąć Benedicka, spoliczkować ani uczynić nic innego, co wiązałoby się z niepotrzebnym hałasem. Na domiar złego jej umysł zaczął niebezpiecznie błędzić.

Benedick był szczupły i silny, rozkosznie silny. Nigdy dotąd nie zastanawiała się, czy jakaś szczególna męska sylwetka odpowiada jej najbardziej. Całą uwagę skupiała zawsze na człowieku, nie na jego wyglądzie, ale w istocie rzeczy lubiła przebywać w towarzystwie wysokich mężczyzn. Podobała się jej ich moc i szczupłe, eleganckie ciała.

Zganiła się w duchu za te rozważania. Przecież znajdowali się w niebezpieczeństwie, a tamci dwaj mogli lada moment powrócić. Powinna skupić się na własnej złości i sposobie ucieczki, a nie na kontakcie fizycznym z Benedickiem.

Ku jej wzburzeniu, poruszył biodrami, jednocześnie przyciskając jej głowę do swojego ramienia i obejmując ją w talii. Wiedziała, że powinna wsunąć dłonie między ich ciała, ale najzwyczajniej w świecie nie było tam dostatecznie dużo miejsca.

Jego biodra znowu drgnęły, a ona wbrew sobie zapragnęła poczuć go jeszcze bliżej, jeszcze mocniej, i rozchyliła nogi. Cała płonęła. Miała nabrzmiące piersi, jej serce tłukło się jak ptak w klatce.

Tymczasem głosy oddaliły się, lecz nadal słyszała ich szmer. Benedick przesunął głowę, a Melisanda spojrzała na niego. Mogła dostrzec wyłącznie jego oczy, błyszczące w mroku, gdy uważnie na nią patrzył.

Sama nie wiedziała, czego chce i jak powinna się zachować. Wtedy Rohan zadał jej to jedno pytanie, na które nie mogła mu odpowiedzieć.

- Na co masz ochotę, moja słodka Samarytanko? - wyszeptał ledwie słyszalnie.

Skierowała spojrzenie na bok, ku ścianie, usiłując zapanować nad swoim zdradzieckim ciałem

- Na co masz ochotę? - powtórzył z uporem, muskając gorącym powietrzem jej ucho i przygryzając je delikatnie. - Na co... masz... ochotę?

Dała za wygraną. Dotarła do kresu wytrzymałości.

- Chcę więcej - wyszeptała.

Wiedziała, że uśmiechnął się triumfalnie, ale nic jej to nie obchodziło. Przywarł do niej znowu, tym razem powoli ocierając się o nią. Melisanda wstrzymała oddech, przytłoczona falą doznań. Pomyślała rozmarzona, że jest tak, jakby się kochali, tyle tylko, że on nie był w niej, a to sprawiało, że drżała i pragnęła go coraz bardziej. Nagle, wbrew sobie, poczuła, jak jej ciało przenika eksplozja rozkoszy, tak nieoczekiwana, że Melisanda osunęła się na wyściełaną poduszkami podłogę.

Usiłowała coś powiedzieć, coś niezobowiązującego, ale przez kilka długich sekund nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Powinna być poirytowana tym, co zrobił, ale przecież sama chciała więcej, prawda?

Machinalnie oplótła go nogami. Głosy całkiem znikły, w korytarzu pozostała tylko poświata ognia z pochodni.

- Powinniśmy już iść - wydusiła z siebie.

Przecież mogła udawać, że nic się nie stało.

Bo niby skąd Benedick mógł wiedzieć, jak było naprawdę?

- Jeszcze nie - odparł. Podniecał ją nawet ton jego głosu. Czyżby oszalała? - Jeszcze z tobą nie skończyłem.

- Nie skończyłeś? Jak to...? - zapytała nieco głośniejszym głosem, niż pragnęła, a wtedy ponownie przycisnęła dłoń do jej ust, a jednocześnie poczuła, że drugą ręką głaszcze jej nogę.

Melisanda była zbyt zszokowana, żeby zaprotestować. Gdy spróbowała go odpechnąć, po prostu złapał ją za dłonie i przytrzymał.

- Cicho - burknął. - Chyba że nie chcesz uratować swoich gołąbeczek. To nie potrwa długo.

- Co nie potrwa? - usiłowała się dowiedzieć.

W tym samym momencie uświadomiła sobie, że jego dłoń spoczęła na jej udzie, a długie palce gładziły ją i pieściły, przesuwając się coraz wyżej i wyżej, pod luźne, bawełniane reformy, aż do jej najbardziej intymnego miejsca. Wcisnęła twarz w jego ramię, żeby stłumić krzyk, kiedy jej dotknął opuszkami palców. Był stanowczy, ale przy tym delikatny i z pewnością znał się na rzeczy. Po chwili puścił jej nadgarstki i wcisnął w jej dłoń miękki materiał.

- Włóż sobie do ust moją chustkę - poradził jej z nutą rozbawienia w głosie. - Skutecznie stłumi hałas.

- Nie potrzebuję - oświadczyła szeptem.

- Na pewno? - spytał, poruszając jednym palcem.

Od razu poczuła, że powraca znajome rozkoszne odrętwienie. Pieścił ją jak jeszcze nikt dotąd.

- Czy mam przestać? - zapytał chrapliwie.

To było szaleństwo. Ogarnęła ją rozkosz przemieszana z bólem i już po kilku sekundach Melisanda gwałtownie wyprężyła ciało. Bez zastanowienia wepchnęła chustkę do ust, tłumiąc spontaniczny krzyk. Benedick tylko się zaśmiał.

- Dobrze, moja słodka - zamruczał. - Tak właśnie ma być.

Pieścił ją dalej i choć powinna czuć zakłopotanie, było jej wszystko jedno. Na moment świat zewnętrzny zniknął, zapomniała o swoich postanowieniach i zatraciła się w rozkoszy. Nagle całym ciałem wygięła się w łuk, przeszły ją tysiące igiełek, sprawiając niewypowiedzianą przyjemność, graniczącą z bólem. Trafiła do nieba.

Powoli powracała do rzeczywistości. Pośpiesznie wyjęła chustkę i ukryła twarz przed Benedickiem, tuląc się do jego ramienia. Wiedział, że zaraz powie jej coś okropnego, wykpi żalosalną reakcję na zwykłą pieszczotę...

- Cudownie - wyszeptał jej do ucha, głaszcząc ją po zmierzwionych włosach. - Wprost idealnie...

Zaskoczona, miała ochotę znowu się rozplakać.

## Rozdział siedemnasty

Leżała w jego ramionach, drżąc jak dziewica, a on usiłował zagłuszyć poczucie winy. Przecież nie odmówiła, powtarzał sobie w duchu, a nawet prosiła o więcej, a nie było mowy, żeby poprzestał na jej pierwszym, małym szczytowaniu. Spodziewał się, że pod pewnymi względami Melisanda Carstairs przypominała dziewicę i nigdy nie udało się jej zaznać żadnej rozkoszy w łóżu, a tym bardziej tego, co Francuzi nazywali la petite mort, małą śmiercią.

Teraz sam chętnie by jej doświadczył, jednak to nie był czas ani miejsce. Gdy poprawiał spódnicę Melisandy, zaczął się zastanawiać, jak, u licha, jego życie stało się tak skomplikowane. Przybył do Londynu, by znaleźć żonę i zabawiać się z dziewczętami - jak dotąd ani jedno, ani drugie nie udało mu się najlepiej. Nikt poza tajemniczą Samarytanką Carstairs go nie interesował.

Zmienił również zdanie co do panny Pennington. Nie potrzebował kolejnego krewniaka w Niebiańskich Zastępach.

Melisanda tymczasem przestała drzeć, ale nadal ukrywała twarz w jego ramieniu.

Powoli puścił ją i oparł plecami o ścianę jaskini. Wiedział, do czego wykorzystywano to pomieszczenie, i miał nadzieję, że Melisanda nie zauważy sznurów i pęt, walających się po podłodze. Pragnął, by dobrze zapamiętała ten zakątek.

- Upewnię się, że zniknęli - wyszeptał jej do ucha.

Skinęła głową, przymykając jednocześnie oczy. Miał ochotę ucałować jej powieki, ale gdyby to zrobił, pewnie by go uderzyła.

Zastanawiał się, czy znaleźli już zapadlisko i wrócą, kiedy je odkryją, czy też raczej zostaną, by je zbadać. Najważniejsze było to, by zdołał wyciągnąć Melisandę przed ich powrotem.

Zawsze mógł udawać, że ktoś mu powiedział, jak się tu dostać, i że zabawiał się z lady Carstairs. Co by mu zrobili? Oskarżyli go o wtargnięcie na teren prywatny? W ten sposób on i Melisanda straciliby jednak przewagę, którą obecnie dysponowali. Zastanawiał się już wcześniej, czy przekonać członków stowarzyszenia, aby przyjęli go do Zastępów, ale nie miał pojęcia, do kogo się zwrócić, i podejrzewał, że i tak spotkałby się z

odmową: Nie słynał z nieokiełznanego rozpasania, wołał jedną partnerkę naraz, i to w dodatku chętną.

Najlepiej było wyciągnąć stąd Melisandę, nim ktokolwiek dowie się o ich wizycie. Im dłużej się wahał, tym mniejsze miał szanse na powodzenie.

- Idziemy - powiedział i pomógł Melisandzie wstać.

- Mogę.

- Nie, nie możesz - przerwał jej bezwzględnie. - Jeśli będziesz próbowała chodzić, to zajmie znacznie więcej czasu. Zaufaj mi.

W odpowiedzi tylko zaśmiała się niewesoło.

Mężczyźni pozostawili zapalone pochodnie, więc szedł za światłem. Po kilku minutach dotarli do dużej, podziemnej sali, z której odchodziło mnóstwo tuneli, zupełnie jak w króliczej norze. Na szczęście światło dobiegało tylko z jednego z nich, więc Benedick ruszył w jego kierunku.

Widok stopni prowadzących w górę korytarza niezwykle go uradował. Przeskakiwał po dwa naraz, uważając, by się nie przewrócić. Po chwili znów zalało ich światło popołudniowego słońca. Wyszli na sam koniec ruin.

Benedick obrzucił Melisandę podejrzliwym spojrzeniem. Miała zamknięte oczy i spokojną twarz. Najwyraźniej postanowiła zignorować to, co między nimi zaszło. Niech i tak będzie, pomyślał i także postanowił nie poruszać tego tematu. Teraz ruch był po jej stronie, choć liczył na to, że Melisanda nie zdecyduje się o tym rozmawiać. Kobiety miały tendencję do przykładania zbyt wielkiej wagi do zbliżenia, a zresztą to nie było zbliżenie, tylko chwila oddechu podczas innych zajęć. Udowodnił, że Melisanda nie jest tak oziębłym stworzeniem, jak się jej wydawało.

Trochę potrwało, nim dotarli do wierzchowców. Przekąska nadal leżała na kocu, więc Benedick zawiązał wszystko i wrzucił do koszyka, ignorując okrzyki protestu Melisandy, którą posadził na pobliskim głazie. Jej kostka była dwa razy grubsza niż zazwyczaj i zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem naprawdę jej nie złamała. Trudno było powiedzieć, co skrywa opuchlizna, więc musiał szybko zabrać Melisandę do domu.

- Będziesz jechała przede mną, a twojego konia poprowadzę za nami - zapowiedział.

- Mowy nie ma - odparła. - Doskonale dam sobie radę.

Nie patrzyła mu w oczy, co go jednocześnie bawiło i denerwowało.

- Wątpię, to przecież prawa noga - zauważył. - Niby jak poprowadzisz konia?

- Dam sobie radę, jeżeli pomoże mi pan się wspiąć.

Westchnął, wziął ją w ramiona, przeniósł przez polankę i posadził w siodle. Następnie wskoczył na konia i sięgnął po wodze.

- Jedźmy - powiedział obojętnym tonem i czekał, by ruszyła pierwsza.

Mniej więcej po trzech metrach Melisanda krzyknęła z bólu, gdy próbowała popędzić konia piętami. Benedick podjechał do niej niespiesznie. Miała łzy w oczach i była wyraźnie zirytowana.

- Miał pan rację - szepnęła.

- Jak zawsze. - Podał jej rękę.

Począł, aż Melisanda wyciągnie ku niemu ramiona, po czym ją złapał i posadził na swoim koniu.

- Proszę już nic nie mówić, tylko jechać - zażądała ochryple.

Postanowił spełnić jej życzenie. Jechał spokojnie, by nie uszkodzić kostki, którą ukryła skromnie pod rąbkiem sukni, co bez wątplenia musiało jej przysparzać jeszcze więcej bólu. Próbowwała siedzieć tak, by go nie dotykać, ale wiedział, że to sporo ją kosztowało. Nie chciał narażać jej na jeszcze większe cierpienia, więc objął ją w talii.

- Odpręż się - powiedział spokojnie. - Nie będę cię przecież obłapywał na królewskim trakcie, a długo nie wytrzymasz, zaciskając mięśnie w taki sposób. Gdy tylko dołączymy do gospody, zatrzymamy się tam, a ja poślę po powóz.

- Nie - zaprotestowała. - Proszę mnie odwieźć do domu.

Nawet nie wspomniał o tym, że prawdopodobnie są na językach w mieście, gdyż widziano ich razem co najmniej przy dwóch okazjach. Gdyby pojawili się w mieście przytuleni do siebie na jednym siodle, plotkom nie byłoby końca. Zastanawiał się, czy to by zaszkodziło jej niemądrej działalności charytatywnej, a nie chciał, by odpowiedzialność spadła na niego.

Miał jednak nadzieję, że ludzie zaczną postrzegać Samarytanę Carstairs jak człowieka, który ma wady, nie same zalety. Wtedy z jeszcze większym zrozumieniem podej-

dą do jej wysiłków. Szczerze mówiąc, fakt, że połączą ich plotki, sprawiał mu przyjemność. Wiedział naturalnie, że z ich powodu będzie miał problemy ze znalezieniem sobie młodej narzeczonej, jednak wyższe sfery były w stanie sporo wybaczyć mężczyznom. Ostatecznie doszedł do wniosku, że pogłoski o jego romansie w żaden sposób nie przeszkodzą mu w osiągnięciu planów. Nawet gdyby pogłoski okazały się prawdą...

Pragnął Melisandy w swoim łóżu, wręcz desperacko jej pożądał. Być może było to spowodowane erotyczną atmosferą panującą w jaskiniach. Instynktownie potraktował je jako miejsce igraszek cielesnych i doświadczył długotrwałego podniecenia.

Zadecydował, że po powrocie do domu otoczy się towarzystwem bardziej skorych do zabawy pań. Pomimo szczerych wysiłków Melisandy, w mieście nadal nie brakowało pięknych i ochoczych cór Koryntu, więc tej nocy nie powinien mieć najmniejszych problemów z zapełnieniem pustki w swoim łóżu.

Tyle tylko, że na razie wolał myśleć o lady Carstairs. Zaznajomił się z nią bliżej i miał ochotę zacieśnić stosunki. Najpierw bezwiednie pieściła go we śnie, potem poddała się jego woli...

Przestań! - upomniął się w myślał i postanowił skupić uwagę na czymkolwiek innym - zimnym deszczu, wojnie, prosiętach - byle tylko nie koncentrować się na ponętnych krągłościach Melisandy.

Wybrał okrężną drogę do jej domu przy King Street. Nie miał co liczyć na to, że dowiedzie ją dyskretnie i bez świadków, ale dzięki objazdowi miał szansę uniknąć niepotrzebnych rozmów z przygodnymi wędrowcami. Gdy dotarli do Gołębniczka, było już późno, i ku przerażeniu Benedicka, całe stadko wyległo na ich powitanie.

Zsunął się z siodła, po czym wyciągnął ręce do Melisandy.

- Niech ktoś weźmie te przeklęte konie - rozkazał.

Zaniósł ją po schodach, mając nadzieję, że któraś z dziewcząt zna się na wierzchowcach na tyle, aby dać sobie z nimi radę. Drzwi były otwarte i kobieta, którą znał kiedyś jako Emmę Cadbury, właścicielkę jednego z najlepszych burdeli w mieście, podbiegła do nich, bez żadnego makijażu, ze skromną fryzurą i w jeszcze skromniejszej sukni. Na jej twarzy malował się niepokój.

- Co się stało? - zapytała bez tchu.

- Upadłam - odezwała się Melisanda

- Gdzie jest jej sypialnia? - Benedick popatrzył na Emmę.

- Nie zanieś mnie pan do mojej sypialni!

- I owszem. Niech ktoś wezwie doktora. Chyba nie złamała kości, ale mogę się mylić. Należy unieść nogę i ją zabandażować - ciągnął, jakby nie usłyszał obiekcji.

- Mogę ją sobie unieść na dole - warknęła Melisanda.

Benedick znowu spojrział na Emmę Cadbury.

- Sypialnia jest na drugim piętrze - powiedziała Emma po chwili wahania. - Pierwsze drzwi po prawej stronie. Zaraz pošlę kogoś po medyka.

- Zdrajczyni - wycodziła z goryczą Melisanda.

Benedick ruszył ku schodom, ignorując jej słowa. Na górze dwie młode dziewczyny otworzyły mu drzwi. Wściekła Melisanda, milczała. Zastanawiał się, co mu za chwilę powie do słuchu i czy pozwoli sobie na awanturę w przytomności swojej trzódki.

Ze zdumieniem rozejrzał się po pokoju. Był urządzony w sposób praktyczny, ale ani trochę nie kojarzył się z miejscem, w którym mogłaby żyć bogata dama pokroju lady Carstairs. Brakowało szeszlona, więc położył ją na łóżku, sięgnął po poduszkę i umieścił na niej kontuzjowaną nogę Melisandy. Nawet delikatny dotyk sprawiał jej mnóstwo bólu.

- Czy ktoś posłał już po tego przeklętego doktora? - warknął przez ramię.

- Naturalnie, wasza lordowska mość - odparła chłodno Emma Cadbury, wchodząc do pokoju. - Wkrótce tu przybędzie. Proszę się już dłużej nie kłopotać.

Benedick rzucił jej uważne spojrzenie.

- Pani Cadbury, bardzo trudno się mnie pozbyć, gdy nie jestem gotów odejść. Źle reaguję na aluzje. Zamierzam pozostać tutaj, dopóki medyk nie obejrzy zwichniętej kostki. W końcu lady Carstairs była w moim towarzystwie, gdy została ranna, więc uważam, że do moich powinności należy...

- Zwalniam pana z tej powinności - przerwała mu Melisanda. - Proszę odejść.

- Nie strzép sobie języka, skarbie. Nigdzie nie pójdę. - Odwrócił się do niej tyłem i usiadł obok na łożu.

- Ależ wasza lordowska mość! - Pani Cadbury wyglądała na oburzoną i lekko rozbawioną, co go zdumiało.



- Wystarczy tego - powiedział. - Widywała pani daleko bardziej szokujące rzeczy niż to, co teraz ma pani przed oczami. Proszę przynieść kieliszek brandy. Może pomóc na ból.

Pani Cadbury przenosiła spojrzenie z jednego na drugie, po czym, ku jego zdumieniu, wyszła z sypialni, po drodze zabierając dziewczęta. Został sam na sam z bardzo rozgniewaną Samarytanką Carstairs.

- Zabiję ją - wycedziła Melisanda przez zaciśnięte zęby.

Benedick rozciągnął się na łożu.

- Oszczędzaj energię - poradził jej. - Nie wyrzucisz mnie, póki sam nie będę gotów odejść. Po prostu zamknij oczy i oddychaj.

- Nie zamknę oczu w pańskim towarzystwie, bo panu nie ufam.

Wyciągnął rękę, by dotknąć jej twarzy, ale natychmiast odtrąciła jego dłoń.

- Przecież nie zrobię ci krzywdy - powiedział cicho i bardzo poważnie.

Spojrzała na niego, i była to jedna z tych chwil, kiedy oboje poczuli wzajemne zrozumienie. Jedna z tych chwil, które nim wstrząsały znacznie bardziej, niż był gotów przyznać.

- Już pan zrobił - powiedziała.

## Rozdział osiemnasty

Brandon Rohan otworzył oczy i leniwie popatrzył na zakapturzoną sylwetkę, która się nad nim pochylała. Opiumowy sen osiągnął swoje apogeum i Brandon nie chciał, by ktoś go z niego wyciągał. Zresztą, co tutaj robił Mistrz? Dotąd nigdy go nie widział w tym małym, ciemnym miejscu, które przypominało jego dziecięcy pokój i nie mieściło więcej niż pół tuzina mężczyzn, w większości dobrze mu znanych. Tutaj właśnie spotykali się ci, którzy mieli upodobanie do maku i choć nie starali się zacieśniać więzów towarzyskich, przywykł już do nich. Nie wierzył, że któryś z nich mógłby być tajemniczym mistrzem Niebiańskich Zastępów.

- Odejdź - powiedział niewyraźnie do mężczyzny. - Ty tu nie pasujesz.

Tego nie mógł być pewien. Nikt nie wiedział, kto obecnie stał na czele Niebiańskich Zastępów. Nowe zasady były na tyle jasne, że nawet w obecnym stanie dobrze je pamiętał. Przywództwo Niebiańskich Zastępów podlegało rotacji i nikt nigdy nie wiedział, kto jest w danej chwili Mistrzem. W ten sposób przywódcy nie mogły osiągnąć reperkusje.

- Twój brat sprawia problemy, Rohan - wyszeptał mistrz spod kaptura. - Gdy do nas przystąpiłeś, mówiliśmy ci, że nie możemy sobie pozwolić na interwencję ze strony członków rodziny.

- Nie moja wina - zdołał zaprotestować Brandon. Przeklęty Benedick. Pomyślał, że jeżeli wyrzucą go z Niebiańskich Zastępów, zabije brata. - Nie mogę... go kontrolować.

- Musisz. Inaczej my przejmemy nad nim kontrolę.

Powieki Brandona opadły. Raziło go nawet przyćmione światło palarni opium i nie chciał, by ktoś mu teraz przeszkadzał. Tylko tak mógł zagłuszyć głosy, dźwięki i zapachy wojny, krwi i śmierci. Inaczej ciągle miał przed oczami widok porzrywanych ciał i ryczących z bólu ludzi.

- No i dobra - powiedział ponuro.

Sylwetka w kapturze wyprostowała się.

W półmroku panującym w pomieszczeniu Brandon nie rozpoznałby mężczyzny, nawet gdyby nie miał on na głowie kaptura,

- Niech i tak będzie - wyszeptał gość, wyraźnie sepleniąc.

Następnie zniknął, jakby należał do świata z opiumowego snu. Brandon raz jeszcze zamknął oczy i odpłynął w niebyt.

Melisanda zasnęła. Nie mogła w to uwierzyć. W jednej chwili leżała na łożu, z uniesioną kostką, i paskudnym wicehrabią Rohan tuż obok, a w następnej spała i śniła. Obudziło ją dopiero przybycie medyka, a wtedy jej prześladowca stał już po drugiej stronie pokoju. Oparty plecami o kominek, patrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

- A teraz dżentelmen raczy nas opuścić - zażądał doktor Smithfield.

Melisanda zapragnęła go ucałować. Wiedziała, że teraz Benedick nie mógł zaprotestować. Niestety, bardzo się przeliczyła.

- Raczej nie - oznajmił Benedick. - Już przebadałem kostkę damy i nie zobaczyłem nic, co mogłoby mnie zaszokować. Proszę przystąpić do swoich czynności.

- Muszę jednak nalegać... - Doktor umilkł, gdy Benedick wyprostował się na całą swoją imponującą wysokość.

- A ja nalegam, żeby pan nie nalegał. Jestem odpowiedzialny za tę damę i nie zostawię jej w rękach jakiegoś łapiducha, którego nigdy dotąd nie widziałem.

- Czyżby wasza lordowska mość podważał moje kwalifikacje? - Doktor Smithfield był poczciwym człowiekiem i opiekował się stadkiem za darmo, miał jednak swoją dumę.

- Niczego nie podważam. Proszę przestać wyklócać się ze mną i zająć lady Carstairs.

Smithfield otworzył usta, by się sprzeciwić, jednak Melisanda postanowiła interweniować.

- Proszę nie zwracać na niego uwagi, panie doktorze - powiedziała przyjaźnie. - Lubi sprawiać trudności. Sądzi pan, że moja kostka jest złamana?

Mamrocząc coś pod nosem, doktor Smithfield odwrócił się do Melisandy. Potem nastąpiło kilka wyjątkowo nieprzyjemnych minut, zanim cofnął się o krok.

- Wierzę, lady Carstairs, że jedynie zwichnęła pani kostkę - oświadczył. - Zabandażuję nadwerżoną kończynę i przepiszę pani laudanum. Jeśli będzie ją pani oszczędzała przez najbliższe dwa tygodnie, nie powinno być żadnych reperkusji.

Spiorunował wzrokiem lorda Rohana, który popatrzył na niego pogodnie.

- Dopilnuję tego - oznajmił Benedick. - Proszę wysłać mi rachunek, rzecz jasna.

- Niechże pan nie mówi bzdur. Sama odpowiadam za własne rachunki - warknęła Melisanda, ale Rohan ją zignorował i wyprowadził doktora Smithfielda za drzwi.

Gdy wrócił, Melisanda przygwoździła go spojrzeniem.

- No dobrze, może pan już iść. Doktor mnie widział, postawił diagnozę i zalecił leczenie. Teraz proszę odejść.

Benedick jednak wcale się nie śpieszył.

- A więc nie zamierzasz chodzić przez najbliższe dwa tygodnie?

- A jak pan myśli? - zapytała z ironią. - Pełnia jest już za pięć dni. Mogę zostać w łóżku, leniuchować i pozwolić, by niewinna kobieta była torturowana, a być może zabita, albo mogę zacisnąć zęby i się z tym zmierzyć.

- Jak rozumiem, chcesz wyskoczyć z łóżka i narazić się na kalectwo? Raczej nie. Nasza współpraca dobiegła końca. Musisz mi zaufać. Ja się rozprawię z Niebiańskimi Zastępami.

- Nie zaufam - burknęła. - Ani na moment.

- Tym razem nie masz wyboru.

- Wobec tego będę prowadziła dochodzenie na własną rękę. - Wyskoczyłyby z łóżka natychmiast, żeby udowodnić sobie i jemu, że może to zrobić, jednak doktor Smithfield zdążył ją uraczyć sporą dawką toniku leczniczego i trudno jej było nawet podnieść głowę z poduszki.

Benedick bez ostrzeżenia podszedł do niej, usiadł na jej łóżku i oparł się o nie rękami po obu jej bokach.

- Nie zrobisz tego - powiedział rozzłoszczonym głosem. - Nie zrobisz nic, co mogłoby narazić cię na niebezpieczeństwo, rozumiesz?

Patrzyła na niego z niechęcią. Zamarł na chwilę, a potem zacisnął dłonie na jej ramionach, jednym szarpnięciem przysunął ją do siebie i pocałował w usta.

Wielkie nieba, pomyślała, gdy przetaczała się przez nią fala emocji. Ile to już razy ją całował? Na pewno więcej niż ktokolwiek inny. Teraz już dobrze знаła jego usta, ich dotyk i smak, bez trudu poznałaby zdrowe, równe zęby i lekko dymną woń.

Zapadł już zmrok, a jedyne świece paliły się przy łożu, aby medyk mógł staranniej przeprowadzić badanie. Melisanda zamknęła oczy, uniosła ręce i objęła Benedicka za szyję, aby go przyciągnąć do siebie i poczuć jego gorące, twarde ciało. Przesunął się i uświadomiła sobie, że położył się na łożu, na niej, a jej nawet nie przeszło przez myśl, żeby zaprotestować. Przecież dziś widziała go po raz ostatni. Nie zamierzał jej dłużej pomagać, więc będzie musiała radzić sobie sama. Benedick z pewnością nie zechce już zbliżyć się do niej, a zatem miała pełne prawo wziąć teraz to, co jej ofiarowywał. Pragnęła go całą sobą.

Doktor otulił ją kołdrą, którą teraz odrzuciła, aby całym ciałem dotykać Benedicka. Na krótką chwilę otworzyła oczy, by ujrzeć jego oblicze i sprawdzić, czy dostrzeże na nim czułość, ale on wyciągnął rękę i palcami zgasił świecę przy łożu. Znikło światło, a wraz z nim zahamowania. Nikt nic nie widział, więc przestały obowiązywać zasady. Benedick przetoczył się na bok, pociągając ją za sobą, na co ona rozpięła jego luźną białą koszulę i wsunęła pod nią dłoń. Miał gorącą skórę. Melisanda pragnęła jednak więcej, więc niecierpliwie szarpnęła miękki materiał, na co Benedick wyciągnął poły ze spodni. Wtedy mogła wsunąć obie dłonie pod ubranie, delektując się jedwabistą fakturą jego skóry.

Poruszyła się i przycisnęła wargi do szyi Benedicka. Smakował słono i słodko, a Melisanda na wpół świadomie zaczęła się zastanawiać, dlaczego nigdy nie czuła się tak dobrze przy kimś rozsądnym i rozważnym? Przy kimś, kogo mogła mieć? Przy Thomasie brakowało jej komfortu, przy Wilfredzie wszystko szło nie tak.

Tymczasem Benedick Rohan spełniał jej oczekiwania, rozbudzał każdy centymetr ciała i sprawiał, że pragnęła leżeć pod jego cudownym ciężarem przyjmować i odwzajemniać pieśczoły.

Z trudem zorientowała się, że znieruchomiał i położył duże dłonie na jej rękach, przytrzymując je łagodnie, lecz stanowczo. Zamruczała cicho na znak protestu, ale on odsunął się od niej i puścił ją. Zamarła ze zdumienia.

- Mogę być sukinsynem - powiedział cicho - ale nie będę wykorzystywał kobiety odurzonej narkotykami. Oboje wiemy, że to fatalny pomysł, więc dobrze, że jesteśmy zmuszeni zakończyć nasze relacje.

Jego słowa nie miały sensu, ale złożyła to na karb laudanum. Niech diabli wezmą doktora Smithfielda i jego głupie mikstury! - pomyślała. Dałaby sobie radę z bólem i mogłaby wyperswadować Benedickowi jego absurdalne pomysły. Chciała, by jej dotykał tak jak w tunelu, ale on już zniknął. Usłyszała trzask drzwi, które za sobą zamknął, i zapragnęła zapłakać, jednak laudanum zadurzyło ją do reszty. Mogła tylko spać.

Benedick Rohan był w fatalnym nastroju. Nie miał najmniejszej ochoty patrzeć w pełne dezaprobaty oczy Violet Highstreet ani rozmawiać z Emmą Cadbury, która najwyraźniej miała mu sporo do zarzucenia.

- Wasza lordowska mość, musimy porozmawiać - powiedziała z eleganckim akcentem, który najwyraźniej był dla niej naturalny.

- Pani mu powie do słuchu, pani C.!

- To nie jest twoja sprawa, Violet. - Emma karcąco popatrzyła na podopieczną. - Dołącz do innych dziewcząt.

- Pani tylko nie pozwoli mu owinąć się wokół palca - mruknęła Violet, a on popatrzył na nią ze zdumieniem.

Ostatnio, gdy ją widział, koniecznie chciała go obsłużyć. Teraz najwyraźniej stał się persona non grata.

- Co się z tobą dzieje, na litość boską? - spytał, po czym zdumiał się swoimi słowami.

Opinie ladacznic nigdy się nie liczyły. Inna sprawa, że stadko Samarytanki nie składało się już z nierządnic. To były kobiety i dziewczęta, istoty ludzkie, a nie pozbawione twarzy ciała, służące jedynie dostarczaniu przyjemności.

Niech diabli wezmą tę kobietę, pomyślał.

- To, że mi się pan podoba, nie znaczy, że pozwolę krzywdzić naszą panią - oświadczyła Violet wojowniczym tonem, co spotkało się z pomrukami aprobaty innych kobiet na schodach.

- Wystarczy, dziewczęta - oznajmiła pani Cadbury tonem dyrektorki pensji.

Teraz bardziej przypominała respektowaną damę niż właścicielkę domu rozpusty. Mimo brzydkiego stroju nadal była niezwykle piękna i pomyślał, że świat wiele stracił, jeśli postanowiła żyć w celibacie. Przy innej okazji mógłby ją skłonić do zmiany zdania albo dać Violet znak, by przyszła do niego później. Wolał, by kobiety, nawet te, którym płacił za usługi, dobrze bawiły się w sypialni, a Violet miała do tego naturalne predyspozycje.

W przeciwieństwie do łypiącej na niego groźnie pani Cadbury.

- Obawiam się, że nie mam dla pani czasu - powiedział, ledwie maskując zniecierpliwienie.

- Jeśli nie porozmawia pan ze mną, będę zmuszona pana odwiedzić - odparła. - I będę pana odwiedzała w domu na Bury Street, dopóki nic wyrazi pan zgody na spotkanie. Chyba lepiej, żeby miał pan to już z głowy.

Popatrzył na nią ze szczerą niechęcią. Rok temu, nawet sześć miesięcy czy sześć dni temu, sporo by dał, aby mieć tę kobietę w swoim łóżu. Teraz nie dotknąłby jej, nawet gdyby mu za to zapłacili. Spojrzał w oczy, które się w niego wpatrywały, i uświadomił sobie, że nie chce żadnej z tych kobiet. Nie chce również ich umalowanych siostrzyc, które wciąż pracowały w tak dobrze mu znanych, eleganckich przybytkach.

Pragnął tylko jednej kobiety i czym prędzej musiał oddalić się od niej. Nie wolno mu było dla zabawy uwodzić kogoś jej pokroju, mimo że wdowy uważano za łakomy kęs. Melisanda bardziej przypominała dziewicę niż kobietę, która rozumiała potrzeby swojego ciała, i mógłby wyniknąć z tego poważny problem. Dlatego właśnie postanowił położyć temu kres.

W zasadzie mógł się uważać za całkiem szlachetnego człowieka. Dał jej akurat tyle przyjemności, by mogła zrozumieć, jaka więź potrafi połączyć mężczyznę i kobietę. Pomyślał, że Melisanda znajdzie sobie kogoś odpowiedniego i go poślubi, a potem będzie wiodła bogate, spełnione życie.

Tak, wspaniały z ciebie mężczyzna, pomyślał z ironią. Zawsze stawiasz dobro kobiet ponad wszystko.

Pani Cadbury wskazała otwarte drzwi, które prowadziły do salonu.

- Pięć minut - powiedział szorstko. - Pani pierwsza.

- Co takiego? - Zamrugła ze zdumieniem.

- Powiedziałem: „Pani pierwsza”. Proszę się nie martwić, nie rzucę się do wyjścia w momencie, gdy odwróci się pani do mnie plecami.

Emma patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

- Po prostu nie przywykłam, by dżentelmen przepuszczał mnie w drzwiach... - wyjaśniła. - Zwykle każą nam wchodzić za sobą.

- Zawsze mi się wydawało, że jestem dobrze wychowany - mruknął.

- Jednak dobre wychowanie nie obowiązuje w stosunku do kurew - powiedziała ze smutkiem.

Benedick był zmęczony, sfrustrowany i zły. Poczul, że ma ochotę ją udusić.

- Niech pani uzna to za jedno z moich dziwactw. - Wzruszył ramionami. - Uważam, że wszystkich powinno się traktować tak samo.

- To znaczy tak samo obrzydliwie? - burknęła pani Cadbury.

- Nie, droga pani. Tak traktuję tylko przyjaciół - odparł lodowato.

- Jesteśmy przyjaciółmi? To dla mnie nowość. - Po tych słowach weszła do salonu.

Przez chwilę zastanawiał się, czy rzeczywiście nie uciec, ale machnął ręką i ruszył za nią.

Pani Cadbury usiadła za potężnym, mahoniowym biurkiem. Teraz jeszcze bardziej przypominała surową dyrektorkę.

- Niech wasza lordowska mość raczy usiąść - oznajmiła swoim poważnym głosem z wyższych sfer.

Usiadł na najbliższym fotelu i założył nogę na nogę.

- Co mogę dla pani zrobić? - zapytał.

- Może pan przestać uwodzić lady Carstairs.



## Rozdział dziewiętnasty

Szósty wicehrabia Rohan, syn markiza Haverstoke, potomek starego i zepsutego do szpiku kości rodu Rohanów, nie miał ochoty wysłuchiwać poleceń byłej właścicielki domu rozpusty. Rozparty w fotelu, popatrzył na nią z góry.

- Proszę mi wyjaśnić, dlaczego niby miałbym dyskutować z panią o moim prywatnym życiu, pani Cadbury - wycedził.

- Nie interesuje mnie pańskie prywatne życie, wasza lordowska mość. Za to interesuje mnie życie Melisandy. Nie życzy jej pan dobrze. Byle głupiec może to zauważyć. Nie chcę, żeby miała złamane serce.

Tym razem nawet nie starał się skryć rozbawienia.

- Akurat sercem lady Carstairs nie jestem szczególnie zainteresowany - zauważył.

Emma Cadbury rzuciła mu gniewne, potępiające spojrzenie. Pomyślał, że naprawdę jest niezwykle piękna. Nie była w jego typie, ale jego typ bardzo się ostatnio zawęził.

- Czy wasza lordowska mość myśli, że tego nie wiem? - wybuchnęła. - To oczywiście, że nie chodzi panu o jej serce. Pracowałam wiele lat i wiem, co interesuje mężczyzn. Intryguje pana niewinność Melisandy i jak większość dżentelmenów traktuje ją pan jak wyzwanie. Nie podoba się panu, że postanowiła unikać samolubnych chuci pańskiej płci i na pewno wmówił pan sobie, że oddaje jej przysługę, zapoznając z tak zwanymi rozkoszami ciała.

Nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć, Benedick tylko uniósł brew.

- Tak zwanymi? - powtórzył. - Czy mam rozumieć, że podczas swojej krótkiej, ale imponującej kariery nigdy nie doświadczyła pani żadnych rozkoszy?

Jeśli liczył na to, że zbije ją z tropu, srodze się zawiódł.

- To w ogóle nie jest sprawa waszej lordowskiej mości. Nie rozmawiamy o mnie, lecz o damie, która odmieniła moje życie.

- Skoro rozmawiamy o moim życiu, to równie dobrze możemy naruszyć pani prywatność - zauważył. - Inna sprawa, że tak naprawdę nie interesuje mnie pani przeszłość. Bo jak rozumiem, to przeszłość? Chyba że udało się pani przekonać lady Carstairs do

uciech miłości lesbijskiej, a ja błędnie zrozumiałem sens istnienia tego domu. Proszę mnie oświecić.

- Jest pan odrażający.

- Bynajmniej. Nie mam opinii na temat takich związków, chyba że wchodzi w nie kobiety które mnie interesują. A więc?

Pani Cadbury dumnie uniosła głowę.

- Pańskie chorobliwie erotyczne zainteresowania nie przysparzają panu chwały, niemniej zaspokoję pańską ciekawość. Tego typu miłość nie jest nieznaną niektórym dziewczętom z grona podopiecznych lady Carstairs. Część była wyjątkowo źle traktowana przez mężczyzn, część po prostu ma taką skłonność, ale dla nas to bez znaczenia. Lecz, odpowiadając na pańskie pytanie, nie, moja troska o lady Carstairs jest troską wdzięcznej, kochającej przyjaciółki. Gdybym miała skłonności do pań, nie martwiłabym się o skutki pańskiego wpływu na Melisandę.

- Ta rozmowa mnie nuży, pani Cadbury. - Był naprawdę zmęczony i nawet nie chciało mu się ukryć niegrzecznego ziewnięcia. - Proszę wreszcie powiedzieć, czego pani sobie życzy, i pozwolić mi odejść.

- Chcę, by zostawił pan Melisandę w spokoju. Potrzebny jej jest dobry człowiek, dobry i łagodny, a nie ktoś o pańskiej reputacji. Niektóre kobiety świetnie sobie radzą z hulakami o lodowatym sercu, lecz Melisanda do nich nie należy. Nie zmieni pan tego, nawet jeśli postanowi pan ożenić się z nią, choć jestem pewna, że nosi się pan z innymi zamiarami. Pragnie pan ją pojąć, a następnie porzucić dla innej rozrywki, czyż nie, wasza lordowska mość?

Benedick poczuł się niepewnie, ale patrzył na nią z obojętnością w oczach.

- Proszę mówić dalej.

- Z całego serca liczę na to, że Melisanda zdoła znaleźć miłego dżentelmena, który ją poślubi, zrozumie jej pracę i pomoże. Kogoś, kto będzie ją traktował z szacunkiem i wielbił - ciągnęła Emma. - Wątpię, by w całym swoim życiu wielbił pan kogokolwiek.

Benedick pomyślał o swojej ukochanej Annis, która zmarła podczas porodu i zabrała ze sobą ich syna.

- Robiłem, co mogłem, by nikogo nie wielbić - odpowiedział leniwie.

- Proszę więc zostawić lady Carstairs w spokoju.

Nie mógł tego dłużej znieść. Podniósł się z fotela, po części oczekując, że pani Cadbury uderzy linijką w blat i każe mu siadać z powrotem. Popatrzył na nią, raz jeszcze podziwiając jej urodę.

- Proszę się uspokoić, pani Cadbury - powiedział. - Ta niezręczna rozmowa była całkowicie zbędna. Z lady Carstairs łączyło mnie jedynie pragnienie odkrycia, co knują Niebiańskie Zastępy. Sprawę zbadam sam. Rzecz oczywista, chętnie powiadomię ją o swoim sukcesie bądź porażce, choć wydaje mi się, że zadowoli się listem.

Zastanawiał się, czy mu się tylko wydaje, czy też naprawdę widzi rozczarowanie na pięknej twarzy pani Cadbury. Niemożliwe, przecież zgodził się przystać na żądania, tym bardziej że jej podejrzenia były słuszne. Melisanda stanowiła uroczą pokusę, ale musiał jej unikać. Wiedział, że nie jest żadną przygód wdówką, która chce się pozbyć nagromadzonych frustracji, mimo że miała jeden romans. Była kobietą, z którą należało się ożenić i ani trochę nie przypominała kogoś, z kim chciałby spędzić resztę życia. Nie pozwoliłaby się ignorować, pozostawić na wsi, podczas gdy on mógłby oddawać się miejskim rozrywkom. Szukał nudnej i spokojnej żony, która da mu potomka, czyli całkowitego przeciwieństwa lady Carstairs.

Pani Cadbury nadal obserwowała go z powątpiewaniem w oczach. Nic dziwnego, że mu nie wierzyła, on sam z trudem sobie dowierzał. Miał jednak swój honor, choćby i zwyrodniał, i nie chciał zmieniać czyjegoś życia w koszmar tylko dlatego, by zaspokoić swoje pragnienie.

Zwichnięta kostka okazała się błogosławieństwem. Niewiele brakowało, by dziś zbliżył się jeszcze bardziej do Melisandy, a im dłużej przebywał w jej towarzystwie, tym większą miał na to ochotę.

Nagle doszedł do wniosku, że dłużej nie zniesie tej połajanki.

- Do widzenia, pani Cadbury - powiedział chłodno. - Proszę się zająć przyjaciółką.

Wyszedł, klnąc pod nosem, i dopiero na ulicy uświadomił sobie, jak niemądrze postąpił. Zapomniał odebrać konia, więc miał teraz dwa wyjścia. Albo powlec się z powrotem do domu, albo iść samodzielnie do stajni.

Postanowił później posłać służącego po Bucefała. Teraz desperacko pragnął oczyścić umysł i doszedł do wniosku, że chłodne, wiosenne powietrze mu w tym pomoże.

Nie lubił zagadek, podobnie jak emocji, słabości i niezaspokojonego pożądania. Nadal nie wiedział, dlaczego tak reagował na Melisandę. Przecież nawet nie była z niej wielka piękność. Źle się ubierała, zwykle miała ściągnięte z twarzy włosy i na dodatek patrzyła prosto w oczy, zamiast opuszczać wzrok i rzucać wstydlive lub prowokacyjne spojrzenia z ukosa. Mógł z miejsca wymienić co najmniej tuzin kobiet piękniejszych od niej o mniej denerwującym usposobieniu. Nie przypominała mu również żadnej z kobiet w jego życiu. Genevieve, jego biedna, szalona ukochana była niezwykłą pięknością o czarnych włosach i błyszczących oczach. Był nią oczarowany, dopóki nie wyszło na jaw jej szaleństwo. Rzadko o niej myślał, gdyż to wspomnienie uważał za niesłychanie bolesne.

Annis z kolei była słodka, ale uparta i bardzo oddana. Barbara, o apetytach marynarza i wdzięku niedźwiedzicy w rui, stanowiła jej przeciwieństwo. To, co uważał za namiętność do siebie, okazało się namiętnością do każdego, kto wylądował między jej nogami.

Pani Cadbury miała rację. Z kimś takim jak Melisanda należało się ożenić, a małżeństwo z nią okazałoby się kolejną katastrofą. Dwa na trzy razy źle wybrał i nie miał ochoty popełnić następnego błędu. Musiał położyć kres tej znajomości jak najszybciej.

Postanowił, że będzie informował Melisandę o postępach, a gdy już sprawa Niebiańskich Zastępów zostanie załatwiona, pozwoli sobie na jedną krótką wizytę, naturalnie, z uroczą panią Cadbury w roli przyzwoitki. Wtedy wreszcie będzie mógł się skoncentrować na znalezieniu porządnej żony.

Zastanawiał się, czy panna Pennington wie o poczynaniach brata. Przynależność do Niebiańskich Zastępów była kosztowna, a fortuna Penningtonów już dawno temu się wyczerpała. Zapewne dlatego panna Pennington rozważała wyjście za członka niepoprawnego rodu Rohanów.

Szedł szybko, a zimne powietrze działało na niego niczym balsam. Podświadomie miał nadzieję, że napadną go rabusie. Przyzwoita bójka pomogłaby mu dać upust frustracji. Często bijał się z bratem Charlesem, jednak Brandona zwykle zajadle bronił. To jed-

nak się zmieniło. Teraz Brandon miał trzydzieści lat i był żołnierzem. Mógł go pobić, żeby wydobyć z niego prawdę, ale taka walka nie byłaby sprawiedliwa. Brandon nadal nie wydobrzył po odniesionych ranach i konfrontacja z nim nie doprowadziłaby do niczego.

W przeciwieństwie do Samarytanki Carstairs Benedick nie żywił złudzeń i wiedział, że nie zdoła ocalić wszystkich potrzebujących. Mógł jednak uratować Brandona, ba, musiał. Rodzice na nim polegali i nakazywało mu to poczucie obowiązku.

Wszedł do domu i wręczył kapelusz oraz rękawiczki Richmondowi, po czym zarządził gorącą kąpiel. Dzień był długi i męczący, więc postanowił, że z Brandonem rozprawi się jutro. A jeśli zajdzie taka konieczność, nakaże skępować i przetrzyma jako więźnia, dopóki nie minie pełnia. To jednak nie rozwiązałoby problemu Melisandy.

- Czy wasza lordowska mość zje kolację? - spytał uprzejmie Richmond.

Benedick uświadomił sobie, że nic nie jadł od pikniku. Kolacja mogła poprawić mu nastrój, ale teraz miał ochotę na coś zupełnie innego.

- Nie chcę jeść, Richmond. Wystarczy butelka brandy - oznajmił i poszedł do siebie, gotów upić się do nieprzytomności.

Emma Cadbury siedziała na swoim fotelu, z niepokojem marszcząc brwi. Miała nadzieję, że się myli. Benedick Rohan bywał gościem przybytku, który niegdyś prowadziła, a dziewczęta zawsze go chwaliły. Teraz widziała, że Melisanda jest nim zauroczona i wbrew rozsądkowi liczy na jego wzajemność w uczuciach.

Powinna była wiedzieć lepiej. Kobiety zakochiwały się w hulakach, a Melisanda, choć udawała, że damskie słabości jej nie dotyczą, była równie bezbronna jak młode, niewinne dziewczę. Wystarczyło, że popatrzyła na wyniosłe oblicze Benedicka Rohana i przepadła. Dała się porwać jego cynicznemu wdziękowi.

Trudno było się jej dziwić. Żadna kobieta nigdy nie oparła się Rohanowi. Gdyby Benedick dał Melisandzie jakikolwiek znak, że darzy ją uczuciem, Emma zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, by wesprzeć ten związek.

Westchnęła głęboko. Tak jakby mężczyzna pokroju Rohana był w ogóle zdolny do wyższych uczuć! Nie, Melisanda potrzebowała kogoś, kto się nią zajmie, będzie po-

wstrzymywał przed pakowaniem się w tarapaty i uchroni przed własnym dobrym sercem. Benedick Rohan nie był tym kimś, nawet jeśli Melisanda rozpaczliwie tego pragnęła.

Oczywiście, nie przyznałaby się do tego, nawet sama przed sobą. Emma jednak była spostrzegawcza i potrafiła odczytać pragnienia przyjaciółki. Nie zamierzała stać jak słup i patrzeć, jak serce Melisandy zostaje złamane.

Wicehrabia Rohan nie był tak łatwy do przejrzania. Wypierał się zainteresowania Melisandą, ale zważywszy na ilość czasu, który ostatnio z nią spędzał, Emma nie wierzyła mu.

Przynajmniej próbowała go zniechęcić. Jeśli myślał o uwiedzeniu Melisandy, teraz wytknęła mu popełnione błędy. Dla Emmy było jasne, że jej przyjaciółka pogrąży się w rozpacz i będzie jej brakowało podniet oraz niebezpieczeństw związanych z towarzystwem Rohana, ale w końcu wybierze właściwego mężczyznę. Takiego, który naprawdę ją pokocha.

A wicehrabia Rohan niech idzie do czarta, wraz z sobie podobnymi!

## Rozdział dwudziesty

Tej nocy lady Melisanda Carstairs miała erotyczne sny. Po raz pierwszy w życiu ocknęła się wśród spazmów rozkoszy i przerażona usiadła raptownie na łożu. Spomiędzy zaciągniętych zasłon przenikało blade światło wczesnego poranka.

Świtało.

Na nocnym stoliku zamajaczyła jej butelka laudanum, a także do połowy pusta szklanka wody.

Melisanda pomyślała, że nigdy więcej nie weźmie tego narkotyku do ust, a gdy tylko preparat przestanie działać, wstanie, aby zająć się wszystkim.

Był wtorek, dzień balu u księcia i księżny Worthinghamów, a dzięki obecności na raucie u Elsmere'ów Melisanda otrzymała zaproszenie. Doszła do wniosku, że jeśli Rohan nie zechce jej towarzyszyć, pójdzie sama.

Naturalnie istniał jakiś powód, dla którego damy bez osoby towarzyszącej nie powinny przychodzić na przyjęcia, jednak zupełnie nie pamiętała jaki. Mogła wybrać się tam z panną Mackenzie, podstarzałą guwernantką i nauczycielką czytania, ale nie aprobowała ona wicehrabiego Rohan, więc zapewne by odmówiła. Z tego względu Melisanda miała do wyboru Emmę lub Violet, których przybycie niewątpliwie wprowadziłoby towarzystwo w stan pełnej niedowierzania zgrozy. Perspektywa była kusząca, ale Melisanda nie mogła pozwolić sobie na przekreślenie planów rozprawienia się z Niebiańskimi Zastępami. Zbliżała się pełnia księżyca.

Po dziesiątej, kulejąc, zeszła po schodach, w towarzystwie połowy stadka.

- Nic mi nie jest - powtarzała raz po raz. Tak naprawdę kostka okrutnie ją bolała, ale Melisanda była w stanie normalnie chodzić. Nie zamierzała dopuścić do tego, by ta drobna niedogodność stanęła jej na drodze. - Przestańcie nade mną skakać!

U podnóża schodów pojawiła się Emma.

- Nie powinnaś... - zaczęła surowo, ale Melisanda nie dała jej dojść do głosu.

- Nie ma się czym martwić - oznajmiła. - Odpocznę, gdy będzie po wszystkim.

Kostka nie jest złamana, a ja zniosę odrobinę bólu.

- Jesteś niezwykle upartym stworzeniem - powiedziała Emma spokojnie. - Dlaczego nie chcesz słuchać głosu zdrowego rozsądku?

- Bo nie uważam tego za zdrowy rozsądek. Czy koń lorda Rohana nadal tutaj jest?

- Nie. - Emma pokręciła głową. - Jego lordowska mość nocą przysłał kogoś po wierzchowca. Hm, twojego konia też wziął. Podobno nie powinnaś go dosiadać przez następne kilka tygodni, i jest mu potrzebny.

Melisanda wpatrywała się w nią z niedowierzaniem i złością.

- Pozwoliłaś mu na to? - wycedziła.

Emma uśmiechnęła się niewesoło.

- Naprawdę uważasz, że zdołałabym powstrzymać arystokratę przed zrobieniem tego, co sobie postanowił? A może oczekiwałaś, że rzucę się pod końskie kopyta?

- Kradzież konia jest karana śmiercią - mruknęła Melisanda ponuro.

- Kradzież łyżeczki też bywa karana śmiercią. - Emma wzruszyła ramionami. - Myślę, że próba oskarżenia to strata czasu. Chyba nie zamierzasz wychodzić z domu? Doktor nakazał ci odpoczynek w łóżku.

- Doktor to stara maruda.

- Czy mam posadzić na tobie jedną z dziewczyn, żeby powstrzymała cię od biegania?

- To nic nie da. Naprawdę, Emmo, czuję się doskonale! - upierała się Melisanda. - Lekki ból w kostce, i tyle. Na pewno to zniosę. Muszę spotkać się z wicehrabią Rohan, trzeba omówić pewne sprawy.

- Doskonale wiesz, że młode kobiety nie mogą składać wizyt w domach dżentelmenów - zauważyła Emma. - Jeśli pragniesz zobaczyć się z nim, wyślij mu zaproszenie. Ile razy mam ci o tym przypominać? Ile razy mnie zignorowałaś?

- Ty zaś doskonale wiesz, że nie możemy pozwolić sobie na czekanie - odparła Melisanda. - A jeśli Rohan odpowie dopiero za kilka dni? Nie, jeżeli mam zwrócić na siebie uwagę wicehrabiego, muszę dopaść go w jego kryjówce i zmusić, by mnie wysłuchał. Potrzebny mi powóz.

Emma była jednak równie uparta jak jej przyjaciółka.

- Co zrobisz, jeśli odmówię? - zapytała.



- Poproszę kogoś innego. Nie utrudniaj, Emmo. Gdybyś to przemyślała, doszłabyś do wniosku, że mam rację. Jeśli leży ci na sercu moja reputacja, możesz mi towarzyszyć, ale ostatnio przejechałam przez Londyn w siodle Rohana, niemalże na jego kolanach, więc moja reputacja legła w gruzach - oznajmiła Melisanda radośnie. - No i dobrze, reputacja jest męcząca. Wolę obywać się bez niej.

- Jeśli uważasz, że moja obecność w jakikolwiek sposób ci pomoże, to z twoim rozumem również jest nietęgo - westchnęła Emma. - Towarzystwo właścicielki domu publicznego z pewnością nie przysporzy ci szacunku u innych.

- Mieszkam z właścicielką domu publicznego i z dwudziestoma byłymi prostytutkami. Chyba nie mam już co liczyć, że ktoś mnie uzna za osobę przyzwoitą. Daj spokój, Emmo, to strata czasu! Wiesz doskonale, że brak mi wrażliwości. Wolę być praktyczna.

Emma zacisnęła usta.

- Jesteś męcząca, wiesz? - oznajmiła krótko.

Melisanda pokuśtykała do kanapy i usiadła z wdziękiem, nie pozwalając sobie na grymas.

- Wiem - przytaknęła. - Tymczasem poinformuj mnie o postępach dziewcząt.

Popołudnie przebiegło w spokoju. Melisanda patrzyła, jak Emma uczy młodsze dziewczęta, wśród których Betsey radziła sobie najlepiej. Miała przy tym filuterny uśmiech na twarzy i wyjątkowo bawiła Melisandę. Dziecko było urocze i myśl o tym, jakie życie by wiodło na ulicy, sprawiała, że Melisanda bladła. Właśnie dziewczynki takie jak Betsey, kobiety jak Rafaella, cała w bliznach i kulawa, czy jak Emma, której dopiero wracała chęć życia, przypominały Melisandzie, że nie wolno jej ustawać w wysiłkach.

Próbowała powtarzać sobie, że lepiej byłoby poczekać choćby dzień przed ponowną konfrontacją z Rohanem, ale nie mogła usiedzieć w miejscu. Była niespokojna, zdenerwowana i niepokojąco pobudzona. Rankiem wzięła gorącą kąpiel w nadziei, że to złagodzi napięcie, ale tylko pogorszyła sprawę.

Oczywiście, całą winę zrzuciła na laudanum. Ludzie powiadali, że ten środek wywołuje dziwne sny. W pewnym momencie myśl o pozostaniu w domu stała się nie do

zniesienia, więc w końcu Melisanda popatrzyła na Emmę Cadbury i postanowiła skłamać.

- Obiecałam Rohanowi, że spotkam się z nim na dzisiejszym balu u Worthinghamów - powiedziała. - Wiem, że wolałabyś, abym została w domu, i rozumiem twoje obiekcje co do mojej wizyty na Bury Street, ale nawet ty musisz się zgodzić, że to nic wyjątkowego. Wezmę ze sobą pannę Mackenzie i do jego przyjścia pozostanę w jej towarzystwie, żeby wszystko było jak należy.

Emma spojrzała na nią podejrzliwie.

- Nie uchodzi, abys była tam sama z Rohanem.

- Naturalnie, że uchodzi. Przecież nie jestem gąską, tylko wdową i obowiązują mnie inne zasady. - Przynajmniej tak się jej wydawało. - Rohan odwiezie mnie do domu. Dobrze wiesz, jaki jest idiotycznie nadopiekuńczy.

Emma lekko zmrużyła oczy.

- Ciekawe dlaczego - powiedziała.

- Ponieważ jest we mnie beznadziejnie zakochany - mruknęła Melisanda z ironią. - Nie może znieść chwili beze mnie i...

- Czyżbyś o tym marzyła?

- Boże, nie! Po prostu sobie żartuję. Ten człowiek chciałby kontrolować każdy mój krok. Czy twoim zdaniem istnieje choćby cień szansy, że mógłby dochować wierności swojej wybrance?

- Nie - oznajmiła Emma stanowczo.

Serce Melisandy zamarło, ale ciągnęła niezrażona:

- Rohan po prostu chce mieć pewność, że nic mi się nie stanie, kiedy będę w jego towarzystwie. Nie podoba mu się, że mógłby zostać obarczony odpowiedzialnością, gdybym zburzyła całą strukturę społeczeństwa, a najwyraźniej uważa mnie za zdolną do takiego wyczynu. - Odgarnęła włosy z twarzy. - Nie przejmuj się, Emmo. Będzie mnie strzegł i bezpiecznie odprowadzi do domu.

- Na pewno właśnie tego chcesz?

- Oczywiście - odparła Melisanda.

- Jakoś ci nie wierzę - mruknęła Emma po chwili. - Moim zdaniem jesteś zainteresowana wicehrabią z powodów, które nie mają nic wspólnego z Niebiańskimi Zastępami. Muszę cię ostrzec, że to może być niezwykle niebezpieczne.

- Niebezpieczne? Dlaczego? Myślisz, że spróbuje mnie zamordować?

- Och, na pewno go kusi - odparła Emma sarkastycznie. - Kobiety uwielbiają takich hulaków. Nie obracasz się w wyższych sferach, więc nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale hulakom niemal nie sposób się oprzeć. Obawiam się, że wkrótce możesz ulec.

Melisanda popatrzyła na nią znad stolika, po czym dała za wygraną.

- Cóż, prawdę mówiąc, myślałam o tym, że być może romans z wicehrabią Rohan nie byłby takim złym pomysłem - oznajmiła ostrożnie.

Emma właśnie nalewała herbatę. Po słowach przyjaciółki hałaśliwie odstawiła imbryczek, rozlewając gorący napar po całej zastawie i tłukąc jedną z delikatnych, porcelanowych filiżanek.

- Piekło i szatani! - wykrzyknęła, po czym w pośpiechu wytarła herbatę i mleko. - Co powiedziałaś?

- Przecież słyszałaś. - Melisanda sięgnęła po jeden z zalanych wrzątkiem biszkopików. - Pomyślałam, że mogłabym mieć romans z Rohanem.

- Czy ty postradałaś zmysły?

- Nie sądziłam, że masz taki ciasny umysł, Emmo. Zawsze się upierałaś, że z mężczyzną można odczuwać prawdziwą przyjemność, a ja myślałam, że już jej nie odkryję. Według naszego stadka Rohan jest niezwykle uzdolniony pod tym względem, nawet jego płatne towarzyski dobrze się bawiły. Wydaje się logicznym wyborem. - W duchu pogratulowała sobie praktycznego tonu.

Emma patrzyła na nią ze zdumieniem.

- Rozumiem... I przyszło ci to do głowy tak nagle? Podczas naszej niedawnej rozmowy wyrzekałaś się mężczyzn na resztę życia.

Melisanda sięgnęła po jeszcze dwa biszkopty, zanim zdążyły całkiem nasiąknąć herbatą.

- To prawda - przyznała. - Uznałam jednak, że to byłby interesujący naukowy eksperyment. Miałam... stosunki z moim starszym mężem i z młodym mężczyzną, którego,

jak wtedy sądziłam, kochałam. Nie sprawiało mi to przyjemności ani w jednym, ani w drugim wypadku. Teraz postanowiłam spróbować z ekspertem i jeśli on nie sprawi, że to docenię, rzeczywiście będzie mi lepiej bez mężczyzn.

- Czy to jedyny powód?

Melisanda pomyślała o ustach Rohana i jego dłoniach pod suknią. Skinęła głową.

- Tak, jedyny - odparła zdecydowanym tonem.

- Jedyny - powtórzyła Emma głucho. - Nie jestem przeciwna twojemu romansowi, a nawet ponownemu zamążpójściu, ale tylko pod warunkiem, że znajdziesz odpowiedniego mężczyznę. Wicehrabia Rohan z pewnością nie jest odpowiednim mężczyzną dla ciebie.

- Ale ja nie zamierzam wyjść za niego za mąż! Myślałam po prostu, że mogłabym go... wychędożyć.

Emma wybałuszyła oczy.

- Dobry Boże, gdzieś ty zasłyszała to słowo? - zapytała z przerażeniem.

- Sama go kiedyś użyłaś. Wydaje mi się całkiem odpowiednie. Mogę powiedzieć: gzić. Albo nawet je...

- Przestań w tej chwili!

Melisanda uśmiechnęła się szeroko.

- Z pewnością nie nazwę tego uprawianiem miłości, gdyż miłość nie ma z tym nic wspólnego - powiedziała.

- I uważasz, że jego lordowska mość się na to zgodzi? - Emma uniosła brwi. - Mam wrażenie, że chce cię trzymać od siebie jak najdalej.

Melisandę po raz pierwszy ogarnęły poważne wątpliwości.

- Myślisz, że by mnie nie chciał? - Niepewnie zerknęła na przyjaciółkę.

Emma patrzyła na nią przez dłuższą chwilę.

- Pragnie cię - wyznała w końcu. - Możesz mi wierzyć. Jestem ekspertką i wiem, kiedy mężczyźni pragną kobiety, a Rohan zdecydowanie ciebie pragnie. Po prostu nie jestem przekonana, czy jest dla ciebie... odpowiedni. Dlaczego nie wybierzesz sobie kogoś bardziej przystępnego? Z pewnością są inni mężczyźni, którzy wydają ci się czarujący.

- Rohan wcale nie wydaje mi się czarujący - odparła Melisanda całkiem szczerze.

- Bo taki nie jest. Jest jednak bardzo kuszący, nawet ja to widzę. A nie ma kogoś mniej niebezpiecznego?

Melisanda zaczęła się nad tym zastanawiać i przypominać sobie mężczyzn z przyjęcia u Elsmere'ów oraz panów widywanych w parku.

- Cóż, co powiesz na Harry'ego Mertona? Jest całkiem ładny, ale ma skłonność do chichotania...

- Nie! - niemalże krzyknęła Emma, a Melisanda popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Dlaczego nie? Wydaje się miły.

- Niewątpliwie jest miły, niemniej trzymaj się od niego z daleka - poradziła jej Emma. - Rohan to jagnię w porównaniu z Harrym Mertonem.

- Chyba nie mówimy o tym samym mężczyźnie - oznajmiła Melisanda z powątpiewaniem. - Pan Merton jest ujmujący i dość... hm, niemądry. Z pewnością nie skrzywdziłby nawet muchy.

- Mogę się mylić, ale zrób mi tę przyjemność. - Uśmiech Emmy wydawał się wymuszony. - Jeśli już musisz mieć romans z jednym z tych dżentelmenów, to zdecyduj się na wicehrabiego Rohan. Tylko pamiętaj, żeby przypadkiem się nie zakochać.

Melisanda parsknęła śmiechem.

- To byłby idiotyzm.

- W rzeczy samej. Kobiety, niestety, wykazują niefortunną skłonność do myślenia, że muszą być zakochane, aby czerpać radość ze współżycia. Nie chcę, abyś wpadła w tę samą pułapkę. On cię nie kocha i nie jest zdolny do troski o ciebie ani o żadną inną kobietę. Nie chcę, żeby złamał ci serce.

- Też coś! - obruszyła się Melisanda. - Mam bardzo odporne serce. Jeśli mi się nie spodoba, odejdę. Poza tym, raczej nie spodziewam się niesłychanych uciech, więc będzie po wszystkim, nim zdoła mnie odprawić. Bo tak właśnie postępują mężczyźni ze swoimi kochankami, prawda? Odprawiają je?

- Zawsze ty możesz zrobić to pierwsza.

- Tak właśnie postąpię. Wykorzystam go i porzucę - zapowiedziała wyniośle. - Poczynając od dzisiaj. - Podniosła się z krzesła, próbując powstrzymać grymas cierpienia,

gdy ból przeszył jej kostkę. - Chyba będę musiała znaleźć jakąś suknię. Wątpię, by nasza trzódka...

Jak na komendę, dziewczęta wkroczyły do pokoju. Rafaella miała przewieszoną przez ramię elegancką suknię, a reszta niosła zatrząsienie ozdób do włosów oraz kosmetyków.

- Rozumiem, że wszystkie podsłuchiwałyście - powiedziała Emma niespecjalnie gniewnym tonem.

- Oczywiście, że tak - pisnęła Violet.

Sukey rzuciła jej mordercze spojrzenie.

- Postanowiłyśmy się z panią rozmówić, lady Carstairs - powiedziała.

Dziewczęta energicznie pokiwały głowami. Melisanda miała ochotę głośno westchnąć, ale udało się jej powstrzymać.

- Jak rozumiem, chcecie mi powiedzieć, że wicehrabia Rohan to nic dobrego - domyśliła się.

- Pewno, że nic dobrego. - Violet uśmiechnęła się szeroko. - Dlatego jest taki interesujący.

- Violet. - Tym razem w głosie Emmy pobrzmiwał ostrzegawczy ton.

- Pani zostawi to nam, pani Cadbury - powiedziała Sukey. - Pani już się nagadała, pora na nas. Jeśli jaśnie pani postanowiła spać z lordem Rohanem, trzeba pani wysłuchać rady.

- Wątpię, by to było konieczne - oznajmiła Melisanda pośpiesznie.

- I bardzo się pani myli - odparła dziewczyna. - Będzie pani leżeć na plecach z nogami zadartymi do góry, nim pani się połapie, co się dzieje. A to bardzo niebezpieczna pozycja.

Melisanda zaczerwieniła się po same uszy. Była zbyt oszołomiona, by cokolwiek powiedzieć.

- Nie mówimy o kurewskich sztuczkach - wtrąciła Hetty. - Znaczy, mówimy, ale nie o zabawach, tylko o dzieciach.

- Nie chce pani zajść w ciążę - zapewniła Sukey Melisandę. - Są sposoby, żeby tego uniknąć. Kiedy pani miała miesiączkę?

Melisanda czuła, że jej twarz płonie.

- Być może wcale do tego nie dojdzie. Wicehrabia Rohan może mnie odrzucić albo sama uznam, że to zły pomysł.

- Bo to jest zły pomysł, ale i tak zrobisz, co postanowiłaś - wtrąciła Emma zrezygnowanym głosem. - Wierz mi, widywałyśmy już takie wypadki. Odpowiedz na pytanie Sukey.

- Minęły dwa tygodnie.

- Zły moment. - Sukey pokręciła głową. - Jakby jaśnie pani przełożyła o tydzień figle z tym dżentelmenem, byłoby bezpieczniej. Ale wiem, że trudno się hamować, krew nie woda. Lepiej powiemy, co i jak.

- Ja lubię gąbkę i ocet - oznajmiła Agnes.

- A ja miedziaka - dodała Hetty.

- Nie będzie sprawy, jak użyje pani ust - zaproponowała Violet, ale szybko ją uciszono.

- Przecież od tego nie zaczniesz, idiotko - powiedziała Sukey ostro.

Melisanda była zażenowana, przerażona i wbrew sobie zaciekawiona.

- Co, na litość boską, robisz z tym miedziakiem? - zwróciła się do Hetty. - Modlisz się do świętego?

Agnes, jedyna praktykująca katoliczka w grupie, wybuchnęła śmiechem.

- To samo, co z gąbką i octem, jaśnie pani - wyjaśniła. - Wpycha się do...

- Przestań! - krzyknęła Melisanda. Jej ciekawość została w pełni zaspokojona. - Daję wam słowo, że nie potrzeba mi takich sztuczek. Jestem jałowa.

- Dlaczego tak uważasz? - zdumiała się Emma. - Dlatego, że nie poczęłaś dziecka z tym staruszkiem ani przy jednej jedynej okazji z młodszym mężczyzną? To nie znaczy, że ktoś z krzepą wicehrabiego Rohan nie załatwiłby sprawy.

Dość, pomyślała Melisanda. Nie chciała zastanawiać się nad krzepą Benedicka Rohana ani nad wtykaniem dziwacznych przedmiotów w najbardziej intymne miejsca ciała.

- Jest jeszcze coitus interruptus - wymądrzyła się Sukey. - Dżentelmen musi wyciągnąć... i rozchlapać nasienie na pościel albo na jaśnie panią. To bywa zawodne i dżen-

telmeni nie przepadają za tą metodą, ale myślę, że wicehrabia Rohan nie jest zainteresowany poczęciem bękarta. Może nawet ma francuski bilecik.

- A co mają do tego francuskie bileciki? - Melisanda znów nadstawiła uszu. - Jeśli oczekujecie, że włożę sobie kawałek papieru do...

- Ależ jaśnie pani niewinna! - Sukey pokręciła głową. - Dziwne, że w ogóle ją wypuszczamy z domu. Francuski bilecik, lady Carstairs, to coś, co dżentelmen nosi na swoim drągalu.

Drągal, pomyślała Melisanda. To słowo przypadło jej do gustu, rozbudzało wyobraźnię...

- Myślę, że Rohan będzie przygotowany - oznajmiła Emma. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Melisandę. - Czy mogę cię jakoś przekonać do zmiany zdania?

Na wpół zdeterminowana, na wpół przerażona Melisanda pokręciła głową.

- Zatem, drogie panie, musimy sprawić, by była nieodparta - zdecydowała Emma. - Hetty, gdzie te twoje szmaragdy?



## Rozdział dwudziesty pierwszy

Emma siedziała samotnie w bibliotece po tym, gdy pełna dezaprobaty, ale bardzo porządna panna Mackenzie wyszła. Nie udało się odwieść Melisandy od jej pochopnej decyzji i, szczerze mówiąc, Emma wcale nie była zdziwiona. Od wielu dni widziała, co się święci. Wiedziała, jak to jest, kiedy gotuje się krew. Nawet ona sama, po raz pierwszy w życiu, zaledwie kilka miesięcy temu doświadczyła najprawdziwszej pokusy.

Praca w szpitalu, jej próba pokuty, była bardzo trudna, nawet dla mocnych duchem. Emma trzymała pacjentów za ręce, kiedy umierali, ale rzadko patrzyła na ich twarze. Aż do tamtej nocy.

Chłopiec - bo wyglądał jak chłopiec, z włosami opadającymi na bladą, spoconą twarz - nigdy nie powinien był znaleźć się w szpitalu. Ludźmi z jego klasy zajmowano się w domu, wzywano do nich najlepszych medyków, mieli do swojej dyspozycji pokojowców i pokojówki. Jednak gdy lord Brandon Rohan wrócił statkiem, miał gorączkę, a jego papiery się zawieruszyły. Nikt nie wiedział, kim jest, i jak inni ranni trafił do tego szpitala.

Zachował wszystkie kończyny, choć jedna z nóg była poważnie uszkodzona i nie ulegało wątpliwości, że już zawsze będzie utykał. Blizny pokrywały większą część jego silnego, młodego ciała, a twarz miał kompletnie zdeformowaną. Przyniesiono go pod koniec długiego dnia, a Emma tylko spojrzała na niego i od razu pojęła, że ten pacjent umrze. Nie od śmiertelnych ran, każda z nich była dobrze opatrzona, a młody człowiek wydawał się silny. Wystarczyło jednak, by popatrzył na nią szklistym wzrokiem, by zrozumiała, że się poddał.

Szpital był katolicki, zarządzany przez surowe zakonnice. Emma wybrała go ze świadomością, że jej antypapieska rodzina na wieść o tym poczułaby się śmiertelnie urażona. Matka Mary Clement przydzieliła ją do młodego człowieka, a Emma nawet nie zamierzała protestować. Po prostu zaciągnęła zasłony wokół łóżka i przygotowała się, by umożliwić żołnierzowi spokojną śmierć.

Zmieniła opatrunki, nie krzywiąc się na widok zmasakrowanego ciała. Nie dostrzegła śladów gangreny, rany miały zdrowy, różowawy kolor. Młody człowiek leżał na

łóżku zupełnie nieruchomo, gdy przecierała jego ciało zimną wodą, próbując zbić gorączkę mimo świadomości, że to próżne wysiłki. Przez cały czas mówiła do niego, choć umierający często nie słyszeli ludzkich głosów ani nawet nie czuli dotyku swoich opiekunów. Przy rzadkich okazjach głos lub dotyk mógł przywrócić kogoś do rzeczywistości.

Przykryła rannego, po czym usiadła na krześle obok łóżka, z roztargnieniem rozcierając obolały krzyż.

- Umrzesz, młody człowieku? - zapytała cicho. Choć zapewne był jej rówieśnikiem, czuła się jak jego babka. - Nie ma potrzeby. Możesz z tym walczyć, jesteś młody i silny, i w znacznie lepszym stanie niż połowa mężczyzn w tym szpitalu. Masz wszystkie kończyny. I cóż z tego, że połowa twojej ładnej twarzy jest zniszczona? Możesz oczarować dziewczęta drugą połową. Wystarczy, że nauczysz się zachowywać tajemniczo i posepnie, a młode kobiety uznają cię za romantycznego bohatera. Będziesz musiał opędzać się od nich laską.

Nie poruszył się, a ona niemal czuła, jak ucieka z niego życie.

- Nie musisz umierać - powiedziała nieco bardziej stanowczo. - Jeśli jednak postanowiłeś to zrobić, to niech mnie diabli wezmą, jeżeli będę marnowała na ciebie czas, podczas gdy inni w tym szpitalu walczą o życie. Może masz ukochaną albo żonę? Matkę, która się o ciebie martwi? Nie poddawaj się, dziecko. Walcz, do diabła!

Nawet nie drgnął. Emma wstała powoli, zmęczona i pokonana. Już miała się odwrócić, gdy nagle niewielki ruch przyciągnął jej uwagę. Zobaczyła, że oczy młodego mężczyzny są otwarte i wpatrują się w nią uważnie.

- To ma mnie przekonać do życia? - zapytał ochryplym głosem. - Nie powinna mnie pani trzymać za rękę?

- Próbowałam - odparła rzeczowo. - Nie działało.

Być może się nawet uśmiechnął, trudno było powiedzieć przez bandażę i blizny. Emma wypuściła nieświadomie wstrzymywane powietrze. Usiadła i ujęła jego szczupłą dłoń w swoje ręce.

- Jak się nazywasz? - Pochyliła się nad nim. - Przywieziono cię bez dokumentów. Gdybyś był na tyle samolubny, by umrzeć, musielibyśmy cię pochować w nieoznaczonym grobie.

- Nie pamiętam - powiedział w końcu.

Od razu się domyśliła, że to kłamstwo. Po akcencie można było poznać, że bardzo się różni od przeciętnego żołnierza.

- Widzę, że lubisz sprawiać kłopoty - oznajmiła wesoło. - Ale i tak wyciągnę z ciebie prawdę. Matka Mary Clement przydziela mi wszystkie trudne przypadki, takie jak twój. Dobrze, że przynajmniej postanowiłeś żyć.

- Skąd pani wie? - wyszeptał.

Z uśmiechem uścisnęła jego dłoń.

- Wiem. - Wstała. - Jutro wrócę. Nie dokuczaj zbyt siostrze na nocnej zmianie, dobrze? I nie umieraj, kiedy mnie nie będzie, bo bardzo się na ciebie pogniewam.

- Postaram się tego nie robić. Jak pani na imię?

- Powiem ci, kiedy ty mi się przedstawisz. Przynajmniej wyjaw mi rangę, to będę zwracała się do ciebie „poruczniku” czy jakoś tak.

- Proszę mnie nazywać Janusem - odparł.

Emma natychmiast zrozumiała analogię. Janus był rzymskim bogiem o dwóch obliczach.

- Nie marudź, dziecko - upomniała go tonem guwernantki. - I tak jesteś bardzo ładny, za ładny jak na młodego mężczyznę. Bardzo dobrze, że coś zrobiłeś, aby stonować tę oszałamiającą urodę.

Roześmiał się, a jej zrobiło się cieplej na sercu.

- Wobec tego będę nazywał panią Harpią, skoro już posługujemy się mitologicznymi aluzjami - powiedział. - Postaram się przetrwać do jutra, choćby tylko na złość pani.

- Zrób tak. - Odsunęła zasłony, gotowa odejść.

- Panno Harpio! - zawołał za nią.

Popatrzyła na niego, unosząc brwi.

- Nie jestem dzieckiem - oświadczył.

Nie przedstawił się jej. Przez cały tydzień, który spędził w szpitalu pod uważnym okiem matki Mary Clement, upierał się, że stracił pamięć. Tymczasem wyraźnie nabierał sił. Gdy Emma przychodziła, szła prosto do niego, by upewnić się, że wszystko w po-

rzędu, a następnie udawała się na obchód, zostawiając Janusa na sam koniec. Był jej nagrodą za ciężką pracę. Patrzył na nią jak na krzyżówkę Madonny i harpii, do której ją przyrównał, a ona łajała go jak młodszego brata. Może nie do końca, gdyż w pewnym momencie zaczęła zdawać sobie sprawę z niepokojącego pragnienia, które w niej rozbu-  
dzał.

Wszystko układało się dobrze, lecz nagle dostał gwałtownej gorączki, tym razem bardziej zajadłej. Emma widziała takie przypadki wśród innych pacjentów, którzy pozor-  
nie byli silni i zdrowieli. Szpital był niebezpiecznym miejscem, pełnym chorób i zarazy,  
a pacjenci przybywali doń osłabieni. Gorączka dopadła go szybko, a gdy Emma miała  
już wracać do domu, był w stanie krytycznym.

Matka Mary Clement popatrzyła na niego i zacmokała.

- Smutny przypadek, Emmo - westchnęła. - Miałam nadzieję, że wydobrzeje.

Emma nie odrywała wzroku od młodego człowieka.

- Zostanę tutaj przez chwilę, jeśli matka nie ma nic przeciwko temu - powiedziała  
cicho. - Zrobię, co się da.

- Obudź go, jeśli to możliwe. Przydzielam ci umierających, żeby wiedzieli, po co  
żyć. Przypomnij mu, dlaczego chce pozostać wśród nas.

Emma popatrzyła na starszą zakonnice. Matka Mary Clement знаła doskonale hi-  
storię Emmy, ale nigdy nie próbowała jej osądzać.

- Zostawiam go tobie - oznajmiła teraz. - Zawołaj mnie, jeśli będziesz czegoś po-  
trzebować. Nic innego nie możemy już dla niego zrobić. Albo mu się uda z tego wyjść,  
albo nie.

Po tych słowach zostawiła ich oboje w mroku, wśród jęków chorych i umierają-  
cych. Młody żołnierz Emmy leżał nieruchomo na swoim wąskim łóżku.

Okolo północy położyła się obok niego. Zaczynał drzeć, więc objęła go ramionami  
i przytuliła do siebie niczym dziecko, którego nigdy nie miała się dochować. Janus przy-  
warł do niej niczym topielec, a ona zasnęła, wiedząc, że gdy się obudzi, młody człowiek  
będzie martwy. Pomyślała, że przynajmniej umrze w jej ramionach.

Rzeczywiście, rano go już nie było, jednak nie umarł. Okazało się, że rodzina mło-  
dzieńca w końcu zdołała go odnaleźć. Zabrano go do rodzinnego domu, podczas gdy

Emma spała, nieświadoma sytuacji. Była tak wyczerpana, że matka Mary Clement nie chciała jej budzić.

Zawsze istniała szansa, że był potomkiem jakiegoś przemysłowca albo nieślubnym synem arystokraty - kimś nie do końca poza zasięgiem Emmy, kimś, kto mógłby wybaczyć jej przeszłość.

Życie nie okazało się aż tak łaskawe. Okazało się, że to kapitan Brandon Rohan, lord Brandon Rohan, brat wicehrabiego, syn markiza. Pochodził z zupełnie innego świata niż Emma. Czasem myślała nawet, że dla niej byłoby lepiej, gdyby tamtej nocy zmarł.

Teraz kaprys losu sprawił, że jego rodzina znowu pojawiła się w jej życiu. Jej drogi chłopiec już nie był rannym żołnierzem, jednak najwyraźniej choroba głęboko wżarła się w jego duszę.

Serce Emmy krajało się na myśl o tym.

TLR

## Rozdział dwudziesty drugi

Benedick nie mógł się otrząsnąć z dziwnej melancholii, gdy wieczorem szykował się do balu u Worthinghamów. Zdołał się pozbyć Melisandy Carstairs, i to na dobre, co go cieszyło, gdyż był coraz bliższy uwiedzenia jej.

Zastanawiał się nad tym, gdy Richmond pomagał mu włożyć idealnie skrojony frak. Wdowy uważano za kobiety do wzięcia i wiedział, że prędzej czy później ktoś zdoła przebić się przez mur radosnej obojętności, którym otoczyła się Melisanda. On sam sprawił, że jej forteca zatrzęsała się w posadach.

Zmarszczył brwi. Nie, nie był bezużytecznym hulajduszą pokroju Wilfreda Hunnicuta. Powinna wykazać się lepszym gustem! Zastanawiał się, który ze znanych mu mężczyzn najlepiej by do niej pasował. Potrzebny był jej mąż, i to o silnym charakterze, by zdołał poskromić jej co bardziej ekstrawaganckie pomysły. Ktoś, kto rozumiałby dobroczynną działalność, nie ktoś, kto zechciałby wykorzystać co chętniejsze spośród dziewcząt zamieszkujących jej dom.

- Wasza lordowska mość? - W głosie Richmonda dał się słyszeć niepokój. - Czy coś się stało?

- Dlaczego coś miałyby się stać? - burknął Benedick z irytacją, odwracając się do lustra, by spojrzeć na twarz.

W istocie, wyglądał na wściekłego. Pamiętał, że jego ojciec miewał identyczną minę, gdy konfrontował się z niesprawiedliwością bądź złym uczynkiem. Teraz Benedick czuł wrogość w stosunku do każdego z mężczyzn, których wyobrażał sobie w roli męża Samarytanki Carstairs. Opanował się i samodzielnie zawiązał fular. Wiedział, że przynajmniej przez dwa tygodnie wścibska lady Carstairs nie będzie go niepokoiła, więc mógł się skoncentrować na Niebiańskich Zastępach. Do tego nie musiał martwić się o nią, znosić jej bliskości i walczyć z pokusą.

Worthingham House zajmował spory kawałek Grosvenor Square. Był to duży budynek, wzniesiony pod koniec ubiegłego stulecia, by świadczyć o potęgze Worthinghamów. Benedick wątpił, by książę lub księżna mieli cokolwiek wspólnego z Niebiańskimi

Zastępami, ale lista gości zaproszonych na ich doroczny bal była długa i nikt nie ośmielał się go opuścić, gdyż byłby to afront wobec gospodarzy.

Oznaczało to, że większość członków Zastępów przybędzie na imprezę, być może upije się i da się pociągnąć za język w sprawie planowanych rytuałów przy pełni księżyca. Tego popołudnia Benedick nawet zajrzał do ogromnej biblioteki swoich rodziców i przekonał się, że wkrótce przypada pogańskie święto Imbolc, organizowane ku czci irlandzkiej bogini wiosny. Był jednak pewien, że jego pogańscy przodkowie nie praktykowali gwałtów ani nie składali krwawych ofiar. Już na studiach w Oksfordzie przekonał się, że niektórzy mężczyźni potrafią wykoślawić wszystko zgodnie z własnym upodobaniem. Przypomniawszy sobie zajęcia poświęcone badaniu mitów i folkloru. Kilku jego znajomych na nie uczęszczało, choć zapomniał którzy konkretnie. Minęło w końcu dwadzieścia lat i w ogóle o tym nie myślał. Zaczął się zastanawiać, czy przywódca Niebiańskich Zastępów nie jest przypadkiem dawnym kolegą ze studiów.

Pomyślał, że może spotkanie z którym z nich odświeży mu pamięć. Inna sprawa, że te same zajęcia prowadzono i wcześniej, i później, w związku z czym zarówno młodszy, jak i starsi studenci uczyli się o dawnych rytuałach.

Popatrzył na Richmonda.

- Możesz odesłać całą służbę do łóżek i sam udać się na spoczynek - powiedział. - Wrócę bardzo późno i znajdę drogę do swojego pokoju.

- A panicz Brandon, wasza lordowska mość?

Benedick pomyślał o krótkiej, ale zajadłej kłótni tego ranka.

- Dziś nie wróci - odparł.

- Rozumiem, wasza lordowska mość.

Oblicze Richmonda nie zdradzało jego myśli.

Tylko w starych oczach majordomusa krył się ból i rezygnacja.

Tego dnia Benedick siedział w bibliotece, czekając, aż Brandon zwlecze się z łóżka. Nie miał pojęcia, czy pijacki epizod z ubiegłej nocy to odosobniony przypadek, i było mu wszystko jedno. Postanowił, że dłużej nie będzie przymykał oka na samobójcze zapędy brata i sprawdzi, co się dzieje.

Okazało się, że niemal go przegapił. Brandon nigdy nie był szczególnie dyskretny, a teraz, kulejąc, robił jeszcze więcej hałasu niż zwykle, więc Benedick nie wątpił, że go usłyszy. Jednak Brandon znał brata i czekał, aż zagłębi się on w lekturze, zanim postanowił wyjść. Dzięki temu prawie udało mu się niezauważenie przemknąć obok drzwi biblioteki.

- Chcę z tobą porozmawiać - odezwał się Benedick, w porę odrywając spojrzenie od książki. Pomyślał, że zwraca się do brata niczym surowy ojciec, więc złagodził ton. - Brandon, bardzo cię proszę.

- Wybacz, stary. - Brandon unikał wzroku Benedicka. - Mam spotkanie. Moi przyjaciele nie mogą czekać.

- To potrwa zaledwie chwilę. Wejdz, proszę.

Twarz Brandona była ściągnięta i Benedick podejrzewał, że gdyby jego brat nie miał chromej nogi, pewnie by uciekł. Ostatecznie jednak wszedł do biblioteki i usiadł.

Wyglądał koszmarnie. Rany na jego twarzy goiły się powoli, a jej nienaruszona powłoka była trupio blada. Miał zapadnięte policzki, zacięte usta, a ręce mu lekko drżały. Benedick pomyślał, że najgorzej prezentują się jego puste i martwe oczy. Co się stało z pogodnym chłopcem, który radośnie szedł przez życie?

Dobrze wiedział, co się stało. Brandon widział okropności wojny, cierpiał straszliwy ból i szukał zapomnienia. Dawny Brandon prawdopodobnie zniknął na zawsze. Benedick jednak nie zamierzał dać za wygraną.

- Pewnie chcesz, abym przeprosił cię za to, że puściłem na ciebie pawia - powiedział Brandon. - Nie pamiętam tego, ale Richmond solidnie mnie obsztorcował. Zdumiewające, że przez tego staruszka czuję się gorzej niż przez ciebie i ojca razem wziętych. Tylko mama potrafi mnie równie paskudnie przygnębić.

- Niestety, przebywa teraz z ojcem w Egipcie, inaczej pewnie położyłaby kres twojemu okropnemu zachowaniu - zauważył Benedick.

Usta Brandona rozciągnęły się w nieprzyjemnym uśmiechu.

- Bracie mój, chyba nie masz pojęcia o okropnościach, a ja nie widzę sensu w edukowaniu ciebie. Właściwie to wcale nie żałuję, że na ciebie zwymiotowałem. Zasłużyłeś sobie.



- Uprzejmie dziękuję - odparł Benedick oschle. - Czy masz coś wspólnego z Niebiańskimi Zastępami? - zapytał nieoczekiwanie.

Brandon nawet nie mrugnął okiem.

- Jeśli chciałbyś się przyłączyć, radzę ci zrezygnować - oznajmił. - Zbyt pochopnie ferujesz wyroki.

Benedick omal się nie roześmiał, bo przez lata dostawał burę za to, że jest zbyt bezkrytyczny.

- Czyli jesteś członkiem Zastępów? - nie ustępował.

Brandon wzruszył ramionami.

- O ile wiem, w Niebiańskich Zastępach obowiązuje ścisła zasada anonimowości, co jest raczej wskazane - zauważył. - Nie chciałbyś przecież grać w karty z kimś, kogo poprzedniego dnia widziałeś podczas igraszek z innym mężczyzną. Co nie znaczy, że ja to robię, naturalnie.

- Masz na myśli grę w karty czy igraszki z mężczyznami?

- Wolę nie odpowiadać.

- Czyli mówisz, że nie jesteś członkiem? - drażył Benedick.

- Mówię, że to nie twój cholerny interes.

Benedick z trudem powściągnął wybuch złości.

- Nie mogę siedzieć i patrzeć, jak rujnujesz sobie życie - powiedział cicho. - Nie mówiąc już o rodzinnym nazwisku, choć i tak jest splamione. Miałem nadzieję, że rokujesz nadzieję, ale zważywszy na twoje zachowanie, bardzo w to wątpię. Niebiańskie Zastępy posuwają się za daleko i to wszystko w pewnym momencie obróci się przeciwko tobie. Naprawdę chcesz tak pohańbić rodzinę?

- Och, ojciec da sobie radę, w końcu sam spędził tam sporo czasu. A jeśli chodzi o matkę... Wiem, że wszyscy zdołają ukryć przed nią prawdę.

- Jak spojrzysz jej w oczy, wiedząc, że towarzystwo, w którym się obracasz, popełnia rozmaite przestępstwa, kto wie, czy nie razem z tobą?

- Drogi bracie, nie mam najmniejszego zamiaru pożyć na tyle długo, aby zawracać sobie tym głowę. - Brandon wstał z gracją mimo kalectwa. - Wynoszę się. Już poleciałem,

by przewieziono moje bagaże do wynajętego pokoju, więc nie będziesz musiał, że użyję twoich słów, siedzieć i patrzeć, jak rujnuję sobie życie. Zrobię to cicho i dyskretnie.

- Nie, jeżeli jesteś członkiem Niebiańskich Zastępów.

- Nie doceniasz mnie. Do widzenia, Neddie. - To było dawne, dziecięce przewisko i Benedick poczuł ukłucie w sercu.

Brandon zniknął, nim Benedick zdążył zareagować. Było już zbyt późno, by kazać lokajom go powstrzymać.

W otwartych drzwiach pojawił się Richmond.

- Rozumiem, że panicz Brandon nie wróci na kolację. - To nie było pytanie.

- Nie - westchnął Benedick i popatrzył na pozbawioną emocji twarz Richmonda i jego smutne oczy. Znowu poczuł ból. - Nie przejmuj się - dodał cicho. - Nie pozwolę mu zniknąć na zawsze.

- Tak, wasza lordowska mość. Wierzę w to.

Benedick nie miał nastroju na tańce, ale siedzenie w domu i zamartwianie się było by jeszcze gorsze. Gdy wmaszerował do jasno oświetlonego holu Worthingham House, oddał płaszcz służącemu i pomyślał, że czeka go teraz jeszcze jeden wieczór pełen hałasu i nudy. Rozejrzał się wokoło, popatrzył na innych spóźnionych gości, przywitał się z jedną parą, zamienił kilka słów z drugą, po czym wszedł na olbrzymie schody. Skrzywił się dyskretnie, słysząc płynące z góry dźwięki. Księżna Worthingham gustowała w muzyce swojej młodości, z zeszłego stulecia, więc tańce wymagały sztywnych, wypracowanych ruchów i dawały mało przyjemności. Benedick miał zamiar iść prosto do pokoju karcianego, kiedy lady Marbury, pulchna, młoda matrona, z którą spędził kiedyś kilka przyjemnych nocy, podeszła do niego z chytrym wyrazem twarzy.

- Tu jesteś, Rohan - powiedziała. - Zastanawialiśmy się, co cię zatrzymało. Lepiej zachowaj czujność, bo Harry Merton będzie górą!

Benedick uśmiechnął się do niej obojętnie. Nie miał pojęcia, o co chodzi.

- Wątpię - powiedział. - Harry już kilka razy usiłował ze mną wygrać i nigdy mu się nie udawało. Co zamierza teraz?

- Chodzi o lady Carstairs, oczywiście. Twierdzi, że obiecałeś do niej dołączyć, ale doprawdy, mój drogi, nie wypada aż tak długo trzymać damy w niepewności.

Benedick zamarł i zaklął w duchu, ale uśmiechnął się.

- Wobec tego muszę strzec tego, co moje - powiedział. - Zaprowadź mnie do niej, a ja wyjaśnię Harry'emu, że wkraczanie na cudze terytorium to bardzo niemądry pomysł. Zwłaszcza kiedy chodzi o terytorium Rohana.

- Jest przy wejściu do saloniku po lewej - odparła. - Mogliby się tam wśliznąć, gdyby lady Carstairs była nieco bardziej mobilna. Niestety, zwichnęła nogę w kostce, ale pewnie będzie mogła dokuśtykać, jeśli przyciśnie ją potrzeba.

Wiedział, że powinien teraz powiedzieć jakiś komplement, poflirtować lub pocałować lady Marbury w rękę, ale bez słowa obrócił się i przeszedł przez salę balową, ledwie zwracając uwagę na witających go znajomych. Nie mógł jej dostrzec, ale widział zgromadzonych wokół niej mężczyzn. Nie był pewien, komu ma ochotę skrócić kark, Melisandzie czy Mertonowi.

Zwolnił, wychodząc do nich. Melisanda siedziała na szeslongu, który na pewno przyniesiono specjalnie dla niej, otoczona przez roześmianych i flirtujących mężczyzn. Benedick zazgrzytał zębami. Dlaczego znalazła się w centrum uwagi? I skąd wzięła tę nieprzyzwoitą suknię, odsłaniającą dużą część piersi?

Przepchnął się przez tłum i pochylił nad Melisandą, która popatrzyła na niego z bladym uśmiechem.

- Rohan! - powitała go z udawaną radością. - Bałam się, że nie przybędziesz.

Merton siedział obok i trzymał ją za rękę w rękawicze. Benedick tylko popatrzył na niego spode łba i uśmiechnął się ostrzegawczo.

Merton natychmiast puścił rękę Melisandy i zerwał się na równe nogi.

- Na litość boską, Rohan, naprawdę mnie przerażasz - zachichotał. - Tylko dotrzymałem towarzystwa twojej miłej towarzyszce, bo okropnie się spóźniłeś. Doprawdy, tak nie traktuje się damy. Wysyłając ją przodem, ryzykujesz, że inni zaczną kłusować na twoim podwórku.

- Nie jestem łowną łanią - oznajmiła Melisanda radośnie.

Merton znów zachichotał i popatrzył na nią z zainteresowaniem.

- Nie, moja droga pani, jest pani kształtną, maleńką kuropatwą, niezwykle kuszącą - oświadczył. - Ale nie mam ochoty na pojedynek, więc opuszczę swoje stanowisko.

Wskazał pozłacane krzesło, które porzucił, a Benedick czym prędzej tam usiadł, nie patrząc na Melisandę,

- Najwyraźniej zaciągnąłem u ciebie dług wdzięczności, Harry - powiedział. - Wiedziałem, że będziesz strzegł tego, co moje.

- Słucham? - warknęła Melisanda, ale wystarczyło jedno jego spojrzenie, by się uspokoiła.

- Naturalnie, mój stary. Może przyniosę twojej damie i tobie coś do picia? Wygląda na to, że tuż po przyjsciu skierowałeś się prosto do nas.

- Oczywiście, że tak. Lady Carstairs i ja potrzebujemy teraz odrobiny prywatności. W końcu nie widzieliśmy się od kilku godzin.

- Ach, te uniesienia kiełkującej miłości! - powiedział z uśmiechem Merton i odszedł.

Inni adoratorzy też już zdążyli się oddalić, niczym młode wilczki ustępujące pola samcowi alfa, pomyślał Benedick, przypominając sobie zajęcia poświęcone naturze zwierząt. I bardzo dobrze, miał bowiem ochotę chwycić za gardło każdego, kto zbliży się do Melisandy.

Melisanda odezwała się pierwsza, choć nie do niego.

- Panno Mackenzie, może pani już odejść, skoro przybył wicehrabia - oznajmiła. - On się mną zajmie.

Benedick podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i w cieniu ujrzał wysoką, szczupłą, bardzo niezadowoloną kobietę.

- Ehem - powiedziała, jednoznacznie demonstrując swoją dezaprobatę dla wszystkiego i wszystkich.

- Tylko mi nie mów, że to również kurtyzana - powiedział, gdy szczupła dama się oddaliła. - Nie uwierzę.

- Była moją guwernantką. - Melisanda uśmiechnęła się do niego.

Zamrugnął oczami, po czym przypomniał sobie, że jest wściekły, i zaśmiał się bez radości.

- Nic dziwnego, że masz takie skrzywione spojrzenie na życie - zauważył.

- Proszę nie zaczynać ze mną walki, wasza lordowska mość - powiedziała słodko Melisanda. - Powinien był pan wiedzieć, że nie dam się unieruchomić w domu. W rzeczy samej, poczyniłam już nie lada postępy.

- Z Harrym Mertonem?! Omal nie zaślinił tej nieprzyzwoitej sukni - burknął Benedick.

- Nie jest nieprzyzwoita, gdy porównać ją z innymi - zauważyła. - Odkąd to jest pan taki pruderyjny?

- Nie jestem pruderyjny, lady Carstairs - oznajmił wyniośle. - Skoro chcesz się zajmować Harrym, proszę bardzo, masz moje błogosławieństwo. To bezużyteczny hulajdusza, ale zupełnie nieszkodliwy.

- Ach, mam pańskie błogosławieństwo? - mruknęła. - Nie sądziłam, że jest mi potrzebne.

Benedick znał kobiety na tyle dobrze, że od razu sobie uświadomił, iż trafił na grząski grunt. Niewiele jednak mógł zrobić publicznie.

- Proszę o wybaczenie - oznajmił natychmiast. - Oczywiście, możesz sypiać, z kim tylko ci się podoba. - Zobaczył, że nadciąga ku nim lord Elsmere, prawdopodobnie z zamiarem zaproszenia go na partyjkę kart. W oddali ujrzał również wyraźnie zadowolonego z siebie starszego brata Dorothei Pennington. - Prosiłem, żebyś zostawiła to mnie - dodał ciszej.

- A ja powiedziałam, że nie zostawię. Poza tym podjęłam pewną decyzję i uznałam, że wypadałoby podzielić się nią z panem.

Benedick słuchał jednym uchem, gdyż Elsmere usiłował przyciągnąć jego uwagę.

- Co? - spytał.

- Postanowiłam zostać pańską kochanką.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Benedick zamarł ze zdumienia.

Wpatrywał się w Melisandę tak, jakby znienacka wyrosła jej druga głowa. Miała bardzo rezolutny wyraz twarzy i uśmiechała się do niego z szeslonga niczym królowa, przyjmująca gości. Przez chwilę nie był w stanie się poruszyć.

- Postradałaś zmysły - powiedział w końcu. - Jesteś ostatnią kobietą na ziemi, którą wziąłbym sobie na kochankę.

Coś zamigotało w jej ciemnoniebieskich oczach, ale nie dała się wytrącić z równowagi.

- To niezbyt pochlebne - zauważyła.

- Wcale nie zamierzałem ci pochlebiać. Mówię prawdę. Nie mam żadnego interesu w braniu sobie kochanki, a już na pewno nie wybrałbym ciebie.

- Nie jestem niewinna, wasza lordowska mość. Wiem, jak wygląda męskie ciało i potrafię rozpoznać pożądanie. Raczej nie dam się przekonać, że mnie pan nie pragnie.

Nagle zrozumiał, co zobaczył w jej oczach. Pod tą pewną siebie powłoką kryły się wątpliwości. Choć Melisanda była bardzo silna, mógłby ją pokonać, dopilnować, by nigdy nie zaoferowała się żadnemu innemu mężczyźnie. Benedick doszedł do wniosku, że nie chce, aby spała z innym, a był zbyt rozsądny na to, aby iść z nią do łóżka. Nie potrafił jednak zdobyć się aż na takie okrucieństwo.

- Nie chcę kochanki - powiedział spokojniej. - Gdybym nawet chciał, to byłby bardzo zły wybór dla ciebie. Nie jestem ani miły, ani troskliwy, a poza tym działamy sobie na nerwy, nawet gdy usiłujesz udawać, że tak nie jest.

- Przecież my nie... - zaczęła, ale nie dopuścił jej do głosu.

- Cóż, ty mnie irytujesz. Jesteś bogatą, piękną wdową i połowa mężczyzn tutaj byłaby na twoje skinienie. Przypomnij sobie, jak dzisiaj krążyli wokół ciebie... jak muchy. Jeśli pragniesz romansu, wybierz sobie jednego z nich.

A ja połamię mu nogi, dodał w myślach.

Ani przez chwilę nie wierzył w szczerą deklarację. Przecież bez przerwy powtarzała, że nie interesują jej mężczyźni i choć zdawał sobie sprawę z własnej atrakcyjności,

jedno szczytowanie nie mogło skłonić Melisandy do zmiany zdania. Pewnie chciała jakoś ponownie dołączyć się do poszukiwań, a na to nie mógł pozwolić.

- Nie chcę nikogo innego - oznajmiła. - Nie ufam im...

- A mnie ufasz? - Był szczerze zdumiony. - Nie żartuj. To wręcz niemożliwe!

- Cóż, może stwierdzenie, że panu ufam, jest nieco zbyt daleko idące - przyznała - ale ufam na tyle, by sądzić, że wie pan, co robić w sypialni. Miałam już starego, niedołęznego męża oraz niezręcznego, młodego egoistę. Stadko nieustannie zapewnia mnie, że jest pan niezwykłym kochankiem, więc roztropnie będzie zacząć od pana. Doszłam do wniosku, że zanim zdecyduję się na celibat, chcę doświadczyć kilka romansów. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Podobają mi się pańskie pocałunki i dotyk, więc wybieram pana.

- Nie. Nie w tym życiu!

- Dlaczego nie?

- Bo... Bo to zły pomysł.

Wiedział, że taka odpowiedź jest mało przekonująca. Tak naprawdę wcale nie był pewien, dlaczego tak bardzo się opiera. Gdyby zaczął z nią sypiać, mógłby przynajmniej ją kontrolować. Na samą myśl o nocach z Melisandą drżały mu ręce. Im dłużej przebywał w jej towarzystwie, tym większą czuł pokusę.

- Nie - powtórzył głucho. - Jesteś cudowną i atrakcyjną kobietą, ale nie pragnę cię.

Bez słowa wstał i ją opuścił. Bał się nawet obejrzeć za siebie.

Melisanda pomyślała spokojnie, że nie może wybuchnąć płaczem w sali balowej. Była idiotką, przedstawiając mu swój plan w otoczeniu innych osób. Bez świadków chętnie jej dotykał, niezależnie od wygłaszanych deklaracji. Powinna była poczekać, aż Rohan ją odwiedzi - tyle że wcale by jej nie odwiedził. Uważał, że zdołał się jej pozbyć, a za nic nie zostawiłaby mu sprawy Niebiańskich Zastępów. Uratowałyby tylko Brandona.

Zjawił się na balu tak późno, że już bała się, iż w ogóle nie przyjdzie, przez co jej plany legną w gruzach. Tymczasem otaczali ją mężczyźni. Harry Merton nie przestawał z nią flirtować i powtarzała sobie, że powinna zapomnieć o Rohanie, kiedy nagle pojawił się we własnej osobie - wysoki, niebezpieczny, o ciemnych oczach i wyraźnych kościach policzkowych.

Gdy szedł, uświadomiła sobie, że jest wściekły. Pewnie powinna była najpierw go uspokoić, a dopiero potem wyznać, co planuje. Dobrze wiedziała, że nie chciał wdawać się z nią w romans, choć nie mogła zrozumieć dlaczego. Przecież nikt by nie pomyślał, że ją skompromitował.

Popatrzyła na niego z namysłem. Rozmawiał właśnie z Harrym Mertonem i wyglądał na rozbawionego. Mimo ostrzeżeń Emmy, Melisanda odruchowo zaczęła porównywać obu mężczyzn.

Pan Merton był zdecydowanie bardziej klasycznie przystojny i nieco niższy od Rohana. Miał muskularną budowę i bardziej barczystą sylwetkę niż jego szczupły, elegancki przyjaciel. Kręcone włosy, pogodny uśmiech oraz miłe oczy pasowały do jego czarującej płytkiej natury i ogromnie się różniły od intensywnego spojrzenia oraz cynicznego oblicza wicehrabiego. Merton wydawał się oczywistym wyborem na pierwszego kochanka, a jednak Melisanda w ogóle go nie zauważała, gdy stał obok Benedicka...

Benedick. Powinna czuć się dziwnie, myśląc o nim jak o Benedicku, a nie wicehrabim Rohan, tak jednak nie było. Postanowiła od tej pory zwracać się do niego po imieniu.

Gdyby zniechęcała się po pierwszej porażce, zapewne zwinęłaby się w kłębek już wiele lat temu i kompletnie odcięła od świata. Jeśli wicehrabia Rohan uważa ją za ostatnią kobietę na świecie, z którą mógłby mieć romans, udowodni mu, jak bardzo się myli.



## Rozdział dwudziesty czwarty

Benedick był zdecydowany nie oglądać się za siebie. Czuł na sobie spojrzenie Melisandy, odciskało się niczym piętno. Niech diabli porwą tę kobietę! I bez niej sprawy układały się nie najlepiej...

- Apetyczna z niej turkaweczka, czyż nie? - powiedział Harry z aprobatą. - Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak kusząca jest nasza Samarytanka.

- Nie dla ciebie ten kąsek, przyjacielu. Potrzeba jej dobrego mężczyzny - odparł Benedick. - I wiem od dawnego znajomego, że ty nim nie jesteś.

- Wypraszam sobie! - zaprotestował Harry. - Jestem stuprocentowym jagniątkiem. - Zachichotał. - Tyle że ona nie jest w typie kochanki. Wygląda na cnotkę.

Benedick miał ochotę spiorunować go wzrokiem, ale zdołał się powstrzymać.

- Właśnie - przytaknął. - Dlatego też trzymam się na dystans.

- Kilka dni temu tak nie było - zauważył Harry. - Chyba zrobiliście dobry użytek z pokoiku u Elsmere'ów.

Benedick znowu zaklął w duchu. Jak mógł o tym zapomnieć? Przecież nadal miał podwiązkę, którą jej zabrał i z jakiegoś dziwnego powodu nosił przy sobie. Pewnie po to, by pamiętać, jaka z niej uciążliwa osóbką.

- Tak, to był całkiem przyjemny wieczór - przyznał. - Ale masz rację, jej potrzeba męża, czy to sobie uświadamia, czy nie. Możesz mieć trudności z ucieczką.

Nie mógł lepiej trafić. Harry zadrzał ze zgrozą.

- Na litość boską! - wykrzyknął. - To ostatnia rzecz, której mi trzeba.

Benedick postanowił brnąć dalej.

- Wątpię, czy spodoba ci się w pościeli - dodał. - Mimo moich wysiłków jest sztywna jak kłoda. A jeśli myślisz, że będziesz mógł z nią zrobić, co tylko zechcesz, to bardzo się mylisz. Jej zdaniem usta nadają się wyłącznie do zamkniętych pocałunków i niczego więcej.

- Wielkie nieba! - jęknął Harry. - Będę się trzymał od niej z daleka. Zaraz pewnie zaczniesz mnie uwodzić, zwłaszcza że ją rzuciłeś. Chyba już próbowała. Cieszę się, że udało mi się ujść cało. Dzięki, mój stary, doceniam twoje ostrzeżenie!

Benedick rozciągnął usta w nieszczerym uśmiechu.

- Od tego są przyjaciele - zauważył.

W końcu odwrócił się, by popatrzeć na Melisandę, ale zbyt wiele osób zasłaniało mu szeslong. Pomyślał z goryczą, że przecież sam nie zdoła wszystkich odstraszyć. Pozostało mu jedynie liczyć na jej irytującą energię, która niewątpliwie musiała w końcu przerazić nawet najwytrwalszych absztyfikantów.

- Merton! - Usłyszał za sobą jakiś głos, wysoki i afektowany.

Odwrócił się i stanął oko w oko z Arthurem Penningtonem. Gdy Pennington na niego patrzył, na jego twarzy pojawił się niepokój. Benedick nie rozumiał dlaczego. Czyżby Pennington się domyślał, że to on przebywał tamtego dnia w tunelach Kersley Hall? Jak jednak to było możliwe?

- Witaj, Rohan - odezwał się w końcu Pennington. - Nie poznałem cię.

- Do usług, Pennington - powiedział uprzejmie Benedick. - Cóż cię ostatnio zajmuje?

- To i owo. - Pennington uśmiechnął się oblesnie. - Nie, żeby to było do publicznej wiadomości, ale kilku z nas naprawdę dobrze się bawi...

- Lord Elsmere próbuje zwrócić na siebie twoją uwagę - przerwał mu nieoczekiwanie Harry, po czym zachichotał. - Wybacz, Pennington, naprawdę nie chciałem wam przeszkadzać.

Benedick nie zamierzał jednak puszczać Penningtona, który najwyraźniej miał chętkę na zwierzenia.

- Harry, zrobisz mi przysługę i sprawdzisz, czy Elsmere jest zainteresowany partijką kart?

Na twarzy Harry'ego pojawiła się nieoczekiwana frustracja, ale po chwili znikła.

- Naturalnie - odparł. - Nie muszę się przejmować tym, czy dasz wiarę bajeczkom Penningtona.

Ten ostatni nie wydawał się obrażony, zapewne dlatego, że nie słyszał protekcyjnego komentarza Harry'ego.

- Muszę z tobą porozmawiać - oznajmił nieco niewyraźnym głosem. - To ważne.

Radość Harry'ego wyparowała, co było raczej niespotykane. Benedick nie przypominał sobie, kiedy wydawał się równie poważny jak teraz.

- Chodzi o moją piekielną siostrę - dodał Pennington.

Benedick odniósł wrażenie, że napięcie Harry'ego nagle osłabło. Dlaczego jednak miałby się denerwować? Było wręcz niemożliwością, aby cokolwiek łączyło go z Niebiańskimi Zastępami. Pomimo swojej chełpliwej gadaniny, nie przepadał za kobietami, a na dodatek był zbyt pogodny, by należeć do tajnej i tak posępnej organizacji.

W innych okolicznościach Benedick pozbyłby się Penningtona pod byle pretekstem. Nie chciał, by ktokolwiek wywierał na niego presję w kwestii zaręczyn z Dorotheą. Definitywnie zrezygnował z tego związku. Prędzej związałby się z Melisandą!

Nieprawda, upomniał się. Dorothea przynajmniej zostawiłaby go w spokoju, a Melisanda nie pozwoliłaby mu na żaden romans. Pewnie by go zamordowała, gdyby przypadkiem zbłądził. Do tego darzyłaby go miłością, a sama myśl o tym napawała go przerażeniem.

Uśmiechnął się szeroko.

- Czym mogę służyć, Pennington? - zapytał.

- No wiesz, moja siostra się uparła - odparł Pennington. - Nalegała, bym z tobą pogawędził i robił rozliczne aluzje do ślubu, i żebym zaprosił cię do naszej wiejskiej posiadłości w ten weekend. Mówiłem, że jestem zajęty, ale nie chciała o tym słyszeć.

- A jesteś zajęty, Pennington?

- Jestem, Rohan - przytaknął Pennington. - Więc widzisz, nie mogę cię zaprosić. Ale Dorothei spieszno do ołtarza. Lat jej nie ubywa, a w dodatku ma charakter żmii. - Nagle uświadomił sobie, jak to może odebrać potencjalny szwagier. - Miłej żmii - dodał pośpiesznie. - Bardzo miłej i oswojonej żmii. I żmijowatej wyłącznie w stosunku do brata, naturalnie! Siostry bywają okropne, sam rozumiesz.

Benedick pomyślał o własnej młodszej siostrze, która wyszła za potwora. Zawsze uważał, że skoro Miranda uparła się żyć z kimś tak kompletnie do niej niepasującym, mogłaby przynajmniej mieć dość przyzwoitości, aby być nieszczęśliwa, a nie idiotycznie zachwycona. Nie życzył siostrze źle, po prostu nie chciał widzieć u jej boku Skorpiona.

- W rzeczy samej, siostry takie są - powiedział uprzejmie.

- Ale przyjedziesz w następnym tygodniu, prawda? Od lat nikt nie był tak bliski zaręczyn z nią jak ty. Mężczyźni zdają się niemal gotowi, a później ona ich odstrasza. Ty jednak nie wyglądasz mi na kogoś, kto dałby się łatwo spłoszyć.

Benedick pomyślał, że gdyby oświadczył się Dorothei, musiałby ratować jeszcze jednego idiotę ze szponów Zastępów.

- Obawiam się, że twoja siostra zbyt wiele obiecywała sobie po mojej atencji - oświadczył oficjalnym tonem. - Bardzo ją szanuję, ale szczerze mówiąc, nie brałem pod uwagę ubiegania się o jej rękę.

Pennington uklonił się uprzejmie. Ta odmowa najwyraźniej nie sprawiła mu przykrości.

- Mówiłem jej to - zauważył. - Powiedziałem, że jesteś zbyt bystry, aby jej nie przejrzeć na wylot.

- Niemniej jestem zainteresowany weekendem, Pennington - ciągnął Benedick. - Nie słyszałem o żadnych szykowanych przyjęciach. Czyżbym wydawał się niewart zaproszenia? Szczerze mówiąc, nie wiem, kogo mogłem obrazić.

Nie była to prawda, Benedick często obrażał ludzi, i choć niejednokrotnie tego żałował, nie bardzo potrafił z tym walczyć. Jedno musiał przyznać Melisandzie Carstairs - niezwykle trudno ją urazić.

- Nie, nic z tych rzeczy - zapewnił go Pennington. - Chodzi o takie tam dyrdymałki z niby tajnym stowarzyszeniem i tak dalej. Kilku z nas odbudowało pewną braterską organizację i w ten weekend mamy spotkanie. Naturalnie, możesz się do nas przyłączyć. - Nagle jednak Pennington coś sobie przypomniał. - Oczywiście, organizacja jest tajna i nie przyjmujemy nikogo, kto nie został wcześniej gruntownie sprawdzony.

Benedick uśmiechnął się do niego chłodno.

- Chcesz powiedzieć, że nie spełniam waszych wymogów? - zapytał. - Moja rodzina pomagała ją tworzyć.

Pennington wydawał się zbity z tropu.

- Mogę zapytać, rzecz jasna - zapewnił Benedicka. - Osobiście nie mam nic przeciwko temu, ale trudno powiedzieć. Niektórzy z członków zachowują się doprawdy idiotycznie. Inna sprawa, że to ma być wyjątkowe zebranie, z okazji jakiegoś pogańskiego

święta. Nie wiem dokładnie, o co chodzi, bo nie słuchałem. Lepiej poczekać do następnego razu. Wspomnę o tobie na zebraniu i zobaczymy, czy ktoś ma obiekcje.

Benedick mógł sobie wyobrazić, jak zareaguje jego brat.

- W porządku - mruknął. - Wobec tego baw się dobrze, Pennington, i pozdrów ode mnie siostrę.

- Tego akurat nie uczynię, bo znowu mnie zruga. Mówiłem jej, że powinna zagiąć parol na starego Skeffingtona. Jest równie konkretny jak ty, ale bez tytułu, i na dodatek stuknęła mu sześćdziesiątka. Nie dziwota, że dziewczyna woli ciebie. Chociaż muszę przyznać, że myśl o mojej siostrze w łożu z kimkolwiek przyprawia mnie o dreszcze.

- Na Boga, nie zastanawiaj się nad tym. - Benedick sam był nieco przerażony, gdy o tym myślał. - Czekam na wieść o jej zaręczynach.

Choć Harry wcześniej zachowywał się nieco dziwnie, teraz znów był wesoły i podczas gry w karty z Elsmere'em i kilkoma innymi osobami opowiadał rozmaite dykteryjki. Sporo przegrał, ale zawsze miał skłonność do zbyt ryzykownej gry. Wieczór się kończył, a Benedick nie zdołał uzyskać zaproszenia na weekendowe zebranie, mimo licznych aluzji i udawanej dekadencji. Nie miał wyboru, musiał się tam zjawić. Zastanawiał się, czy znajdzie stary habit klasztorny, który wisiał w szafie rodziców. Wiele lat temu zapytał matkę, do czego służy ta osobliwa szata. W odpowiedzi tylko się zarumieniła, co jej się zazwyczaj nie zdarzało, ojciec zaś zmienił temat. Wtedy Benedick doszedł do wniosku, że chyba woli nie wiedzieć.

Gdy wyłonił się z pokoju karcianego, Melisanda zdążyła już wyjść. Przez moment było mu przykro i czuł rozczarowanie. Mógł przynajmniej dopilnować, by bezpiecznie trafiła do domu. Najwyraźniej sama zadbała o siebie, z czego powinien się cieszyć. Tak jednak nie było.

Po drugiej w nocy zjawił się na Bury Street. Cała służba była już w łóżkach i nawet Richmond nie czekał. Benedick wziął świecę i ruszył po schodach. Drzwi jego sypialni były otwarte, sączyło się z nich światło. Zamknął je za sobą i postawił świecę, by poluzować fular.

Nagle zamarł, gdy zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Na łóżku siedziała Melisanda. Benedick wybałuszył oczy ze zdumienia. Miała na sobie nocną koszulę, ciepłą, staromodną i praktyczną, zapiętą aż po samą szyję. Jej długie, złotawobrazowe włosy zaczesane były w warkocze, a twarz pozbawiona jakiegokolwiek makijażu. Wyglądała jak pensjonarka szykująca się do snu, brakowało jej tylko szmacianej laleczki.

- Już myślałam, że nie przyjdiesz - oznajmiła.

- Co ty tutaj robisz? - zapytał lodowato.

Tak bardzo się starał postąpić jak należy, a ona przeszkadzała mu w tym na każdym kroku. Popatrzył na nią z wściekłością.

- To chyba oczywiste - odparła.

- Naprawdę myślisz, że pojawienie się w męskiej sypialni w środku nocy to dobry pomysł? To mężczyźni inicjują takie rzeczy.

- Dlaczego?

- Bo mają silniejsze apetyty. - Zmrużył oczy.

- Idiotyzm - oświadczyła. - Nieraz się ze mną droczyłeś i wyśmiewałeś moje upodobanie do słodczy.

- Nie o takie apetyty mi chodzi, niemądra kobieto - warknął niegrzecznie. - Mówię o zbliżeniu płciowym.

Zamrugła, słysząc te słowa, a on uśmiechnął się z ironią. Wcale nie była aż tak dzielna, jak usiłowała się prezentować.

- Ale skoro kobiety mają mniejsze... apetyty, to jak w ogóle udaje się wam wdawać z nami w romanse? - zainteresowała się. - Chyba jesteśmy całkiem niedopasowani.

- Ci o silnych apetytach mają tendencję do łączenia się w pary, tak jak osoby nie-specjalnie zainteresowane współżyciem.

- Do której grupy należysz? - zapytała, żeby go rozdrażnić.

- Myślę, że doskonale zdaje sobie pani sprawę z rozmiarów moich apetytów, lady Carstairs.

- Dotąd mówiłeś mi po imieniu - przypomniała mu.

- To był błąd. Najwyraźniej uznała to pani za zachętę. Jak mogę przedstawić to jaśniej? Łapówki nie pomogą, i tak nie pozwolę pani angażować się w tę sprawę. Pani pro-

pozycje nie robią na mnie wrażenia. Nie chcę pani ani nie pożądam. Nie ma pani cech, których poszukuję u kochanki. Jest pani niedoświadczona i niezręczna, a pani wybór życia w celibacie był prawdopodobnie bardzo rozsądną decyzją. Teraz proszę się ubrać, a ja każę zaprząć powóz.

Stał już przy drzwiach, gdy usłyszał, jak zaszlochała. Pomyślał, że ten, kto się waha, przegrywa, po czym odwrócił się do Melisandy. Oczekiwał, że będzie wściekła, spiorunuje go spojrzeniem i zwymyśla. Wyglądała jednak tak, jakby zastrzelił jej ulubionego pieska. Była zupełnie załamana. Przeklął swoją niewyparzoną gębę.

- Chyba zmieniłam zdanie - powiedziała, po czym odrzuciła kołdrę.

Kiedy później wspominał ten wieczór, doszedł do wniosku, że wszystko stało się przez jej palce u stóp. Zapomniał, jakie są urocze i delikatne. Było to absurdalne, bo dotąd nie zwracał uwagi na stopy - kobiety miały zbyt wiele innych interesujących części ciała.

Melisanda wyglądała na wstrząśniętą okrutnymi słowami. Benedick wiedział, że nigdy więcej nie przyjdzie i nigdy nie spojrzy na innego mężczyznę.

Ta myśl okazała się jednak nie do zniesienia.

Westchnął, zamknął drzwi i przekreślił klucz.

- To niedobrze - mruknął. - Bo ja również zmieniłem zdanie.

## Rozdział dwudziesty piąty

Melisanda pomyślała, że jest skończoną kretynką. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w Benedicka Rohana, usiłując zamaskować swoje prawdziwe uczucia. On jednak zbyt dobrze ją znał i wiedział już, że chłodna pewność siebie to tylko fasada, za którą skrywa się wrażliwa kobieca dusza.

Jak mogła zakładać, że bez trudu sobie z nim poradzi i sama przy tym nie ucierpi? Uznała, że Benedick będzie skłonny wziąć ją do łóża, i nawet nie przeszło jej przez myśl, że spotka się ze stanowczą odmową. Ostatecznie, była wdową, nie dziewczyną, więc nie miał powodu się wahać.

Chyba że jej nie pragnął.

Tymczasem wpatrywał się w nią uważnie, niewątpliwie odczytując wszystkie myśli. Usiłowała przywołać na twarz beztroski uśmiech, lecz tym razem nic z tego nie wyszło.

- Zmieniłeś zdanie? - powtórzyła. - Obawiam się, że moja propozycja jest nieaktualna.

Podrzucił w dłoni klucz.

- Przekonaj mnie - wycedził.

Ogarnęła ją bezsilna złość. Melisanda opuściła stopy na podłogę i podkuliła palce. Ogień w kominku wygasł już dawno temu, więc w pokoju panował przenikliwy chłód. Pomyślała, że być może Benedick Rohan lubił sypiać w zimnie, i wyobraziła sobie, jak leży w jego ramionach, tuląc się do mocnego, ciepłego ciała, bezpieczna i odprężona. Niewątpliwie był wytrawnym kochankiem, czego nie kwestionowały nawet doświadczone dziewczęta z jej stadka. Tyle tylko że z pewnością mogły wskazać wielu innych kochanków równie utalentowanych, a mniej groźnych niż Benedick.

Skoro uważała go za groźnego, czemu, na litość boską, w ogóle tutaj przysłała?

Jej odzież pozostała w garderobie, ale Melisanda nie wyobrażała sobie, że mogłaby w takiej chwili wyjść i przebrać się w suknię. Na fotelu przed kominkiem zostawiła pelety oraz cienkie, wieczorowe pantofelki. Jedno i drugie musiało jej wystarczyć.



Przytrzymała się łoża, dotykając zwichniętej kostki. Wstała i ostrożnie pokuśtykała do fotela po pelerynę.

- Zamarzniesz. - Benedick obserwował ją spod zmrużonych powiek.

Nim się zorientowała w jego zamiarach, podbiegł i wziął ją na ręce, a potem położył na łóżku i starannie otulił kołdrą.

- Zostań tutaj, a ja dorzucę do ognia.

Postanowiła odrzucić pościel, lecz bezceremonialnie chwycił ją za ramiona i docisnął do poduszki.

- Pożałujesz, jeśli przyjdzie ci do głowy wstawać - mruknął niskim głosem.

W jego tonie pobrzmiwała ledwie zawoalowana erotyczna groźba - Melisanda nie była aż tak naiwna, żeby jej nie usłyszeć. Inna sprawa, że wszystko, co wiązało się z Benedickiem Rohanem, miało sypialniany wydźwięk. Mówił krótkimi, urywanymi zdaniami, a jego ciemnozielone oczy spoglądały wymownie. Nagle ją puścił, odwrócił się i podszedł do kominka. Patrzyła ze zdumieniem, jak sprawnie układa stertę szczap. Najwyraźniej miał wprawę w wykonywaniu codziennych, banalnych czynności, z którymi większość mężczyzn raczej nie dałaby sobie rady. Wkrótce zapłonął ogień i po pokoju rozeszło się przyjemne ciepło,

Benedick pokiwał głową, z satysfakcją wpatrując się w buchające płomienie. W ich rozmigotanym świetle jego twarz wyglądała niesamowicie, na wpół szatańsko. Powoli skierował wzrok na Melisandę.

- Na litość boską, co ci przyszło do głowy, że na pierwszą próbę uwiedzenia mężczyzny włożyłaś akurat tę nocną koszulę? - spytał leniwie. - A twoje włosy...

- Nie podobają ci się? - spytała urażona. - Właśnie tak chodzę spać. Pokojówka upina mi włosy, żeby się nie poplątały. Wiem, że dziewczęta swobodnych obyczajów noszą przejrzyste wdzianka, ale ja nie mam niczego takiego. Większość kobiet sypia właśnie w takich koszulach.

- Ale na pewno żadna z nich nie ubiera się tak dla kochanka - zauważył. - Jeśli nosiłaś tę koszulę dla Wilfreda, to nie dziwota, że się okazał sromotnym rozczarowaniem.

Melisanda mimowolnie się wzdrygnęła. Naturalnie, brała pod uwagę ewentualność, że jej brak urody i kobiecych wdzięków był przyczyną niepowodzenia z Wilfre-

dem. Co prawda nie zwierzała się ze swoich wątpliwości ani Emmie, ani stadku, jednak wszystkie dziewczęta zgodnie podkreślały, że mężczyźni najbardziej potrzebują do szczęścia nagiej i chętnej partnerki. Może nie była całkiem naga, ale z pewnością skora do uciech - przecież pozwalała Wilfredowi robić wszystko, na co miał ochotę, choć jego zachcianki były ohydne. Nie rozumiała tylko, dlaczego perspektywa igraszek z Rohanem nie wydaje się jej ani trochę obrzydliwa. Po raz pierwszy myślała o zbliżeniu z mężczyzną i nie robiło jej się słabo, więc postanowiła skorzystać z tego względnego entuzjazmu. Nie mogła przewidzieć, że spotka się ze zdecydowaną odmową.

- Jestem pewna, że sama ponoszę winę za nieprzyjemne doświadczenia z Wilfredem - oświadczyła chłodno. - A ty dobitnie dałeś mi do zrozumienia, że nie jesteś mną zainteresowany. Tyle tylko że jestem zbyt zadurzona, aby słuchać. - Na litość boską, dlaczego użyła tego słowa? Westchnęła w duchu, licząc na to, że Benedick nie zwróci na nie uwagi. - Wytknąłeś mi błędy w postępowaniu i zapewniam cię, że już nigdy nie zasugeruję nic równie niestosownego. A teraz zechciej podać mi pelerynę, bym mogła przestać cię kłopotać.

Powinna się wystraszyć i zatrzeć z obrzydzenia, a tymczasem poczuła przyjemny miły dreszczyk emocji, gdy Benedick ruszył ku niej z wymownym uśmiechem. Wiedziała, że jeśli jej dotknie, będzie zgubiona.

Ale przecież właśnie tego chciała, czyż nie? Tak przynajmniej sądziła kilka godzin temu, gdy przyszedł jej do głowy ten nedorzeczny pomysł. Co oczywiste, teraz straciła pewność siebie.

- Nie sądzę... - zaczęła, ale umilkła, gdy sięgnął po jej warkocz, rozplątał wstążkę i delikatnie rozpuścił włosy.

Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w złocistobrazowe kosmyki w jego mocnej dłoni. Całym ciałem wyczuwała pieszczotę. Benedick rozpuścił oba jej warkocze, głaszcząc pasemka kciukiem i palcem wskazującym, jakby delektował się delikatnym jedwabiem.

- Naprawdę masz wspaniałe włosy - mruknął chłodnym, zdystansowanym głosem. - To zbrodnia upychać je pod tymi czepkami.

Melisanda nie mogła się poruszyć. Chciała unieść ręce, odepchnąć go, ale była jak zahipnotyzowana i tylko patrzyła mu w oczy. Gdy usiadł na łóżku, materac lekko ugiął się pod jego ciężarem, a ona nerwowo położyła dłonie na pościeli, aby nie stracić równowagi. Benedick zaśmiał się cicho, pochylił i musnął wargami jej usta. Wbrew sobie oddała pocałunek i zamknęła oczy, żeby nie było widać bólu i pragnienia w jej spojrzeniu.

Niech będzie już po wszystkim, pomyślała półprzytomna z oszołomienia, bylebym tylko przetrwała najbliższe pół godziny. To mnie nauczy, że nie jestem stworzona do takich zabaw. Tak czy inaczej, jakoś sobie poradzę.

Pocałował jej zamknięte powieki, a potem drżącą górną wargę, brwi, a na koniec płatek ucha, na którym delikatnie zacisnął zęby. Wyprostowała się, a on cofnął się z rozbawieniem.

- Zadurzona, powiadasz? - spytał kojącym tonem. - To mi powinno ułatwić zadanie.

Wstał, a ona wpadła w chwilową panikę. Zamierzał ją wyrzucić, odprawić pokonaną i upokorzoną, aby już nigdy nie zrobiła podobnego głupstwa...

Zrzucił z siebie frak i niespiesznie rozpiął koszulę, powoli odsłaniając pociemniałą od słońca skórę. Melisanda odetchnęła głęboko. Wilfred był bardzo blady i chudy. Na całym ciele Thomasa rosły siwiejące włosy.

Wcześniej sądziła, że Rohan również jest kościsty, ale była w błędzie. Miał wspinałe mięśnie, od których nie mogła oderwać zafascynowanego wzroku.

Odchrząknęła nerwowo.

- Trudno się dziwić, że mnie pociągasz - zauważyła rzeczowym tonem. - Jesteś nedorzecznie piękny i doskonale o tym wiesz.

Benedick wydawał się rozbawiony.

- Doprawdy? - Popatrzył na nią.

- Jak najbardziej - przytaknęła kwaśno. - Nosisz się jak mężczyzna, który zna swoją wartość i wysoko się ceni. Teraz mogłabym odnieść wrażenie, że jesteś piratem taksującym ofiarę.

Roześmiał się tubalnie, a jego biała koszula opadła na podłogę.

- Iluż to piratów zaliczasz do grona swoich znajomych? - spytał uprzejmym tonem.

Melisanda zamierzała wygłosić jakąś ciętą uwagę, ale widok nagiego męskiego torsu odebrał jej mowę. Dopiero kiedy sięgnął do zapieć przy bryczesach, wydała z siebie przytłumiony okrzyk.

- Nie!

- Nie? - Benedick wydawał się poirytowany. - Moja słodka Samarytanko, jeśli będę zwlekał z pozbyciem się spodni, potem trudno będzie mi je zdjąć. Wszak nie jesteś już dziewicą i widok obnażonego mężczyzny nie powinien cię szokować.

- Nigdy nie widziałam nagiego dżentelmena - wyznała ze skruchą.

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Nic więc dziwnego, że sama nie wiesz, czego chcesz - westchnął. - Twoja inicjacja przebiegła w nader niechlujny sposób.

- Mój mąż był starszym panem - przypomniała mu, usiłując zachować resztki godności. - W dodatku chorym.

- Więc dlaczego za niego wyszłaś?

- Nie miałam nikogo więcej do wyboru - oznajmiła sztywno.

Nawet nie próbował ukrywać zdumienia.

- Nie wierzę ci - mruknął głucho. - Nie wszyscy mężczyźni w Londynie są ślepymi idiotami.

Jego słowa podziałały niczym balsam na jej zbolełą duszę.

- Nie sądzę, by moja ciotka mnie okłamywała. - Popatrzyła na niego smutno. - Nie miałam pieniędzy, byłam zbyt poważna i nikt mnie nie chciał. Uśmiechnęło się do mnie szczęście, gdy zdobyłam sir Thomasa.

- Sir Thomas miał dochód rzędu trzydziestu tysięcy funtów rocznie i mógł utrzymać nie tylko ciebie, ale także twoją ciotkę. Gdyby zainteresował się tobą ktoś o mniej wypchanym portfelu, najpewniej posłałaby go do czarta.

- Wykluczone! - oburzyła się Melisanda.

Benedick usiadł w fotelu przy kominku i ściągnął buty oraz skarpety.

- Nadal jesteś zdumiewająco naiwna - orzekł, rozpierając się wygodnie. - Niewiele brakuje, a zaczniesz się upierać, że cię nie chcę.

To wystarczyło, żeby uniosła głowę.

- Jestem w pełni świadoma, że doświadczasz pewnej reakcji fizycznej na moją bliskość - zaczęła. - Ale wiem również, że byle kto może w taki sposób pobudzić mężczyznę, a zatem to nic nie znaczy.

- Nie jestem taki łatwy, skarbie. - Uśmiechnął się niewesoło. - Moje sypialniane partnerki muszą być przedsiębiorcze i doświadczone. Przy tobie czeka mnie mnóstwo pracy i same kłopoty.

- Więc może otworzysz drzwi? - prychnęła.

- Nie ma mowy. Jesteś warta zachodu - oznajmił cicho, wstał i palcami zgasił świecę przy fotelu, zanim podszedł do łóżka.

- Nie jestem...

- Przestań mówić, Melisando - rozkazał, kładąc dłonie na jej kark i kciukami dotykając brody. - I tak zmarnowaliśmy już zbyt dużo czasu.

Pocałował ją w usta, jednocześnie dociskając kciuki w taki sposób, że musiała rozchylić wargi.

Powinna była się przeciwstawić. Powinna była walczyć, ale tylko uniosła ręce i objęła go za szyję, dostosowując się do niego. Wtedy łagodnie pchnął ją na materac i przyniół swoim ciężarem. Był szokująco blisko, a w dodatku palcami głaskał jej szyję, jednocześnie rozchylając kołnierzyk nocnej koszuli. Musnął wargami jej policzek i zabrał się do rozpinania rzędu drobnych guzików

Nadal skrywała się pod kołdrą, więc odsunął pościel i przyjrzał się uważnie zarysowi ciała Melisandy pod koszulą. Ciepło z kominka rozgrzało już pokój, więc zamknęła oczy, koncentrując się na dotyku ust Benedicka. Gdy dotarł do jej piersi, podskoczyła z przestraszeniem, ale po kilku sekundach ponownie zdołała się odprężyć, ukojona czułymi pieszczotami.

On to robi, pomyślała, naprawdę chce to zrobić... Intensywna przyjemność, wywołana jego dotykiem, niemal graniczyła z bólem. Benedick obserwował Melisandę, bez końca pieszcząc jej biust, a żar rozpływał się po jej ciele.

- Przestań - wyszeptała, przestraszona własną reakcją.

- Nie bądź niemądra, skarbie. To rozkosz i musisz się z nią oswoić. Jest dobra.

Melisanda poruszyła się niespokojnie.

- Nie czuję się komfortowo - wyznała.

- Miłość fizyczna nie musi być komfortowa - odparł z uśmiechem. - Jest gorąca, twarda i bolesna. Nie będzie lepiej, dopóki nie skończymy.

- Więc po co to robimy? - wyszeptała niepewnie, a on znowu się uśmiechnął.

- Bo to jest rozkoszne.

Obnażył jej piersi i pochylił ku nim głowę. Melisanda jęknęła, a wtedy spojrzał jej w oczy.

- Dotknij mnie - zażądał.

Uświadomiła sobie, że leży niczym wylękniona dziewczica, zaciskając dłonie na prześcieradle. Powoli rozluźniła palce i uniosła ręce, aby dotknąć jego ramion. Były twarde jak skała, ciepłe i gładkie. Usatysfakcjonowany posłuszeństwem Melisandy Benedick ponownie opuścił głowę, aby zająć się drugą piersią. Miała ochotę krzyknąć i błagać go, ale milczała, nie wiedząc, czego tak naprawdę pragnie.

- Pora przejść do rzeczy - zakomunikował nagle i wstał, by rozpiąć spodnie.

Ciekawił ją ten widok. Thomas i Wilfred ukrywali przed nią swoje przyrodzenia, jakby były czymś wstydliwym. Tymczasem Benedick zdążył się rozebrać do naga i nie miała już szansy odwrócić wzroku.

Zastygła w podziwieniu. Był wspaniały. Miał szczupły tors i długie nogi, a na jego ciele nie rosło gęste futro, które pokrywało jej męża. Zwróciła uwagę na imponującą erekcję.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Jesteś za duży.

W odpowiedzi tylko się zaśmiał.

- Tak doświadczona kochanka to skarb. - Pokiwał głową. - Dziękuję za komplement. Bez obaw, wszystko do siebie pasuje.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale uciszył ją pocałunkiem. Położył się obok Melisandy i natychmiast zaczął ściągać z niej nocną koszulę.

- Naprawdę tego chcesz? - wyszeptała z nieustającą niepewnością.

- Naprawdę tego chcę - potwierdził, pieszcząc wargami wrażliwą skórę między jej szyją a ramieniem.

Po chwili oboje leżeli zupełnie nagi, a Melisanda zrozumiała, że nie ma już odwrotu. Zabrnęła za daleko. Powinna się bać, ale ta świadomość ją pokrzepiła. Uniosła dłoń i dotknęła jego gęstych włosów, przesuwasjąc palcami po jedwabistych kosmykach. Miała ochotę dotknąć ich ustami, by poczuć ich smak. Benedick całował ją i pieścił, aż w końcu spojrzał jej w oczy.

- Na litość boską, kiedy wreszcie mnie dotkniesz? - spytał zduszonym głosem, a ona zamruwała oczami.

- Przecież nieustannie cię dotykam!

- Mam na myśli mój dragal...

Wziął ją za rękę i przesunął dłonią po torsie. Melisanda zadrżała, gdy po chwili jej palce dotarły do jedwabistej męskości Benedicka. Ogarnięta nagłym wstydem, miała ochotę wyszarpnąć dłoń, ale trzymał ją zbyt mocno. Stanowczym ruchem zacisnął jej palce na swoim penisie i przesunął nimi w górę i w dół.

- Co czujesz? - wyszeptał jej do ucha.

Była tak pochłonięta nieznaną dotąd czynnością, że z trudem skupiła uwagę na czymś innym.

- Trochę się boję - wyznała. - Odrobinę.

- I co jeszcze?

- Jestem niespokojna, ale czegoś pragnę, na coś mam ochotę - wyjawiała, zszokowana własną szczerością.

Pocałował ją.

- To dobrze. Jeszcze coś? - Jednocześnie poruszali dłońmi.

- Chcę więcej.

Puścił jej dłoń, a ona lekko rozluźniła palce i dotknęła opuszkami męskości Benedicka. Był gorący, twardy i wydawał się wręcz tajemniczy. Benedick zadrżał, odsunął się i położył u jej boku.

- Odpręż się, moja Samarytanko - powiedział cicho. - Upewnię się, czy jesteś gotowa.

Położył dłoń na jej brzuchu, a gdy przesunął palce niżej, między jej uda, zadrżała.

- O tak, moja cudowna, z całą pewnością jesteś gotowa - mruknął z aprobatą. - Mam dużo pomysłów, ale obawiam się, że w tej chwili muszę cię posiąść. - Ułożył się na niej. - Przestanę, jeśli cię zaboli - zapowiedział. - Będziemy to robili powoli, a ty mów, jak się czujesz.

Ufała mu, więc tylko skinęła głową, ale nie mogła wykrztusić ani słowa.

- Spokojnie, skarbie. To nie jest sala tortur - wyszeptał, czując jej napięcie.

- Nie mogę. - Mimo ciepła, drżała.

- Pomogę ci się odprężyć - zadeklarował i ponownie pochylił się nad nią.

Melisanda nieco się rozluźniła, a wtedy wbił się w nią jednym stanowczym pchnięciem. Zabolało, ale tak nieznacznie, że ból wydał się jej przyjemnością, więc poruszyła biodrami, aby przyjąć go głębiej.

- Nie sprawiam ci bólu? - zapytał łagodnie.

- Chcę więcej - wydyszała. - Więcej! Proszę...

Znieruchomiał na chwilę, a potem wypełnił ją w całości. Krzyknęła, wyprężając się. Benedick obserwował ją z uwagą, gdy kładł dłonie na jej biodrach, aby ułożyć ją pod odpowiednim kątem. Kochał się z nią spokojnie i powoli, ignorując jej próby pośpieszania go. W końcu poczuła, jak wzbiera w niej rozkosz, i choć z początku opierała się temu doznaniu, w końcu uległa. Przez jej ciało przetoczył się dreszcz, a ona nie mogła i nie chciała go powstrzymać. Nigdy w życiu nie było jej tak cudownie. Oszołomiona poddawała się kolejnym falom ekstazy, aż wreszcie usłyszała stłumiony krzyk Benedicka, który wypełnił ją nasieniem.

Kiedy po chwili rozluźnił żelazny uścisk, Melisanda znieruchomiała na łożu, zdyszana i obolała z rozkoszy. Benedick wycofał się i przetoczył na bok, a ona nagle poczuła przenikliwe zimno. Przeszło jej przez myśl, że to był bardzo zły pomysł. Myliła się, a Benedick miał rację. Za bardzo go pragnęła, a teraz, gdy już go miała, rozstanie wydawało się czymś potwornym.

Nie była pewna, czy utrzyma się na nogach, kiedy wstanie. Słyszała, że mężczyźni zasypiają, zrobiwszy swoje, więc zaczęła się zastanawiać, ile będzie zmuszona czekać, aż usłyszy chrapanie. Nagle, ku jej zaskoczeniu, Benedick wziął ją w ramiona i mocno przytulił.



- Nigdzie nie idziesz - zapowiedział sennie. - Dopiero zaczęliśmy.

Nie próbowała się sprzeciwić. Pragnęła pozostać przy nim tak długo, jak będzie sobie tego życzył. Mogła leżeć w jego ramionach aż do świtu. Chciała robić wszystko, czego od niej zażąda.

Czekając, aż Benedick zaśnie, zamknęła oczy i sama odpłynęła w sen, wyczerpana i nasycona.

TLR

## Rozdział dwudziesty szósty

Benedick leżał na plecach i patrzył w okno, za którym powoli wstawał świt. Był tak wyczerpany, że każdy ruch z jego strony wymagałby nadludzkiego wysiłku, a on wcale nie zamierzał próbować. Odprężył się we własnym łóżku, którego dotąd z nikim nie dzielił, i wsłuchiwał się w oddech śpiącej Melisandy. Zmęczył ją, dokładnie tak, jak to sobie zaplanował. Zabrał ją w miejsca, których nigdy dotąd nie odwiedzała. Wziął ją mocno i szybko, później zaś kochał się z nią z ujmującą czułością i z wyczuciem. Nic dziwnego, że po tylu doznaniach zasnęła w okamgnieniu.

W końcu jednak ostrożnie wyśliznął się z pościeli i przeszedł do garderoby. Tam długo wpatrywał się w przewieszoną przez krzesło suknię Melisandy. Włożył gruby, wełniany szlafrok, zabrał jej rzeczy i wrócił do wychłodzonej sypialni, by ponownie skierować wzrok na kochankę.

Wyglądała jak dziecko, była niewinna i słodka, choć wiedział na pewno, że liczyła sobie co najmniej trzydzieści lat. Nie mógłby się z nią ożenić, nawet gdyby był na tyle szalony, by brać to pod uwagę. W jej przypadku najlepszy czas na rodzenie dzieci już minął, a ponieważ przez dziesięć lat małżeństwa nie zaszła w ciążę, najprawdopodobniej była jałowa. Benedick potrzebował następcy - Melisanda Carstairs nie mogła mu go ofiarować.

Słowem, powinien trzymać się od niej z daleka. Nie była doświadczona w sypialni, nie posiadała żadnych interesujących umiejętności. Musiał nad nią pracować, starał się dostarczyć jej jak najwięcej rozkoszy, choć przywykł do kobiet sprawiających rozkosz jemu. Dlaczego zatem teraz, gdy na nią patrzył, stawał się coraz bardziej podniecony?

Rzucił jej ubranie na kołdrę. Melisanda obudziła się nagle i rozejrzała nieprzytomnie wokół siebie. Uświadomiwszy sobie, że jest całkiem naga, przycisnęła odzież do piersi, aby się okryć.

Na widok Benedicka zmrużyła oczy, a na jej policzkach wykwitły rumieńce.

- Proponuję, byś się ubrała i wróciła do domu, nim wstanie słońce - powiedział głucho.

- Dlaczego?

Przeklęta kobieta! Czyżby nie rozumiała, że ją odprawiał? Chciał, aby włożyła coś na siebie i znikła, bo jeszcze chwila i był gotów zmienić zdanie oraz plany, które opracował z taką starannością.

- Nie chcę, by twoja trzódka wyciągnęła błędne wnioski - odparł.

- Jakiego rodzaju błędne wnioski mogłyby wyciągnąć moje dziewczęta?

Najchętniej by ją udusił. Miał chęć zacisnąć dłonie na jej szyi i jednocześnie całować jej usta.

- Mogłyby uznać, że chodzi o coś więcej niż tylko chwilowe uniesienie z twojej strony i błąd z mojej - zauważył. - Spełniłem obowiązek, wspomogłem cię w edukacji, a teraz jesteś absolutnie wolna i możesz wykorzystać tę wiedzę w bardziej stosowny sposób.

Siedziała nieruchomo, zastanawiając się nad jego słowami. Z jej twarzy nie udało mu się wyczytać żadnych emocji, ale wiedział, że doskonale potrafiła je maskować. Czyżby w jej ciemnoniebieskich oczach czaił się ból? Jeśli tak, to dobrze, gdyż dzięki temu lepiej sobie zapamięta lekcję, której jej udzielił.

- W istocie - powiedziała w końcu. - Czy nauczyłeś mnie już wszystkiego, co wiesz?

Z podziwem pomyślał, że jej riposta była nad wyraz celna.

- Nauczyłem cię tego, co byłeś w stanie pojąć - odrzekł. - Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno. Gdyby istniał choćby cień szansy, że obudzą się we mnie uczucia do ciebie, nie uległbym pokusie. Nieporadność i zapał to interesująca odmiana, przynajmniej od czasu do czasu. Nie przeczę, zabawa była przednia, niemniej preferuję bardziej wyrafinowane przyjemności. Poszukaj sobie ochoczego młodzieńca, który będzie cię wspierał w działalności dobroczynnej, a mnie zostaw w spokoju.

Melisanda tylko zamrugła oczami. Benedick poczuł zdziwienie - jego słowa były rozmyślnie okrutne, a spotkały się z tak znikomą reakcją. Oczekiwał czegoś więcej. Chciał wprawić ją w taką samą konsternację, w jaką ona wprawiła jego. Tymczasem Melisanda tylko mu się przyglądała.

- Rozumiem - powiedziała po chwili. - Czy mógłbyś łaskawie wezwać powóz, którym wrócę do domu? A może wolisz, bym pojechała dorożką?

Nie zamierzał dać się wprawić w zakłopotanie.

- Mój powóz jest do twojej dyspozycji.

- Chciałabym ubrać się na osobności - oznajmiła. - Nie jestem zainteresowana obnażaniem się przy tobie.

- Wierz mi, twoja nagość nie zrobiłaby na mnie żadnego wrażenia - oświadczył, ignorując swoją przeklętą erekcję.

Prawdę powiedziawszy, nie zapanowałby nad sobą, gdyby ponownie zobaczył ją bez ubrania. Uwielbiał kształt jej piersi i miękką, jasną skórę. Na wspomnienie walorów Melisandy poczuł, jak oblewa go zimny pot. Zdążył już odwrócić się do drzwi, kiedy zapytała:

- A co z Niebiańskimi Zastępami?

- Zaufaj mi, trzymam rękę na pulsie - odparł.

- Niestety - powiedziała cicho. - Nie ufam ci.

Przypomniał sobie jej słowa z poprzedniej nocy. Mówiła wtedy, że go wybrała dlatego, iż mu ufa. Dołożył wszelkich starań, aby stracić jej zaufanie.

- Bardzo rozsądnie. - Pokiwał głową. - Niemniej daję ci słowo: w noc pełni księżyca nie dojdzie do żadnych morderstw.

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na niego w milczeniu, z pozoru spokojna i niewzruszona.

- Żegnam, wasza lordowska mość - oznajmiła w końcu.

Chciał zmienić zdanie. Pragnął podejść do niej, ponownie wziąć ją w ramiona i obсыпать pocałunkami, ale tylko skinął głową i wyszedł z pokoju, żeby nie popełnić jeszcze większego błędu niż ten, którego dopuścił się już wcześniej.

Odrzuciła kołdrę i zadrzała. W pokoju panował przenikliwy chłód, bo ogień wygasł i nie było komu rozpalić go na nowo. Melisanda dostrzegła na biuście czerwoną małą linkę i jeszcze jedną na udzie. Zamknęła oczy, wspominając ostatnie godziny.

Po kilku sekundach otworzyła je ponownie, powtarzając w myślach, że jest ulepiona z twardej gliny. Właściwie nie było tego złego, co by na dobre nie wyszło. Wybrała Benedicka Rohana tylko i wyłącznie z jednego powodu - podobno był świetnym kochankiem. Jeśli ostatnia noc mogła w jakikolwiek sposób świadczyć o jego umiejętnościach,

jest stanowczo niedoceniany. Benedick okazał się rewelacyjny! Tak wyśmienity, że choć wciąż dźwięczały w jej uszach okrutne słowa, i tak była gotowa zadać się z nim ponownie, gdyby tylko zechciał.

Teraz już wiedziała, że rozkosze cielesne w istocie są cudowne. O ile wspanialsze muszą być z kimś, kogo się kocha... Teraz mogła spokojnie poszukać dobrego, przyzwoitego mężczyzny, aby za niego wyjść, a nawet, za sprawą cudu, urodzić mu dzieci. Pragnęła zostać matką. Miała już odpowiednią wiedzę o tym, jak ukochany mężczyzna będzie jej dostarczał przyjemności. Musiała szybko dotrzeć do domu, żeby sporządzić notatki na temat tego, co sprawiło jej największą rozkosz. Dzięki temu tak ważne informacje nie wylecą jej z pamięci i będzie mogła poinstruować swojego przyszłego męża...

W pokoju rozległ się dziwny odgłos, jakby łkania. Melisanda rozejrzała się z niepokojem i dopiero moment później uświadomiła sobie, że ów szloch wydobył się z jej własnego gardła. Przełknęła ślinę, jakby w ten sposób mogła stłumić ból. Zachowywała się absurdalnie.

Obmyła się pośpiesznie w misce lodowatej wody i dopiero potem ubrała. Dygotała z zimna, a gdy w końcu stanęła, zwichniętą kostkę przeszył tak silny ból, że niemal upadła. Mimo to z ulgą powitała cierpienie, bo odwracało jej uwagę od tego, o czym wolała nie myśleć.

Jej peleryna leżała na fotelu przy zimnym kominku. Melisanda szybko narzuciła ją na ramiona, a twarz osłoniła kapturem. Sięgnęła po laskę, na której wspierała się podczas chodzenia, i otworzyła drzwi. Obawiała się, że na korytarzu ujrzy Benedicka, a nie była pewna, czy uda się jej utrzymać lodowaty spokój, jeśli stanie z nim twarzą w twarz. Jak miałyby znieść spojrzenie jego ciemnozielonych oczu, chłodne i krytyczne?

Ktoś na nią czekał. Niemal podskoczyła z przerażenia, ale na szczęście rozpoznała majordomusa.

- Lady Carstairs - odezwał się starszy pan łagodnie i nad wyraz uprzejmie. - Powóz czeka. Kazałem go podstawić pod boczne wejście, aby nie musiała pani długo chodzić z chorą kostką.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony. - Zawahała się, ale po sekundzie przypomniała sobie jego imię. - Richmond - dodała, a on uśmiechnął się do niej.

- To dla mnie zaszczyt, lady Carstairs. Czy mogę służyć ramieniem?

Wsparała się na jego rękę, bo choć nie chciała korzystać z jego życzliwości, naprawdę nie miała wyboru. Z dostojną gracją zeszli po schodach, a ból w nodze sprawił, że Melisanda mogła chwilowo nie myśleć o pustce, która zagnieździła się w jej sercu. Wsiadając do powozu Rohana, musiała przygryzać wargę, żeby nie krzyknąć, a na jej czole lśniły kropelki potu. Była głupia - gdyby po prostu została w domu, zgodnie z zaleceniem Rohana, nie doszłoby do tej krępującej sytuacji. Byłaby pogodną ignorantką w sprawach uciech cielesnych i nadal myślałaby o Rohanie jak o irytująco atrakcyjnym cierniu.

Siedziała nieruchomo, gdy powóz pokonywał drogę na King Street. Poleciała woźnicy podjechać od tyłu, gdzie znajdowało się wejście do ogrodu, gdyż wołała nie wdrapywać się po dwunastu marmurowych schodkach do drzwi frontowych. Woźnica bardzo ostrożnie pomógł jej wysiąść, po czym Melisanda pokuśtykała na taras, a następnie przez przeszklone drzwi wśliznęła się do szwalni, która niegdyś była salonem. W domu panowała cisza i spokój.

Powoli przeszła do pustego holu i ciężkim wzrokiem spojrzała na wysokie schody. Nie mogła stawić im czoła. Posnuła się więc do pokoju frontowego, gdzie ona i Emma miały swoje biurka, a następnie osunęła się na szezlong i zamknęła oczy. Poranek był cichy, spokojny i piękny. Miała przed sobą zupełnie nowe życie. Przecież jej mały eksperyment się powiódł - Rohan pozostał nią znudzony, a jednocześnie dostarczył jej wyrafinowanych przyjemności.

W istocie, życie układało się doskonale.

- Panienska płacze? - spytał ktoś cichym, niepewnym głosem.

Z cienia przy kominku wysunęła się dziewczynka, którą Melisanda ledwie rozpoznała przez strumienie łez, zalewające jej oczy. Na dziecięcej buzi Betsey malowała się troska.

Melisanda pociągnęła nosem, gdyż przez moment nie mogła wykrztusić ani słowa. W końcu udało się jej wydobyć głos, który z grubsza można było uznać za neutralny.

- Boli mnie kostka, Betsey - wyjaśniła.

- Aha, panienko.

Betsey wykazywała daleko idący upór w kwestii stosowania form grzecznościowych i Melisanda wiedziała, że musi ją nauczyć, jak zwracać się do ludzi. Określenie „jaśnie pani” było zarezerwowane dla pań utytułowanych, a „panienko” dla zwykłych. Melisanda żadną miarą nie była już panienką, a mimo to Betsey mówiła tak do niej. Zapewne dlatego, że raz w życiu, dawno temu, została dobrze potraktowana przez jakąś pannę.

Melisanda szybko otarła wilgoć z policzków.

- Dlaczego wstałaś tak wcześnie, Betsey?

Dziewczynka podeszła do światła i stało się oczywiste, że również płakała. Melisanda poczuła bolesne ukłucie w sercu.

- Nie mogłam spać, panienko. A jak nie mogę spać, to się chowam w kącie, tutaj. Jak Aileen wróci, od razu mnie tu znajdzie.

Melisanda całą siłą woli powstrzymała łzy. Była całkiem pewna, że Aileen nigdy nie wróci. Bez względu na to, czy została zamordowana przez Niebiańskie Zastępy, czy też po prostu uciekła tam, gdzie nie trzeba tak ciężko pracować, nie należało oczekiwać jej powrotu.

- Powinnaś położyć się do łóżka, dziecko - westchnęła.

- Jaśnie pani też.

Melisanda uśmiechnęła się lekko. Choć raz Betsey zwróciła się do niej jak należy.

- Powiem ci coś - obie pójdziemy teraz do łóżek. Przekażę pani Cadbury wiadomość, że dzisiaj wolno ci dłużej pospać, i rano poczujemy się znacznie lepiej. Czy to dobry pomysł? - zapytała.

Betsey popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

- Chyba nie będę się czuła lepiej, póki nie wróci Aileen. Nie wiem, co zrobię, jak nie wróci do domu.

Ziewnęła szeroko, a Melisanda po raz pierwszy tego ranka miała ochotę się uśmiechnąć.

- Możesz tu zostać tak długo, jak będziesz chciała - zapewniła dziewczynkę. - A jeśli Aileen nie wróci, nadal zostanie ci ponad dwadzieścia kobiet, które będą twoimi starszymi siostrami.

- Ale nie kucharka - orzekła Betsey stanowczo. - Mówi, że się płacę pod nogami. Ona to jest raczej jak mama. Ale podobno wcale nie muszę być taka beznadziejna w kuchni.

Melisanda ponownie się uśmiechnęła.

- To dobrze. Jeśli nauczysz się gotować, łatwo znajdziesz pracę - zauważyła.

- Violet mówi, że pracować jest ciężko, a leżeć na plecach łatwo, ale po mojemu to nieprawda.

- To rzeczywiście nieprawda. Jeśli nie jesteś senna, możesz zejść do kuchni. O tej porze kucharka już nie śpi, bo musi zagnieść ciasto na chleb. Pewnie potrzebna jej pomoc.

- Tak, panienko. - „Jaśnie pani” znowu poszła w zapomnienie, ale Melisanda tylko skinęła głową.

Jeśli Mollie Biscuits otoczyła Betsey opieką, to dziecko będzie miało dobre życie i fach w ręku. Na pewno sobie poradzi.

Zaczekała, aż Betsey odejdzie, a następnie ostrożnie dźwignęła się z szezlonga. Musiała się położyć, a wcześniej umyć, żeby usunąć z ciała smak, dotyk i zapach Benedicka. Była zdecydowana w końcu zamknąć ten rozdział w swoim życiu. Nie miała wyboru, powinna zaufać jego słowu. Kto, jeśli nie on, mógł powstrzymać Niebiańskie Zastępy?

Na razie postanowiła żyć dalej tak, jak dotąd. Pokusa związana z Benedickiem Rohanem należała już do przeszłości. Musiała tylko przetrwać najbliższą dobę, a potem wszystko będzie dobrze.

Zamknęła za sobą drzwi do sypialni i zalała się łzami. Płakała, gdy się myła, płakała, gdy wkładała ubranie do kosza na brudną odzież. Płakała, sięgając po czystą halkę, pończochy i podwiązki, nie przestawała płakać także wtedy, gdy się kładła na wąskim łóżku. A kiedy zamknęła oczy, przypomniła sobie, że leżała z nim na tym samym materacu. To tutaj przywarł do niej, gasząc palcami świecę, aby zapadły kompletne ciemności.

Dopiero wtedy jej głupie łzy przestały spływać po policzkach, ale za to powrócił ból, który chwycił ją za serce i zmusił do milczenia. Przewróciła się na brzuch, wcisnęła



twarz w poduszkę i przez moment zastanawiała się, czy człowiek może sam siebie udusić.

To nie miało znaczenia. Musiała żyć dalej.

W butelce na nocnej szafce nadal znajdowało się laudanum. Tym razem nie wahała się ani przez sekundę. Odląła sobie przepisaną dawkę, wypila ją i zamknęła oczy, czekając, aż przyjdzie zapomnienie i zniknie ból w kostce.

Trwało to stanowczo zbyt długo. W oddali usłyszała głos Emmy, która kogoś wołała. Wszystko jedno, mogły zaczekać. Przez ten jeden dzień nie zamierzała przejmować się nikim, tylko sobą.

TLR

## Rozdział dwudziesty siódmy

Benedick miał mocną głowę. Bywało, że wypijał trzy butelki i nadal prowadził inteligentną rozmowę, po czym wracał do domu bez zataczania się. Umiejętność picia i maskowania skutków upojenia była dla dżentelmena nawet ważniejsza niż sumienne spłacanie karcianych długów. Gdy Benedick miał siedemnaście lat, dowiedział się tej prawdy od ojca, zreformowanego hulaki, co zirytowało jego żonę. Cóż, Charlotte Rohan zawsze była niepokojąco uparta. Zmuszało ją do tego życie - inaczej nie poradziłaby sobie z mężem. Adrian Rohan okazał się wyjątkowym oryginałem, gdyż mimo burzliwej przeszłości był dobrym i kochającym małżonkiem, ku swojemu skrywanemu zakłopotaniu zresztą.

Niedaleko padło jabłko od jabłoni. Nie miało znaczenia, że świat uważał Rohanów za zdemoralizowanych degeneratów - gdy tylko znajdowali swoją bratnią duszę, przeobrażali się w doskonałych mężów. Nawet daleki kuzyn Benedicka, Alistair, jeden z członków-założycieli Niebiańskich Zastępów, wraz z angielską żoną przeprowadził się do Irlandii, by wieść tam przykładne życie, rozmnażając konie, płodząc dzieci i wielbiąc małżonkę.

Dziadek Benedicka, Francis Rohan, był legendarnym hulaką, co trudno sobie wyobrazić, kiedy się wspominało uroczego, starszego pana. Benedick go uwielbiał. Dziadek nie mógł oderwać ani wzroku, ani rąk od pulchnej babci, ku nieskrywanemu zakłopotaniu ojca Benedicka, który, prawdę powiedziawszy, był taki sam.

Benedick miał szczerzy zamiar kontynuować rodzinne tradycje. Wyszumiał się za młodu, a nawet wziął udział w kilku zebraniach Niebiańskich Zastępów, zanim zakochał się w Annis Duncan. Powinni żyć długo i szczęśliwie, zgodnie ze wzorcem ustalonym przez jego przodków. Wyglądało jednak na to, że na pokoleniu Benedicka ciąży klątwa. Jego najdroższa Annis umarła, a teraz ledwie pamiętał, jak wyglądała.

Drugie podejście do małżeństwa zakończyło się kompletną klęską, co potwierdzało jego podejrzenia, że szczęście Rohanów w końcu wygasło. Jego brat Charles poślubił kobietę zarozumiałą i ograniczoną, Brandon był bliski ruiny i przedwczesnej śmierci, a

Miranda wyszła za porywacza i króla złodziei, na litość boską! Jakby tego było mało, miała czelność cieszyć się z tego faktu.

Rozparł się w fotelu i z goryczą wpatrywał w butelkę brandy. Pił w miarowym tempie, aby wykorzenić prześladowające go myśli. Wolał skupić się na rodzinie, niż przywoływać tamto drugie, okropne wspomnienie, które zżerało mu żołądek, serce i duszę. O ile miał serce i duszę, co wcale nie wydawało się takie oczywiste. Sięgnął po butelkę, która wysliznęła mu się z dłoni. Chwycił ją w ostatniej chwili, a ponieważ rozlał więcej, niż nalał do kieliszka, doszedł do wniosku, że lepiej będzie w ogóle zrezygnować z następnej kolejki i dzięki temu zaoszczędzić służbie kłopotu ze sprząaniem.

Właściwie nie miał pojęcia, dlaczego przejmował się służącymi, ale wyczuwał w tym wpływ matki. W takich chwilach żałował, że nie trafiła się mu jakaś zdystansowana rodzicielka, która nigdy nie widywała dzieci, a ich wychowanie powierzyła wykwalifikowanym nianiom. Wtedy nie trapiłyby go jakieś idiotyczne problemy, takie jak troska o uczciwe traktowanie służby, odpowiedzialność za rodzeństwo i ogólnie przyzwoite zachowanie.

Poza tym nie wychodziłby z siebie, żeby zapomnieć o niegodziwych słowach, które wypowiedział. Doskonale zdawał sobie sprawę, że potrafi być wrednym sukinsynem i dowiódł tego wczesnym rankiem. Jego podły, podskórny demon uwolnił się z więzów i ruszył do natarcia, tnąc i rąbiąc niczym średniowieczny wojownik, aby na koniec pozostawić swoją ofiarę na ziemi, bez czucia, w kałuży krwi.

Tyle tylko że wcale nie był średniowiecznym wojownikiem, a jego orężem okazały się słowa, nie maczuga i miecz. Słowa kłamliwe, którymi zadał ból delikatnej kobiecie. W jednej chwili kochał się z nią, w następnej niszczył ją tak skrupulatnie, by już nie zdołała się pozbierać.

Nadal miał przed oczami jej twarz, spokojną i niewzruszoną, ze smutkiem ukrytym głęboko w ciemnoniebieskich oczach. Jak mógł to zrobić? Jak mógł dotrzeć do samego serca Samarytanki Carstairs i zatruć jej duszę?

Uświadomił sobie, że mimo wszystko opróżnił kieliszek. Ponieważ obraz Melisandy nie zniknął mu sprzed oczu, chwycił butelkę i pociągnął spory łyk. Postanowił, że w następnej kolejności uraczy się z acną, szkocką whisky. Ona powinna podzielać jeszcze

lepiej niż francuska brandy. Szkoda, że Anglicy nie potrafili stworzyć czegoś, co równie skutecznie ścinało człowieka z nóg.

Właściwie mógłby poprosić brata o adres palarni opium, w której bywał. W tej chwili był gotów uczynić wszystko, byle tylko zapomnieć o tym, co uczynił. Brandon jednak znikł i nic nie wskazywało na to, że powróci - przynajmniej do czasu, gdy jego piekielna organizacja nie straci nad nim władzy. Opium nadal będzie władało duszą Brandona, lecz Benedick był gotów pomóc bratu uporać się z nałogiem, gdy nadejdzie czas.

Zaklął dosadnie, bo dręczyło go nieznośne podejrzenie, że nie zdoła ocalić brata, który wpadł w spiralę samozagłady. Tak samo nie potrafił przecież zapobiec katastrofalnemu małżeństwu siostry.

Wypił następny łyk i z radością powitał narastający szum w głowie. Było coś jeszcze, coś, o czym chciał zapomnieć, i miało to związek z Melisandą. Pomyślał, że to piękne imię, choć wcześniej mu się nie podobało... Nie tylko jej imię było cudowne - także kremowa skóra, idealne piersi, głos i zachowanie w trakcie zbliżenia. Nauczył ją tego, co powinna wiedzieć, a potem dopilnował, by nie chciała skorzystać z nowo nabytej wiedzy.

Dlaczego? Miał wprawę w pozbywaniu się kobiet, które go już nie interesowały. Może na tym polegał problem?

Przecież nie stracił zainteresowania Melisandą. Dostał na jej punkcie obsesji i po jednej nocy rozkoszy wpadł w panikę.

Powinien pić z umiarem, traktować kobiety kulturalnie i nigdy nie okazywać strachu. Jego matka byłaby zdruzgotana, a ojciec spuściłby mu manto. Nie, raczej nie, Benedick za bardzo urósł, żeby z pokorą znieść lanie. Poza tym, ojciec nie cierpiał wymierzać mu kar fizycznych. Rozczarowanie matki byłoby wystarczająco bolesne.

Raz jeszcze ujrzał przed oczami twarz Melisandy, jej miękkie usta, wrażliwe, słodkie i niewinne. Była świętą z King Street, a on ją zdeprawował. Nie powinien czuć się winny, ale co mógł na to poradzić. Nadal pragnął jej ust i ciała. Przecież dopiero zaczął ją edukować, mogli zrobić jeszcze mnóstwo innych rzeczy. Chciał... chciał...

Butelka brandy wysunęła mu się z dłoni, spadła na francuski dywan z Aubusson i potoczyła się w kierunku kominka. Wyciągnął po nią rękę i nagle stracił równowagę. Zakręciło mu się w głowie i upadł, uderzając głową o jakiś twardy przedmiot. Pomyślał oszołomiony, że może w ten sposób wybije sobie z głowy głupie pomysły.

Doszedł do wniosku, że powinien się zdrzemnąć, skoro i tak już leżał. Podłoga była równie dobrym miejscem, jak każde inne. Zdaje się, że nie wziął Melisandy na dywanie, prawda? Szkoda, bo miał na to chętkę.

Psiakrew, ciągle go nawiedzała. Usiłował sięgnąć po butelkę, ale odtoczyła się zbyt daleko. Nagle poczuł coś ciepłego i lepkiego na głowie. Uniósł dłoń, potarł nią włosy i spojrzał na palce.

Krew. Nie lubił krwi. Także pod tym względem nie był idealnym dżentelmenem, gdyż w zasadzie nie cierpiał jej widoku.

To była jego ostatnia myśl, zanim stracił przytomność na podłodze biblioteki.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Miranda de Malheur, hrabina Rochdale, pisnęła ze zgrozą, wbiegła do pokoju i padła na kolana przy nieprzytomnym najstarszym bracie. Nieszczęśnik leżał w ogromnej kałuży krwi. Bez wahania otoczyła go ramionami, przerażona, że znalazła trupa. W tej samej sekundzie jednak rozległo się donośne chrapanie i Miranda poczuła wyraźny smród nadtrawionej brandy. Dźwignęła się z klęczek, z irytacją ukucnęła na piętach i odwróciła głowę do męża.

- Jest pijany jak bela i wygląda na to, że gruchnął się w głowę - oznajmiła rzeczowo. - Krwawi jak zarzynana świnia, dywan jest do wyrzucenia. A ja myślałam, że przyjechaliliśmy tutaj ratować Brandona, a nie Benedicka.

Lucien de Malheur, jej mąż, do niedawna nazywany Skorpionem ze względu na swoje nie całkiem zacne uczynki, wszedł do biblioteki i popatrzył z góry na szwagra.

- Tak padają tytani - mruknął. - Skarbie, brukasz krwią swoją uroczą suknię. Zostaw go mnie. Natura obdarzyła Rohanów nad wyraz mocnymi czaszkami i nie wątpię, że przytrafiały mu się gorsze przykrości. Bardziej ucierpi z powodu kaca niż tej ranki na głowie.

Miranda ponownie skierowała wzrok na brata, którego zawsze uważała za ostoję solidności i powagi. Strach oraz irytacja walczyły w niej o dominację.

- Jesteś całkiem pewien?

- Bezwzględnie - potwierdził Skorpion. - Idź poszukać tego podstarzałego sługi, niech zbierze kilku krzepkich lokajów, aby przenieść twojego brata do łóżka. Wątpię, byśmy musieli wzywać doktora. Nawet z takiej odległości widać, że rana jest powierzchowna, niemniej przydałoby się go doprowadzić do porządku. Czy twoi bracia mają obyczaj puszczać pawia, gdy przesadzą z trunkami?

- Zwykle nie pijają za dużo. Musiało się zdarzyć coś bardzo złego. Benedick zazwyczaj daje sobie ze wszystkim radę. Nie ma w zwyczaju kapitulować i urzynać się do nieprzytomności. Sytuacja musi być naprawdę poważna.

- Nigdy nie jest aż tak źle, jak się wydaje. Właśnie dlatego tutaj jesteśmy, kochanie. Doszły mnie słuchy, że w tę sobotę Niebiańskie Zastępy organizują spotkanie w

Kencie. Jak twierdzi Salfield, po niedawnej reorganizacji Zastępy w niczym nie przypominają nieszkodliwej instytucji, którą zachowałem w pamięci.

- Nieszkodliwej? - wycedziła Miranda, a jej zielone oczy zapłonęły żądzą odwetu. - Pamiętam pewien bardzo nieprzyjemny wieczór...

- Na Boga, litości! - Lucien wzdrygnął się odruchowo. - Chyba już odpokutowałem za swoje występki, czyż nie?

- Nie - zaprzeczyła przekornie i posłała mu całusa, by następnie odwrócić się do brata. Jego skóra miała normalną barwę, oddychał miarowo, a krwotok niewątpliwie ustał. Mąż Mirandy miał rację. Benedick był pod dobrą datą, jednak przy tym cały i zdrowy. Wstała, przyjęła od męża chustkę i starannie wytarła krew z dłoni. - Ty się nim zajmij, a ja pójdę poszukać Brandona.

- Myślałem, że staruszek wspomniał coś o jego wyprowadzce.

- Nie staruszek, tylko Richmond - poprawiła go. - Wie więcej, niż mówi, zawsze tak było. Dlatego ty dopilnuj, żeby biblioteka nie wyglądała jak jatka, a ja zajmę się drugą sprawą.

Tym razem brandy okazała się wyjątkowo zdradziecka. Nie dość, że Benedick miał jeden napad torsji za drugim i nieustannie prześladowała go wizja Melisandy Carstairs, to jeszcze doświadczał iście piekielnej pogardy szwagra, który podsuwał mu miskę. Benedick nie wyobrażał sobie gorszej kary niż bliskość Skorpiona. Dobrze, że nawet w stanie upojenia doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że ma halucynacje - wiedział, że siostra i jej mąż prawie nigdy nie opuszczają Krainy Jezior, a ten drań na pewno nie ośmieliłby się pokazać swojej pooranej bliznami, brzydkiej twarzy w domu Benedicka.

Zasnął, obudził się, aby raz jeszcze zwymiotować, zażądał brandy, nie dostał ani kieliszka, przywidziało mu się, że widzi szwagra pogrążonego w rozmowie z Richmondem, i znowu zapadł w pijacki sen.

Gdy się ponownie zbudził, świeciło słońce. Benedick nie miał pojęcia, jaki jest dzień. Głowa pękała mu potwornie, miał mdłości, odrętwiałe mięśnie i cały się lepił. Powoli usiadł, rozejrzał się i dotarło do niego, że jest w jednym z pokojów gościnnych. Jak przez mgłę przypominał sobie, że lokaje usiłowali przenieść go na piętro, a potem stoczyli z nim bitwę, gdy nie chciał się położyć w swoim łóżku. Służba mogła mu zmieniać

pościel, ale na pewno nie miała szans zmienić mu wspomnień. Nic mu nie mogło wymazać pamięci, ani ludzie, ani brandy, ani dziura w głowie. Nic.

Ostrożnie pomacał się po zlepionych w strąki włosach. Na czaszce wyrósł gigantyczny guz. Natychmiast pomyślał, że w pełni sobie na to zasłużył, podobnie jak na wizje. Pijackie sny ze śmiertelnym wrogiem w roli głównej były równie przykre, jak powracający widok twarzy Melisandy, tyle tylko że budziły jego wściekłość, a nie rozpacz.

Nagle drzwi się otworzyły. Benedick zamarł, spodziewając się osowiałego Richmonda, który tylko spojrzy na niego z dezaprobatą i zabierze się do porządków. Tymczasem w progu stanął Lucien de Malheur.

Benedick nie wahał się ani sekundy. Z miejsca natarł na szwagra, powalił go i z zapalem zaczął okładać pięściami. Skorpion był jednak silnym mężczyzną, pomimo chromej nogi, a Benedickowi doskwierał kac stulecia, więc potyczka rychło dobiegła końca. Po zaledwie kilku sekundach Benedick zwinął się z bólu w kłębek, ciężko dysząc, a hrabia de Malheur wstał, z wyższością otrzepując spodnie.

- Ty wredna szumowino - wydyszał Benedick. - Walczysz jak uliczny szczur.

- Naturalnie, że tak - odparł spokojnie Lucien.

Benedick nic nie powiedział, próbując złapać oddech i zastanawiając się, czy w tym momencie jego plan spłodzenia potomka nie legł w gruzach. Nagle zdał sobie sprawę, że w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze.

- Co mu zrobiłeś? - rozległ się oschły głos jego siostry.

- Tylko to, na co zasłużył. Uznał, że pora pomścić twój honor.

- Za późno - oznajmiła Miranda radośnie, pochylając się nad Benedickiem. Pachniała cytryną i przyprawami, jak zawsze. Mimo bólu i furii poczuł przypływ ciepłych uczuć. - Nie powinieneś był atakować Luciena, Benedick. On nie ma skrupułów.

- Pamiętam - wyrzeźił Benedick. Zaczynał ponownie normalnie oddychać i uznał, że ignorowanie Malheura to najlepsze, co mógł chwilowo zrobić. - Skąd się tu wzięłaś, Mirando? Dobrze się czujesz?

- Znakomicie. - Położyła rękę na wystającym brzuchu.

Benedick wbił w nią osłupiałe spojrzenie.



- Na litość boską, znowu jesteś przy nadziei? Które to dziecko? Dwudzieste siódme? - Nagle przyszła mu do głowy okropna myśl. - Nie ma ich tutaj, prawda? Bo chociaż uwielbiam twoje potomstwo, to nie jest najlepszy czas na wizyty towarzyskie. Dzieją się teraz różne rzeczy...

- To moje szóste dziecko, a piątka została w domu, wraz nianią - przerwała mu Miranda. - To nie jest wizyta towarzyska, mój drogi. Wraz z Lucieniem przybyłam tu nie bez powodu. Chwilowo musisz schować dumę do kieszeni i jakoś nas znieść.

W tym momencie nie mógł się ruszyć, więc tylko jęknął bez przekonania. Postanowił, że gdy już stanie na nogi, znów zaatakuje Skorpiona.

- Z jakiego powodu? - Nagle przeszył go nagły strach. - Ojciec i matka... Wszystko z nimi w porządku?

- Jak najbardziej, o ile mi wiadomo. Dobrze, że nadal bawią w Egipcie i nie widzą, jak robisz z siebie pośmiewisko.

- Po to tutaj przyjechałaś? Żeby ciosać mi kołki na głowie?

- Ależ skąd - zaprzeczyła gorąco. - Jesteśmy tu, bo chcemy powstrzymać Brandona, nim zniszczy sobie życie. Chyba zapomniałeś o jego istnieniu, ale Lucien wie z wiarygodnych źródeł, że Niebiańskie Zastępy się...

- Reaktywowały, wiem. - Benedick zdołał w końcu usiąść. - Nie musiałaś jechać taki szmat drogi i narażać mnie na bliskość swojego małżonka, żeby mnie o tym poinformować. Trzymam rękę na pulsie.

- Tak? Nie wygląda mi na to. - W jej głosie pobrzmiwało powątpiewanie. - A gdzie teraz jest Brandon? Richmond mówi, że wyprowadził się parę dni temu i od tego czasu go nie widzieliście.

- Znajdę go - warknął Benedick i zmrużył oczy, gdy ujrzał, że Lucien na niego patrzy.

- Pytanie tylko, czy znajdziesz go na czas - zauważył uprzejmie Skorpion. - Czy też zaczniesz go szukać już po tym, jak zamorduje niewinną kobietę i przekreśli swoją przyszłość.

- Dlaczego miałyby mordować niewinną kobietę? - wycedził Benedick. - Nadal uważam, że te pogłoski o ofierze z dziewicy są wyssane z palca, chociaż obiecałem, że to

sprawdę. Nigdy nie sądziłem, że jesteście na tyle łatwowierni, aby z Krainy Jezior pędzić tu co koń wyskoczy.

- To nie są pogłoski, Neddie - powiedziała cicho Miranda. - Lucien zna pewnych ludzi. Jego informatorzy się nie mylą. W noc pełni Zastępy planują jakiś odrażający rytuał z udziałem niewinnej dziewczyny. Nasz brat został wybrany na oprawcę, a nieustannie trwa w stanie tak głębokiego upojenia po alkoholu i opium, że opuścił go zdrowy rozsądek.

- Dlaczego właśnie on został wybrany? - spytał Benedick.

- Nikt nie wie, kto tym wszystkim kieruje, kto wybrał Brandona i dlaczego - odparł Lucien. - Ale moje źródła są nieomyłne. Jeśli nie znajdziemy Brandona przed jutrzejszą nocą, będzie za późno. Nie mamy pojęcia, gdzie szykowane jest spotkanie i czy...

- I tu się mylisz - przerwał mu Benedick. - Dobrze wiem, gdzie się spotkają, a jeśli nie znajdziemy Brandona zawczasu, chyba zdołam tam się dostać i powstrzymać ich osobiście.

Wstał niepewnie. Kac oraz ostatni cios sprawiły, że kręciło mu się w głowie. Zerknął na Malheura, zastanawiając się, czy go zaatakować, ale między nimi stała Miranda. W takiej sytuacji Benedick uznał, że jeszcze poczeka na stosowną chwilę, aby zetrzeć z twarzy znienawidzonego szwagra szyderyczy uśmiešek.

- A jeśli znajdziemy Brandona? Będziesz stał obok i czekał, aż zaszlachtuje jakąś Bogu ducha winną młódkę? - chciała wiedzieć jego siostra.

- Każdego dnia giną niewinne istoty, Mirando - odparł Benedick. - Ja nie jestem za to odpowiedzialny.

- Będziesz, skoro o tym wiesz. - Zmrużyła oczy. - Co się z tobą dzieje, Neddie?

Zakochałem się, pomyślał ze smutkiem i nagle zamarł.

Skąd wzięły się te słowa? Na szczęście nie wypowiedział ich głośno.

- Myślę praktycznie - oznajmił i odwrócił wzrok.

Nie wiedzieć czemu, rozczarowanie w oczach siostry było dla niego wyjątkowo bolesne.

Pomyślał z goryczą, że staje się specjalistą od rozczarowywania kobiet. Może naprawdę zasłużył na jakąś zimnokrwistą wiedźmę pokroju Dorothei Pennington.

- Panna Dorothea Pennington przybyła na spotkanie z panem - oznajmił Richmond od drzwi, niczym głos zza grobu.

Benedick odgarnął włosy z twarzy i skrzywił się, gdy jego dłoń natrafiła na ranę.

- Powiedz jej, że zaraz przyjdę.

- Dorothea Pennington? - przeraziła się Miranda. - Co, na Boga, ta niegodziwa kobieta ma wspólnego z tobą? Myślałam, że jesteś... w związku z lady Carstairs.

Miał ochotę odwrócić się i warknąć coś wrogo, ale zdołał zapanować nad sobą. Powiedział jednak coś, co musiało nią wstrząsnąć.

- Wasze źródła nie są jednak tak wiarygodne, jak wam się wydaje. Naturalnie, zamierzam poślubić pannę Pennington.

TLR

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Zanim Benedick zdążył się pośpiesznie umyć i zmienić zniszczone ubranie, panna Pennington sporo się naczekała. Miranda odmówiła zabawiania gościa pod nieobecność brata, więc Benedick wysłał do salonu Richmonda z ciastkami i herbatą, podczas gdy sam rozebrał się, umył, przebrał i z przerażeniem popatrzył na siebie w lustrze.

Rana nad brwią była dziwnie niewielka i niespecjalnie odciągała uwagę od jego przekrwionych oczu i worów pod nimi. Powinien był się ogolić, ale nie miał na to czasu. Zwykle zajmował się tym Richmond, więc gdyby Benedick zabrał się do tego sam, najprawdopodobniej poderżnąłby sobie gardło.

Co właściwie nie byłoby takie złe.

Cóż, pomyślał, jeśli będą małżeństwem, panna Pennington nie raz zobaczy go z zarostem, choćby w łóżku. Wzdrygnął się odruchowo i zatrzymał przed drzwiami do błękitnego salonu. Nie powinien był kazać Richmondowi wprowadzić gościa właśnie tam. Zbyt dużo czasu spędził w tym pomieszczeniu z Samarytanką Carstairs. Z drugiej strony zapowiadało się na to, że swoją sypialnię również będzie dzielić z panną Pennington - tę samą sypialnię, którą dzielił z Melisanda.

Wyprostował się i otworzył drzwi.

Panna Pennington siedziała przy ogniu, sztywna, jakby połknęła kij. Dłonie w rękawiczkach trzymała złożone na kolanach, zaś z jej oblicza można było wyczytać zniecierpliwienie. Benedick uświadomił sobie ze zdumieniem, że to całkiem urodziwa osoba. Miała odpowiednio sklepione kości policzkowe, jasną skórę, symetryczne rysy, szeroko rozstawione oczy i urocze usta. Gdyby nie była taka zacięta i wiecznie niezadowolona, zapewne uważano by ją za piękność. Pomyślał, że być może jemu uda się ją ułagodzić.

Odwróciła się, by na niego spojrzeć, po czym wstała. W jej oczach ujrzął dezaprobatę.

- Nie wygląda pan na kogoś gotowego do podejmowania gości, lordzie Rohan - oznajmiła.

- W istocie, śpieszę prosić panią o wybaczenie. - Pochylił głowę. - Wiem, że kazałem pani zbyt długo czekać i mam nadzieję, że wybaczy mi pani moje niestosowne przygotowanie.

Panna Pennington nie wyglądała na osobę specjalnie miłosierną, ale uśmiechnęła się mechanicznie.

- Naturalnie, wasza lordowska mość. - Znowu usiadła, dzięki czemu i on mógł zająć miejsce.

- Czemu zawdzięczam tę niezwykłą i niespodziewaną przyjemność, panno Pennington? - zapytał.

Nie miał pojęcia, czy to z powodu kaca, czy też uderzenia w głowę, ale zupełnie nie pamiętał, z jakiego powodu się tu zjawiała.

- To bardzo śmiało z mojej strony, wiem, ale od jakiegoś czasu pana nie widuję, to też byłem bardzo przejęta - odparła. - Postanowiłam więc upewnić się, że pozostaje pan w dobrym zdrowiu.

Miał nadzieję, że nie dostrzegła jego wyrazu twarzy. Zachowywała się jak pies myśliwski, który szuka ofiary. Z tą tylko różnicą, że Benedick lubił psy, za panną Pennington zaś nie przepadał.

- W całkiem dobrym, panno Pennington. Proszę o wybaczenie, musiałem zająć się palącą sprawą rodzinną. - Powiódł wzrokiem dookoła, rozpaczliwie pragnąc zmienić temat. - Nawet nie tknęła pani herbaty ani ciasteczek. Może zadzwonię po świeżą.

- Nie, dziękuję, wasza lordowska mość - przerwała mu. - Bardzo nie lubię słodczy i uważam, że spożywanie podwieczorku jest przejawem słabości.

Talerzyk wypełniony był słodkimi ciastkami, które uwielbiała Melisanda. Gdyby znalazła się z nimi sam na sam, zapewne nie pozostawiłaby nawet okruszka. Było coś krzepiącego w kobiecie o tak zdrowym apetycie.

Natychmiast odsunął od siebie tę myśl. Przez Dorotheę Pennington jeszcze bardziej bolała go głowa i doszedł do wniosku, że im szybciej nieproszony gość sobie pójdzie, tym lepiej.

- To prawda - powiedział bez sensu, gdyż oddałby prawą rękę za filiżankę choćby letniej herbaty. - Czym mogę służyć, panno Pennington?

Panna Pennington wydawała mu się jeszcze bardziej sztywna niż przed chwilą.

- Mogę być szczerą, wasza lordowska mość? - zapytała.

- Bardzo bym tego pragnął, droga panno Pennington.

- Myślę, że powinniśmy się pobrać.

Dobrze, że Benedick nie pił herbaty, gdyż pewnie by się zakrztusił. Na szczęście zdołał ukryć szok.

- Co takiego? - wydusił z siebie.

- Wiem, że to bardzo śmiało z mojej strony, ale oboje jesteśmy ludźmi dojrzałymi, a poza tym wykazywał pan pewne... skłonności... ku mnie - wyjaśniła. - Kilka osób dostrzegło ten fakt i jestem absolutnie pewna, że nigdy nie zwracałby pan na mnie takiej uwagi, gdyby nie miał pan czegoś na myśli. Jest pan dżentelmenem i wiem, że będzie się zachowywał jak należy. Nie przyniósłby mi pan wstydu. A pański tytuł, choć powiązany z nazwiskiem, które jest zbrukane w stopniu ekstremalnym, jest na tyle arystokratyczne, że Penningtonowie nie będą się wstydzili tej koneksji. Korzenie mego rodu sięgają czasów Wilhelma Zdobywcy i w kwestiach matrymonialnych możemy dobrać kandydatów z najwyższej półki, ale myślę, że pan i ja będziemy do siebie znakomicie pasowali. Chciałabym wyjść za mąż jesienią, a przygotowanie wystawnego ślubu na miarę Penningtonów zajmuje bardzo dużo czasu. Naprawdę nie mogę sobie pozwolić na cierpliwość. Postanowiłam, że szalenie uproszczę sprawę, jeśli po prostu chwycę byka za rogi, że tak powiem.

Benedick miał tylko nadzieję, że na jego obliczu nie maluje się panika.

- To bardzo rozmyślnie z pani strony - powiedział. - I niezwykle bezpośrednio, panno Pennington. Doceniam pani otwartość.

- Wydawało mi się, że tak będzie. - Na jej drobnych ustach wykwitł uśmiech satysfakcji. Benedick nie ufał kobietom o wąskich wargach. Usta Melisandy były szerokie i pełne. - Uznałam, że katedra Świętego Pawła byłaby logicznym wyborem na ceremonię. Opactwo westminsterskie jest niefortunnie ulokowane. - W jej ustach zabrzmiało to tak, jakby budowniczości świątyni uczynili jej osobisty afront. - Zresztą musielibyśmy czekać aż do wiosny, by znaleźć odpowiedni termin.

- Już pani sprawdziła? - spytał słabym głosem.

- Jestem bardzo skrupulatną kobietą. Jak rozumiem, zostawi pan te detale mojej decyzji? Znakomicie sobie z nimi poradzę.

- W to nie wątpię - odparł.

Nie mógł już wytrzymać, więc sięgnął po imbryk. Zimna herbata była lepsza niż żadna. Panna Pennington popatrzyła na niego z dezaprobatą i wyjęła mu imbryk z ręki.

- Jeśli potrzebuje pan odświeżającego napoju, zadzwonię po czystą wodę - oznajmiła. - Pańska służba nie jest szczególnie starannie dobrana. Starzec, który wprowadził mnie tutaj, dawno przestał nadawać się do tej pracy. Powinno się zastąpić go kimś młodszym.

- To by złamało serce temu starcowi - zauważył.

Po raz pierwszy wydawała się szczerze zdumiona.

- Czy istnieje jakiś szczególny powód, dla którego powinno się brać pod uwagę jego uczucia? - zapytała. - W takich kwestiach trzeba być praktycznym.

- W rzeczy samej - wycedził powoli.

Nie zadzwoniła po wodę i dobrze wiedział, że w żaden sposób nie będzie mógł nałóż sobie herbaty, gdyż panna Pennington z pewnością ponownie wyrwie mu imbryk. Postanowił cierpieć w milczeniu.

- Cieszy mnie, że zgadzamy się pod tym względem. - Wyglądała na niebywale zadowolona z siebie. Przypomniał sobie, że Melisanda jej nie lubiła i nad wyraz trafnie nazywała „złośliwą sekutnicą”. - Skoro już jesteśmy przy tym temacie, powinniśmy też porozumieć się w innych sprawach - kontynuowała sekutnica. - Oczekuję, że pozwoli mi pan prowadzić gospodarstwo domowe. Przez całe życie uczono mnie, jak zarządzać posiadłością dżentelmena, a rozmiar pańskiej nie jest dla mnie żadnym wyzwaniem.

Tymi kilkoma słowami zbagatelizowała znaczenie jego w istocie imponujących posiadłości.

- Naturalnie oczekuję, że będziemy mieli dzieci i nie będę odmawiała panu dostępu do małżeńskiego łóżka, jednak ma pana reputację rozpustnika. Żadnemu dżentelmenowi nie wolno narażać żony, każąc jej znosić taką rozwiązłość, ale chciałam dać od razu do zrozumienia, że nie życzę sobie pokazów chuci. Będziemy się zbliżali do siebie wyłącznie w nadziei na poczęcie. Myślałam o trójce dzieci, więcej świadczyłoby o złych manie-

rach. Potrzebny będzie dziedzic główny oraz rezerwowi, a także córka, którą mogłabym wychować na swój obraz i podobieństwo.

Chryste Panie, pomyślał Benedick z przerażeniem. Dwie Dorothee Pennington na tym świecie byłyby dramatem. Dwie w jego najbliższej rodzinie byłyby kosmiczną tragedią.

- Nie da się wpłynąć na płeć potomstwa - zaryzykował.

Panna Pennington ściągnęła brwi.

- Wkrótce zrozumie pan, że jestem nad wyraz praktyczną kobietą, wasza lordowska mość, więc proszę nie dyskutować ze mną o sprawach związanych z poczynaniem progenitury. Nasz kraj wymaga korekty i naprawy. Czasy hulactwa to przeszłość.

Szkoda, pomyślał Benedick, ale udał uprzejme zainteresowanie.

- Czy ma pani jeszcze jakieś plany dotyczące naszej wspólnej przyszłości?

- Naturalnie. - Podświadomie oczekiwał, że panna Pennington wyciągnie listę, ale najwyraźniej wyuczyła się lekcji na pamięć. - Ten dom jest nazbyt skromny jak na porządną miejską rezydencję. Świetnie nadaje się dla kawalera, ale niekoniecznie do podejmowania gości. A poza tym nie odpowiada mi adres. Doszłam do wniosku, że dom w pobliżu Grosvenor Square będzie w sam raz.

- W rzeczy samej - mruknął niezobowiązująco Benedick, który uwielbiał swój dom.

- Czekam jeszcze inspekcja pańskich wiejskich włości, ale nie będziemy spędzali w nich zbyt wiele czasu, toteż ich kondycja nie ma większego znaczenia. Jestem mieszczką, wasza lordowska mość, nie lubię wsi ani żadnych form sportu. Mam nadzieję, że pan nie poluje.

- Zdarza mi się... Czasem - przyznał, choć sam nie przepadał za tą rozrywką.

- No to pan przestanie - postanowiła. - I coś jeszcze. Zapewne powinnam załatwić to delikatnie, ale wierzę w konfrontację bez owijania w bawełnę, wobec tego możemy od razu przejść do rzeczy.

- W rzeczy samej - powtórzył uprzejmie.



- Chodzi o pańskich bliskich. Rozumiem, że nadal musi pan zadawać się z rodzicami i choć przeszłość pana ojca jest haniebna, to jednak matka pańska wydaje się nieskazitelna i miała na pana zbawienny wpływ, tak jak ja w przyszłości, mam nadzieję.

Benedick w swojej rozpuście nie dorastał do pięć młodemu hrabiemu Adrianowi Rohan, jednak uznał, że lepiej będzie milczeć, i tylko skinął głową.

- Reszta pańskiej rodziny to jednak zupełnie inna sprawa - ciągnęła panna Pennington. - Nie mam nic do pańskiego brata Charlesa i jego nieciekawej żony, jednak towarzystwo reszty pana rodzeństwa jest, jak by to ująć, niepożądana.

Wynoś się stąd, pomyślał Benedick ze złością, ale uśmiechnął się nieszczercze.

- W rzeczy samej? - powtórzył po raz trzeci.

- Oboje wiemy, że pańska siostra niejedną raz zachowała się nad wyraz niestosownie. - Panna Pennington westchnęła z afektacją. - Jej reputacja legła w gruzach, ale zamiast przenieść się na wieś i spędzić życie wśród ziemiaństwa, panna Rohan postanowiła zostać w Londynie. Sama jej obecność była afrontem dla przyzwoitych kobiet. A potem miała czelność wyjść za mąż za tego straszego człowieka, który jest zwykłym kryminalistą! Przynajmniej obecnie ma dość rozumu, żeby się trzymać z dala od stolicy. Jak rozumiem, płodzą dzieci niczym króliki. Będziemy musieli całkowicie zerwać kontakt z siostrą pana i jej mężem. Nie oczekuje pan chyba, że mogłabym się z nią widywać? Muszę brać pod uwagę swoją reputację.

- Nie uważa pani, że jej reputacja jest na tyle nieskazitelna, by znieść kontakt z moją siostrą? Dziwne, że w ogóle wzięła pani pod uwagę związek ze mną - powiedział spokojnie.

- Długo i intensywnie nad tym myślałam - przyznała szczerze panna Pennington. - Wiem jednak, że jest pan przeciwny wyborowi swojej siostry tak samo jak ja i że będzie pan szczęśliwy, mogąc zerwać z nią relacje.

- A w kwestii mojego brata Brandona? Panna Pennington skrzywiła się, jakby poczęstowano ją czymś niesmacznym.

- No cóż, jak mniemam, przebywa on w mieście, aczkolwiek na szczęście trzyma się na uboczu. To szalenie delikatna sytuacja. Zdaję sobie sprawę, że ten młodzieniec bardzo cierpiał dla swojego kraju, ale nie możemy oczekiwać, że nasi goście będą patrzy-

li na jego deformacje i dobrze się bawili. Naturalnie, możemy podejmować go na wsi, ale pod warunkiem, że nie będziemy zapraszać gości, a nasze dzieci pozostaną w swoich pokojach. Musi pan zrozumieć moje wahanie. Lubię, gdy otacza mnie piękno.

Benedick zastanawiał się przez chwilę, co by się stało, gdyby chwycił za imbryk i wylał jego zawartość na głowę panny Pennington.

- Doskonale panią rozumiem - powiedział.

- No to się zgadzamy - oznajmiła zadowolonym tonem. - Wobec tego wszystko załatwione. Chciałabym dostać pierścioneł, by wszyscy wiedzieli o naszych zaręczynach. Chcę, żeby był on dyskretny, kosztowny i nie nazbyt krzykliwy. Wybrałam już coś u mojego jubilera. Podam panu adres i będzie pan mógł odebrać to jutro.

- Jest pani niezwykle zapobiegliwa, jednak obawiam się, że jutro czekają mnie inne zajęcia. Muszę wyjechać na wieś.

- Chyba nie na to nieszczęsne przyjęcie, na które udaje się mój brat? Nie jestem pewna, czy to pochwalam. Myślę, że w przyszłości winien pan użyć swych wpływów, aby pomóc memu bratu zyskać stanowisko w rządzie. Naturalnie nic, co wymaga prawdziwej pracy, chodzi mi raczej o funkcję towarzyską. Może pan to zrobić, prawda?

- Mogę - odparł.

Czy to zrobię, czy nie, to już zupełnie inna sprawa, dodał w myślach.

- Wobec tego proszę odebrać pierścioneł w przyszłym tygodniu. Już nakazałam sporządzić zawiadomienie i wysłać je do gazet natychmiast po moim powrocie do domu.

Na litość boską, pomyślał z przerażeniem. Musiał działać szybko, bo groziło mu, że lada chwila zwiąże się z najgorszym koszmarem mężczyzny. Dałaby mu dzieci, zostawiła go w spokoju, a jemu by na niej nie zależało. Słowem, osiągnąłby wszystko, czego do niedawna pragnął całym sercem. Teraz jednak marzył tylko o tym, by utopić pannę Pennington w Tamizie.

Panna Pennington jednak przygotowała się już do wyjścia. Wstała i wbiła w Benedicka świdrujący wzrok.

- Możesz mnie pocałować, drogi Rohanie - oznajmiła.

- Jedną chwilkę, panno Pennington - powiedział uprzejmie i ruszył do drzwi, by wysłać Richmonda na poszukiwania.

Sprawa okazała się bardzo prosta, Richmond oraz Miranda stali pod drzwiami. Nie ulegało wątpliwości, że podsłuchiwali. Skorpion siedział na jednym z foteli w holu. Na twarzy Mirandy - malowało się rozbawienie, lecz jednocześnie powątpiewanie, i Benedickowi zrobiło się wstyd. Jego siostra naprawdę myślała, że mógłby wyrzec się jej dla kogoś pokroju Dorothei Pennington.

- Cóż, moja droga - powiedział. - Jesteś gotowa poznać moją narzeczoną?

- Jak rozumiem, ona nie chce mnie widzieć. - Miranda nie ukrywała zdumienia.

- Nieładnie jest podsłuchiwać. Zazwyczaj.

Wpuścił do salonu ciężarną siostrę, po czym podążył za nią, nie zamykając drzwi, aby Richmond i Skorpion mogli obserwować przebieg zdarzeń.

Panna Pennington zamarła, przez co wyglądała jak zdumiony morszczuk.

- Panno Pennington, chyba nie poznała pani jeszcze mojej siostry, lady Rochdale - powiedział Benedick głosem ociekającym słodyczą. - To moja ulubienica wśród rodzeństwa, choć nie zawsze pochwalam jej wybory. Kiedy znów się ożenię, chcę, by została jedną z druhen. Prawdopodobnie będzie w zaawansowanej ciąży, jak to ma w zwyczaju, ale przecież szwaczki potrafią sobie poradzić z takimi niedogodnościami. Jej mąż, naturalnie, będzie mi asystował, choć spodziewam się, że mój młodszy brat Brandon również stanie u mego boku. Zawsze byliśmy sobie bardzo bliscy.

Panna Pennington na przemian otwierała i zamykała usta, a ponieważ nie wydobywał się z nich żaden dźwięk, Benedick postanowił kontynuować.

- Naturalnie, Brandon obecnie popadł w nieprzyjemny nałóg opiumowo-alkoholowy, ale z pewnością uda się nam go podtrzymać, aby nie upadł w trakcie ceremonii. Pani brat należy do Niebiańskich Zastępów, więc wątpię, by jego zachowanie było lepsze niż Brandona. Będą się mogli nawzajem wspierać, nieprawdaż?

Usłyszał za plecami rozbawione parsknięcie Mirandy i nagle uświadomił sobie, jak bardzo brakowało mu jej obecności. Tęsknił za siostrą do tego stopnia, że postanowił tolerować Skorpiona, byle tylko Miranda ponownie uczestniczyła w jego życiu.

Panna Pennington spiorunowała go wzrokiem.

- Obraża mnie pan, wasza lordowska mość - wycedziła. - Jeśli myśli pan, że nie wiem o kontaktach mojego brata z tymi dżentelmenami, to znaczy, że uważa mnie pan za

znacznie głupszą, niż jestem w rzeczywistości. Ich działania są jednak sekretne. Robią wszystko we własnym gronie, a cierpią jedynie ladacznice i wieśniacy.

- Wieśniacy, panno Pennington? - powtórzył. - Dziwnie archaiczny termin. Czy nadal rodzina Penningtonów trzyma chłopów pańszczyźnianych w cumberlandzkiej posiadłości? Och, zapomniałem, że ojciec pani stracił wszystkie rodzinne posiadłości wiele lat temu, czym zmusił panią do małżeństwa dla pieniędzy. Tylko nie przestaje mnie zdumiewać, dlaczego uznała pani akurat mnie za odpowiedniego kandydata.

- Myślałam, że jest pan człowiekiem, który podziela mój system wartości i opinie - oznajmiła przez zaciśnięte usta. - Najwyraźniej bardzo się pomyliłam.

- Owszem, Bogu dzięki - wtrąciła Miranda.

Dorothea Pennington nie raczyła nawet na nią spojrzeć.

- Obawiam się, wasza lordowska mość, że zaręczyny zostają odwołane. - Uniosła dumnie głowę.

- Obawiam się, droga panno Pennington, że nigdy się nie zaręczyliśmy. Jest pani ostatnią osobą, z którą bym się ożenił.

- Żadna przyzwoita kobieta pana nie zechce - syknęła panna Pennington.

- I tu się pani myli. Wkrótce może pani oczekiwać zawiadomienia o moich szczęśliwych zaręczynach.

Właściwie nie był pewien, dlaczego przyszło mu to do głowy. Wypowiedział te słowa wręcz machinalnie.

- Proszę nie wysyłać mi zaproszenia - wycedziła lodowatym tonem.

- Nie wyśle - zapewniła ją Miranda. - Wątpię, by lady Carstairs chciałyby widzieć panią w swoim otoczeniu.

Benedick popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Lady Carstairs? - krzyknęła panna Pennington. - Samarytanko Carstairs? Z nią się pan żeni? Przecież ona musi już mieć ze trzydzieści lat!

Benedick w myślach przeklął swoją siostrę. Przyszło mu do głowy, że i ją powinien utopić w Tamizie.

- Jeszcze nie poprosiłem lady Carstairs o rękę - przyznał.

- Ale na pewno ci ją ofiaruje - zapewniła Miranda. - A to dlatego, że jesteście zakochani. Pani nie zna znaczenia tego słowa, Dorotheo Pennington, i nigdy go pani nie pozna. A teraz proszę odejść. Musimy szykować ślub!

Gdyby doskonale wychowana Dorothea Pennington miała coś pod ręką, zapewne rzuciłaby w Mirandę. Benedick obserwował ją z przerażeniem i rozbawieniem zarazem. Wyszła z salonu i zniecacka usłyszał jej przerażony wrzask, gdy ujrzała oszpeconą bliźniami twarz szwagra, który nadal wypoczywał na fotelu w holu. Benedick poczekał, aż zamkną się drzwi frontowe i dopiero wtedy odwrócił się do Mirandy.

- O co ci, do diabła, chodziło z tym ślubem z Melisandą Carstairs? - spytał. - Z pewnością się z nią nie ożenię.

- Znam cię lepiej, niż myślisz, Neddie. - Uśmiechnęła się szeroko. - Przestań z tym walczyć. Pragniesz jej, czy to mądre, czy nie, i powinieneś ją mieć.

- Nie pasujemy do siebie - odparł sztywno. - Poza tym ona mnie nienawidzi.

- To dobry znak. - Uśmiechnęła się z rozbawieniem, po czym spoważniała. - Ale z twoim życiem miłosnym rozprawimy się później, po znalezieniu Brandona. Masz jakiś pomysł, dokąd mógł się udać?

Benedick postanowił nie ciągnąć tematu ślubu. Od tego wszystkiego bolała go głowa i był pewien, że Dorothea Pennington nie będzie rozsiewała plotek o ewentualnych zaręczynach jej byłego adoratora, gdyż stawiałoby to ją w złym świetle. Miał kilka dni na załatwienie sprawy.

- Znajdźmy Brandona - przytaknął i ruszył do otwartych drzwi.

Lucien de Malheur zamarł na widok Benedicka, jakby oczekiwał kolejnego ataku.

- Teraz cię nie zabiję - poinformował go Benedick. - Musimy znaleźć Brandona.

- Nigdy mnie nie zabijesz - odparł Lucien, a następnie wstał i wziął do ręki laskę o złotej gałce. - Prowadź.

## Rozdział trzydziesty

Melisanda usłyszała najpierw delikatne skrobanie do drzwi sypialni. Postanowiła je zignorować. Był ranek, a ona właśnie się położyła i nie chciała, by ktokolwiek ją budził. Nakryła głowę poduszką, gdy rozległo się głośnie pukanie.

- Otwórz drzwi, Melisando - usłyszała łagodny głos Emmy po drugiej stronie. - Muszę z tobą porozmawiać.

Melisanda nie chciała z nikim rozmawiać. Jej przyjaciółka doskonale wiedziała, dlaczego wróciła do domu tak późno i co wcześniej robiła.

Pukanie stało się bardziej natarczywe i wdarło się do oszołomionego laudanum mózgu Melisandy, która z przekleństwem na ustach przewróciła się na drugi bok. Z pozycji słońca wywnioskowała, że jest wczesny ranek, około szóstej. Nie zaciągnęła zasłon i raziło ją światło. Dlaczego ktoś budził ją o tak pogańskiej porze, skoro przez całą noc nie spała i...

I wróciła do domu dopiero o dziewiątej rano. Przespała cały dzień i całą noc, nie-szczęśliwa i napojona laudanum, a teraz pewnie było o jeden dzień bliżej do pełni. Niech to diabli wezmą!

Emma waliła do drzwi tak mocno, że aż się trzęsły. Melisanda usiadła, jęknęła i wstała z łóżka. Kuśtykając do wejścia, uświadomiła sobie, że bołą ją mięśnie, o których istnieniu nawet nie wiedziała. Postanowiła się nad tym nie zastanawiać. Gdy otwierała drzwi, Emma bębniła w nie obiema pięściami. Patrząc na minę przyjaciółki, Melisanda poczuła, że ściska się jej serce. Stało się coś strasznego. Przeniosła wzrok z Emmy na niekompletnie ubrane stadko i zamrugła oczami.

- Kiedy ostatnio widziałaś Betsey? - zapytała Emma bez tchu.

- Dzisiaj rano - odparła Melisanda.

- Och, Bogu dzięki.

- Tak mi się wydaje - dodała Melisanda szybko. - To znaczy, mam na myśli piątek.

A dziś jest sobota?

Ulga Emmy wyparowała.

- Sobota - potwierdziła z napięciem. Przespałaś całą dobę. Zatem nie widziałaś Betsey od wczorajszego ranka? Gdzie była?

- W bibliotece. Przez chwilę rozmawialiśmy. Mówiła, że tęskni za Aileen, i przejmowała się przyszłością. Powiedziałam jej, że może tu zostać tak długo, jak chce, a potem poszła do kucharki. Pytałaś Mollie Biscuits?

- Jasne, że tak! - Zwyczajowy spokój Emmy zniknął pod wpływem paniki. - Mówiła, że Betsey weszła, pomogła jej przy chlebie, wzięła kilka pasztecików i oznajmiła, że zje je sobie na zewnątrz. Mollie myśli, że poszła do St. James Park, ale nie mamy pewności. Mogła zabrnąć nawet do Green Park albo do Hyde Parku i nie wróciła ani na podwieczorek, ani na kolację, a w jej łóżku nikt nie spał.

- Przecież by nie uciekła - powiedziała Melisanda, próbując zmusić mózg do pracy.

- Oczywiście, że nie - odparła Emma. - To oznacza tylko jedno.

Dziewczęta przysłuchiwały się uważnie. Wiedziały, co musiało się zdarzyć.

- Została porwana. - Melisanda pokiwała głową.

- Nie! - krzyknęła Mollie Biscuits. Po jej pulchnych policzkach spływały łzy. - Tylko nie to małe, biedne dziecko!

- To robota Niebiańskich Zastępów - oznajmiła Violet.

Reszta stadka zaczęła się przekrzykiwać, i to tak głośno, że Melisanda ledwie mogła myśleć.

- Dość! - wrzasnęła Emma, na co wszystkie umilkły. - Jeśli ją zabrali, a nie mamy na to żadnego dowodu, to lady Carstairs ją odzyska. Bardzo ciężko pracowała w tym tygodniu, pomagał jej przy tym wicehrabia Rohan. Mollie, prosimy o imbryk mocnej herbaty i trochę tych ciasteczek, z którymi eksperymentujesz. Violet, weź dziewczęta i idźcie na poszukiwania. Możliwe, że Betsey po prostu się zgubiła i przespała w jakiejś alejce. Często się to jej zdarzało, gdy była młodsza. Biedne dziecko.

- Tak, pani Cadbury - mruknęła Violet. - Betsey jest za duża dla panów, co to lubią młodsze, ale nie dość duża dla tych, co lubią trochę ciała do pomacania.

Wymownie przycisnęła dłoń do obfitego biustu.

- Co to w ogóle znaczy? - zdziwiła się Długa Jane.

- To znaczy, że jest szansa, że nie dzieje się jej krzywda - odparła Sukey. - Z boską pomocą.

- Z boską pomocą - powtórzyło kilka dziewcząt odruchowo i powoli zaczęły się rozchodzić.

Emma wzięła Melisandę pod rękę i zaprowadziła ją z powrotem do sypialni.

- Pomogę ci się ubrać - zapowiedziała. - Nie mamy czasu do stracenia. - Umilkła, żeby na nią popatrzeć. - Chętnie porozmawiałabym o twojej nocy z Rohanem, ale Betsey nie ma już zbyt długo i nie wolno nam tracić ani chwili.

- Nic się nie stało - oznajmiła Melisanda sztywno.

- Boże, daj mi siłę - wymamrotała Emma, zdejmując peniuar z ramion przyjaciółki. - Oczywiście, że się stało. Po prostu nie chcesz o tym rozmawiać, co oznacza, że albo nic mu z tego nie wyszło, albo ci się nie podobało. Cokolwiek to było, pogadamy później.

- Nie ma o czym mówić, przecież wspomniałam, że nic się nie stało - powiedziała Melisanda.

Emma wręczyła jej jedną z wąskich sukni spacerowych, po czym zabrała się do zapinania guzików.

- Czy mogę wobec tego spytać, dlaczego twoje ciało przyozdobione jest tak interesującymi śladami? - Patrzyła wymownie na Melisandę.

Najwyraźniej nasz poczciwy wicehrabia Rohan lubi znakować swoje partnerki, chociaż to dla mnie prawdziwa nowość. Rzecz niezwykła jak na kogoś, kto uważa się za mistrza samokontroli.

Melisanda odruchowo dotknęła piersi, po czym schowała rękę za plecami.

- Nie wiem, o czym mówisz - oświadczyła z uporem w głosie. - Upadłam.

- Naturalnie, że upadłaś - przytaknęła Emma. - A siniak ma akurat rozmiar i kształt ust. Nie widzę śladów zębów, i bardzo dobrze, bo ci, którzy je zostawiają, bywają nieco dziwni.

- Nie mamy czegoś ważniejszego do omówienia? - zapytała Melisanda pośpiesznie.

- Czy ktoś kręcił się tu w pobliżu? Połowa Londynu zna mieszkające tu kobiety, ale Betsey jest niewinna. Nie ma sensu, by ktoś szukał dziewicy w tym domu. Chyba że zmusili Aileen, aby im powiedziała.



- Sama nie wiem - mruknęła Emma ponuro. - Mam bardzo złe przeczucia. Chcesz, żebym wysłała liścik wicehrabiemu czy sama do niego pójdziesz?

Melisanda pośpiesznie opuściła głowę, by Emma nie dostrzegła przerażenia na jej twarzy. Nie mogła iść do Benedicka Rohana, nie chciała go nigdy więcej widzieć. Jasno dał jej do zrozumienia, jak bardzo nią gardzi.

Oznaczało to, że musi znaleźć Betsey na własną rękę.

- Czy dziewczęta skończyły szyć habit? - zapytała.

- Jest w twojej szafie. A zatem uważasz, że Niebiańskie Zastępy naprawdę ją porwały?

- Potrzebują dziewicy na jutro... Na dzisiaj - poprawiła się Melisanda. - To, co z nią robią, przerasta moją wyobraźnię. - Pomyślała, że może Rohan ją zdradził i wyjawiał im wszystko, by odzyskać brata. To było możliwe. - Nie opuścimy Betsey. Pojadę tam, nawet jeśli się mylę.

- A czy ty i wicehrabia Rohan wiecie, gdzie się spotykają?

- Wiemy - odparła zgodnie z prawdą. - Nie pozwolę, by coś stało się Betsey.

Podeszła do szafy, sięgnęła po brązowy habit i kulejąc, ruszyła ku drzwiom.

- Nie możesz udać się w podróż z tą chromą kostką - zauważyła Emma ponieważ. - Wyślę tylko wiadomość...

- Nie! Pod żadnym pozorem nie koresponduj z wicehrabią Rohan. - W głosie Melisandy zabrzmiała panika. Emma zwykle była bardzo spostrzegawcza, jednak troska o Betsey wytrąciła ją z równowagi. - Zostaw to mnie. Nie chcę, by list trafił w nieodpowiednie ręce. A już na pewno nie chcemy, by jego brat wiedział, że jesteśmy na tropie.

Emma zrobiła dziwną minę.

- Jesteś pewna, że jego brat jest powiązany z tymi dewiantami? - zapytała.

- Całkowicie. Zdaniem Benedicka, to znaczy wicehrabiego Rohan, jego brat lubi nadużywać opium i alkoholu. To nic dziwnego, skoro był poważnie ranny na wojnie afgańskiej i musi wydobrzeć. - Popatrzyła Emmie prosto w oczy i skłamała: - Pojadę prosto do Rohanów i tam zadecydujemy, co robić dalej. Możesz na mnie polegać, sprowadzę tu Betsey.

Nawet gdybym miała zginąć, dodała w myślach.

Powoli ruszyła po schodach, a gdy przekonała się, że jej kostka jest rzeczywiście w lepszym stanie, odetchnęła z ulgą. Kiedy dotarła do parteru, czekał już na nią wynajęty powóz, a stadko rozpierchło się w bezowocnych poszukiwaniach Betsey. Emma spoglądała na Melisandę z wyrazem powątpiewania na twarzy.

- Nie chcę wysyłać cię tam samej - oznajmiła. - Ale nie mogę ci towarzyszyć, a panna Mackenzie jest w zbyt podeszłym wieku, by ci w czymkolwiek pomóc. Gdyby nie chodziło o Rohana, miałabym naprawdę bardzo poważne wątpliwości.

Melisanda uśmiechnęła się do niej szeroko.

- Nic mi nie będzie, obiecuję - zapewniła Emmę. - Wszystko jest pod kontrolą.

- A jeśli się mylisz? - Emma podreptała za nią. - Jeśli Betsey wróciłaby cała i zdrowa, jak się z tobą skontaktuję?

- Jeśli Betsey będzie bezpieczna, to doskonale, ale to oznacza, że jakaś niewinna dziewczyna jest w niebezpieczeństwie. Nawet jeśli to obca osoba, nie mogę odwrócić się do niej plecami.

Melisanda pomyślała, że musi się stąd wydostać, zanim Emma zada o jedno pytanie za dużo i uświadomi sobie, że jej przyjaciółka wcale nie ma zamiaru jechać do Rohana.

- Naturalnie, jednak...

- Muszę już jechać, Emmo - przerwała jej Melisanda. - Pamiętaj o swojej obietnicy. Nie ma sensu, byś kontaktowała się z wicehrabią, bo będzie przebywał wraz ze mną poza miastem. Obiecuję, że wrócę, gdy tylko upewnię się, że Niebiańskie Zastępy nie skrzywdzą żadnej niewinnej dziewczyny.

- Wiem, że coś przede mną ukrywasz - oznajmiła Emma ostrym tonem.

- Nie mam czasu wszystkiego ci wyjaśniać! - wykrzyknęła Melisanda. - Porozmawiamy, gdy wrócę.

Kuśtykając po frontowych schodach, dotarła do niewielkiego powozu, który już na nią czekał. Emma pomogła jej wsiąść i podała adres domu Rohana na Bury Street. Melisanda nie miała wyjścia, musiała zaczekać, aż woźnica skręci za róg, i dopiero wtedy zapukała w małe okienko w przedniej ścianie pojazdu.

- Tak, jaśnie pani? - Woźnica odwrócił głowę.

- Obawiam się, że moja przyjaciółka podała panu błędny adres. Proszę, by wywiózł mnie pan z miasta, do wioski Kersley Mill. To tylko parę godzin drogi od Londynu. Otrzyma pan sowitą zapłatę.

Potrząsnęła torebką, do której upchnęła wszystkie pieniądze z domu. Tyle powinno wystarczyć, aby woźnica zgodził się zaczekać przez noc w miejscowej gospodzie.

- Dobrze, jaśnie pani - odparł.

Melisanda usiadła wygodniej i odetchnęła z ulgą.

Przez chwilę dręczyły ją wyrzuty sumienia - w końcu oszukała najlepszą przyjaciółkę. Rohan jasno dał do zrozumienia, że interesuje go wyłącznie uratowanie brata. Jeśli Melisanda chciała zagwarantować bezpieczeństwo Betsey, była zdana na siebie. Nie miało to nic wspólnego z faktem, że sama myśl o stawieniu czoła Benedickowi sprawiała, iż Melisanda zapragnęła zwinąć się w kłębek i zapłakać.

Uniosła jednak dumnie głowę. Była na to zbyt silna. Nie potrzebowała nikogo do pomocy, a już na pewno nie utyskującego cynika, nędznego ścierwojada, zwyrodniałego świniopasa i obleśnego zwyrodnialca pokroju Benedicka Rohana.

Przez dwie godziny, które zajęła jazda do Kersley Hall, Melisanda zdołała wziąć się w garść. Nadal było całkiem wcześnie, mimo to woźnica protestował, nie chcąc pozostawić jej na odludziu, ale sowita opłata rozwiała jego wątpliwości.

Chmury zasnuły słońce, ale było ciepło. Melisanda czekała, aż powóz zniknie jej z oczu, a następnie znalazła niewielki zagajnik, gdzie narzuciła na siebie habit. Niestety, jej halki były zbyt obszerne, więc nie miała wyjścia - sięgnęła pod suknię i rozwiązała tasiemki halek. Po ich zdjęciu habit wyglądał lepiej, ale nadal nie była pewna, czy uważny obserwator nie nabierze podejrzeń. Postanowiła nie dopuścić do tego, by ktokolwiek do niej podszedł.

Podczas pogawędki z Rohanem w trakcie wyprawy do Kersley Hall, Melisanda dowiedziała się, że dawne Niebiańskie Zastępy pozwalały niekiedy na obserwowanie ceremonii. Jeśli uczestnicy mieli na sobie habity z białą wstążką na ramieniu, mogli wmieścić się w tłum, o ile wcześniej złożyli śluby milczenia. Nikt z nimi nie rozmawiał i nie oczekiwał od nich udziału w orgiach. Nie pytała Benedicka, skąd o tym wiedział, ale zapewniał ją, że tak było jakieś czterdzieści lat temu. Mimo że Melisanda wątpiła w jego

słowa, nie miała wyboru - musiała zaryzykować. Przecież nie mogła wziąć udziału w spotkaniu jako Samarytanka Carstairs, czyniąca dobro prawie dziewica. Tylko w przebraniu miała szansę odnaleźć Betsey.

Nazbyt pochopnie uznała, że powróciła do dawnej formy. Zbliżając się do ruin Kersley Hall, w duchu liczyła na to, że nikt nie każe jej biegać. Wtedy wpadłaby w poważne tarapaty.

Omali się nie spóźniła. Sobota nadeszła bardzo szybko, a wraz z nią pełnia księżycyca. Melisanda podejrzewała, że zaplanowana ceremonia nie ma nic wspólnego ze starymi, celtyckimi rytuałami, a za to wiele ze zwyrodniałymi umysłami oprawców.

Ruiny Kersley Hall wyglądały równie posepnie, jak kilka dni wcześniej, kiedy przyjechała tu wraz z Rohanem. Wpadli wtedy na dwóch członków organizacji, więc nie miała żadnej gwarancji, że i tym razem ktoś się tutaj nie kryje. Zauważyła osuwisko, prowadzące do podziemnych tuneli, i miała nadzieję, że członkowie Zastępów uznali, że spowodowały je ulewne deszcze ostatnich dni. W przeciwnym razie mogliby zmienić miejsce ceremonii, co oznaczałoby koniec nadziei dla bezbronnej ofiary.

Narzuciła kaptur na głowę i ruszyła przed siebie, próbując ukryć kuśtykanie. Zazwyczaj doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że ktoś ją obserwuje i na szczęście tym razem nie miała takiego poczucia. Doszła jednak do wniosku, że ostrożności nigdy za wiele. Nie miała szans wejść przez osuwisko, więc postanowiła przedostać się przez opuszczoną mleczarnię.

Szła ostrożnie, wstrzymując oddech, aż znalazła się za budynkiem i zajrzała przez jedno z osmalonych okien. W środku nie dostrzegła żadnych śladów ludzkiej obecności. Jej serce waliło jak młotem, dłonie się pociły i pragnęła tylko jak najszybciej stąd uciec. Nie mogła jednak odwrócić się plecami do kogoś w potrzebie, niezależnie od niebezpieczeństwa.

Przeszła na front budynku, popchnęła drzwi i znalazła się w środku. Mimo że na zewnątrz świeciło słońce, pomieszczenie pogrążone było w półmroku. Gdy jej wzrok się przyzwyczaił, ruszyła ku drzwiom prowadzącym do tuneli.

Nagle zamarła.

Drzwi były starannie zamknięte na wielką kłódkę rozmiarów talerza, która spinała ciężki łańcuch. Tędy nie zdoła zejść do podziemi, co oznaczało, że musi się przedostać do wewnątrz przez osuwisko. Tylko jak miała tego dokonać ze zwichniętą kostką, bez pomocy silnego mężczyzny?

Sięgnęła do drzwi, kiedy usłyszała nad sobą szuranie, zbyt głośne jak na szczury. Zamarła, a włosy prawie stanęły jej dęba. Pomyślała, że to na pewno nikt z członków Niebiańskich Zastępów, bo oni z pewnością by się nie chowali.

Na tyłach pomieszczenia znajdowały się schodki. Zanim zdążyła się rozmyślić, weszła na nie jak najciszej.

Korytarz był ciemny i opuszczony, a drzwi po obu stronach zamknięte na zamki. Z jednego z pomieszczeń sączyło się światło, zupełnie jakby znajdowało się tam okno. Podeszła ostrożnie, wzdrygając się za każdym razem, gdy pod jej stopą zaskrzypiała deska.

W drzwiach zauważyła okratowane okienko bez szyby. Stanęła na palcach, czując ostry ból w kostce. Początkowo nic nie zauważyła poza pryczą, stolikiem i krzesłem, także dziwnie znajomym kłębkim szmat. Z trudem rozpoznała niebieski materiał, z którego były uszyte suknie trzódki.

- Betsey? - wyszeptała Melisanda. - Czy to ty?

Tobolek poruszył się bardzo powoli, a następnie rozplątał i ze środka wyjrzała znajoma postać dziewczynki.

- Panienko? - odezwała się zachrypniętym głosem.

- To ja, Betsey. Wszystko w porządku?

Betsey zerwała się na równe nogi i podbiegła do drzwi.

- Panienska nie powinna tu być. Zamknęli mnie, a tu nie ma wyjścia. To bardzo źli ludzie są, panienska musi uciekać.

Melisanda z frustracją szarpnęła za klamkę.

- A co z oknami? - zapytała. - Czy gdybym ci dała sznur, zdołałabyś po nim zejść?

Betsey pokręciła głową. Była brudna, miała słomę we włosach, umorusaną twarz i siniak na policzku.

- W oknach są kraty - odparła.

Melisanda zakłęła pod nosem, ku podziwowi Betsey, i rozejrzała się wokół. Korytarz był jednak zupełnie pusty, a jej nawet nie przyszło do głowy, żeby wziąć mały, damski pistolet, który nosiła ze sobą podczas wypraw w bardziej niebezpieczne obszary Londynu. Pomyślała, że jest prawdziwą idiotką.

- Muszę znaleźć coś do wyłamania zamka, Betsey. Bądź cierpliwa, kiepsko chodzę. Naprawdę nie chcę zostawiać cię tutaj choćby na jedną chwilę, ale muszę się śpieszyć.

- Nic mi nie będzie, panienko. Siedzę tu już caluśką noc, a oni dają mi jedzenie i idą. Wie panienka, czemu mnie tu trzymają? - Nie jestem ładna jak inne i za stara dla tych, co lubią małe.

Melisanda nawet nie pytała, skąd Betsey wie o takich paskudnych praktykach. W końcu to dziecko latami mieszkało na ulicy i z trudem zdołało zachować niewinność. Pewnie niewiele było rzeczy, których Betsey nie wiedziała.

Z całą pewnością jednak nie słyszała o dziewczętach składanych w ofierze, a Melisanda była ostatnią osobą, która by ją oświeciła w tej materii.

- Nie wiem - odparła. - Ale to bez znaczenia. Wrócę jak najszybciej z pomocą i zabierzemy cię stąd do domu.

Na twarzy Betsey pojawił się wyraz powątpiewania.

- Chyba jednak nie, panienko - powiedziała głucho.

- Nie? Dlaczego? - zapytała zdezorientowana Melisanda.

A potem nagle zapadła ciemność.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

W domu na Bury Street zapanowało coś, co można było w najlepszym razie nazwać zbrojnym rozejmem. Benedick marzył o tym, żeby wykopać szwagra na ulicę, jednak wiązałyby się z tym utrata siostry, a ostatnio nie był w nastroju, aby ferować wyroki i pozbywać się jeszcze jednej kobiety ze swojego życia.

Niewiele mógł zrobić. Jego szwagier miał znajomości w londyńskim półświatku i teraz pomagierzy Luciena krążyli po mieście w poszukiwaniu Brandona. Miranda zajęła bibliotekę i siedziała w niej od dłuższego czasu, sporządzając długie listy. Benedick miał dość rozumu albo za mało odwagi, aby spytać ją, w jakim celu to robi. Podejrzewał, że już planowała jego zaślubiny, i nie miał pojęcia, jak jej przekazać, że Melisanda nie wyszłaby za niego, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na świecie. Miranda zaczęłaby się dopytywać dlaczego, a przecież nie mógł wyznać prawdy.

Pozostało mu jedynie wydobrzeć po kacu. Półgodzinna gorąca kąpiel bardzo pomogła, podobnie jak otwarcie okien w sypialni, by wpuścić ciepły, wiosenny wiatr. Zastanawiał się, czy nie wypić jeszcze odrobiny brandy, ale jego żołądek zbuntował się na samą myśl. Wyglądało na to, że będzie musiał stawić czoło przyszłości całkowicie trzeźwy.

Nie zamierzał poślubić Melisandy. Nawet gdyby go przyjęła, co oczywiście było niemożliwe, nie miał ochoty wiązać się z tak trudną kobietą. Ciągle krążyłaby po mieście, ratując zbłąkane owieczki, a gdyby dowiedziała się o kryminalnych powiązaniach Skorpiona, pewnie usiłowałaby uratować także jego pomocników. Była niebezpieczna, zawsze niezadowolona ze status quo i wciągnęłaby w swoją działalność każdego mężczyznę, który okazałby się na tyle głupi, żeby ją poślubić.

Inna sprawa, że była cudowna, kiedy nie wygłaszała swoich tyrad o potrzebie pomocy. Miała wyjątkowo miękkie usta, kremową skórę i wspaniałe piersi. Nadal po-brzmiewał mu w uszach jej krzyk, kiedy szczytowała wraz z nim... Wciąż czuł pod sobą jej ciało. Gdy zamykał oczy, widział ją na sobie, z odrzuconą do tyłu głową, gdy przeżywała chwile rozkoszy.

Potrzebował kobiety, wszystko jedno jakiej, powtarzał sobie, ale z jakiegoś powodu nie interesowała go żadna inna, odkąd posiadał Samarytanę Carstairs. Teraz jednak, gdy skutecznie ją do siebie zraził, nie powinien mieć kłopotów ze znalezieniem odpowiedniej partnerki.

Kiedy jednak zastanawiał się nad możliwościami, odrzucał jedną po drugiej. Nikt mu nie pasował, żadna dziewczyna nie podniecała go w najmniejszym stopniu. Nawet niezwykle talent Violet Highstreet nie budził w nim pragnienia, za to myśl o delikatnych ustach Melisandy wyraźnie go ekscytowała.

Jego siostra weszła bez pukania, a Benedick pośpiesznie położył sobie książkę na udach, aby bystre oczy Mirandy niczego nie zauważyły.

- Ludzie mają zwyczaj pukać - oznajmił lodowato.

- Wiedziałam, że jesteś ubrany, a poza tym nie jestem „ludźmi”, tylko twoją siostrą.

- Tym gorzej.

Miranda rozsiadła się na łóżku, przez co jej zaokrąglony brzuch wydawał się jeszcze większy.

- Jak ty sobie z tym radzisz? - zapytał Benedick.

- Można się przyzwyczaić - odparła z uśmiechem. - Nie pamiętasz, jak było z Annis? Z lady Barbarą?

- Wolę nie wracać do tamtych chwil. Straciłem dwie żony i dwoje dzieci... Nie są to miłe wspomnienia.

Gdyby Miranda zaczęła okazywać mu litość, pewnie by w nią czymś rzucił. Była na to jednak zbyt praktyczna.

- Cięża to zawsze trudna sprawa - zauważyła. - Niektóre kobiety nie są dość silne. Najwyraźniej ja mam krzepę klaczy rozplodowej.

- Ale przecież nawet klacze rozplodowe czasem tracą życie przy porodzie - powiedział ponuro. - Nie zapominaj, że hoduję konie.

- No to pomyśl o mnie jak o mlecznej krowie, takiej, która rodzi cielęta na polu, nieprzerwanie żując trawę. Inne kobiety też tak potrafią. Właściwie większość kobiet. To, że miałeś pecha, nie oznacza, iż nie powinieneś spróbować ponownie.



- Na wypadek, gdybyś nie słyszała: mam szczerzy zamiar ponownie się ożenić i spłodzić potomka. Dlatego właśnie popełniłem błąd, rozważając związek z Dorotheą Pennington.

- Boże, miej nas w swojej opiece. - Miranda wzdrygnęła się mimowolnie.

- I dlatego nigdy nie brałem pod uwagę Melisandy Carstairs.

- Melisandy? - wykrzyknęła. - Jakie ładne imię!

Benedick tylko prychnął.

- Ma trzydzieści lat - powiedział. - Przez dziesięć lat była mężatką, lecz nie wydała na świat potomka, więc zapewne jest jałowa.

Miranda patrzyła na niego uważnie.

- Wobec tego nie rozumiem, dlaczego aż tak strasznie się tego boisz - oznajmiła w końcu. - Jeśli nie zajdzie w ciążę, nie umrze i nie będziesz musiał przejmować się jej utratą. Możesz ją kochać...

- Ale ja... - Urwał, gdy dotarły do niego jej słowa. Melisanda nie umrze. Nieważne, czy popełnił błąd i ją pokochał. Była bezpłodna, powikłania porodowe na pewno mu jej nie odbiorą. Popatrzył we współczujące oczy siostry. - Myślisz, że tak dobrze mnie znasz? - powiedział z goryczą.

- Znam. Udajesz, że na niczym ci nie zależy, ale w środku jesteś miękki jak ciepła owsianka.

Benedick wykrzywił się z odrazą.

- Masz szczęście, że jesteś w ciąży - westchnął. - Tylko dlatego nie wykopię cię na ulicę, nawet jeśli będziesz dalej wymyślała tego typu porównania.

Miranda nie wydawała się ani trochę przejęta.

- Lucien da nam znać, jeśli czegoś się dowie. Musisz mi o niej opowiedzieć. Dlaczego, na litość boską, nie związałaś się z tobą, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na świecie?

- Nieszczerólnie potrzebuje mężczyzny - wyjaśnił. - Szczerze mówiąc, zdecydowała się na życie w celibacie i poświęciła dobrym uczynkom.

- Zatem nie wydaje się wiele lepsza od Dorothei. Skąd to twoje najnowsze upodobanie do pozbawionych radości kobiet?

- Nie brak jej radości - mruknął. - Po prostu niepotrzebna jest jej pleć przeciwna. Ułożyła sobie życie, ratuje upadłe kobiety, co daje jej satysfakcję i radość.

- A ty sprawiłeś, że zmieniła zdanie?

Benedick odwrócił wzrok.

- Byłem piekielnym głupcem - powiedział. - Na swoją obronę muszę jednak powiedzieć, że to nie była tylko moja wina. Chciała mojej asysty w powstrzymaniu Niebiańskich Zastępów i wiedziała, że Brandon do nich należy.

- Zatem już ją lubię. Co się dalej stało?

- Dokonaliśmy paru odkryć. Okazało się, że w Kersley Hall odbywają się spotkania Zastępów. Poza tym ustaliliśmy personalia kilku członków, choć nadal nie mamy pojęcia, kim jest tajemniczy przywódca. Ten, który popchnął wszystkich w tak ponurym kierunku.

- I tak sporo udało wam się dowiedzieć - zauważyła Miranda. - Co poszło nie tak? - Pomyślał, że za nic w świecie jej tego nie powie.

- Nie twoja sprawa - oznajmił zwięźle.

- Czy ją uwiodłeś? - Popatrzyła na niego uważnie. - Naturalnie, że tak. Benedicku, jak mogłeś być tak okrutny! Jeśli ta kobieta naprawdę nie chciała wychodzić za mąż, powinieneś był dać jej spokój. Chyba że rozpaczliwie się w niej zakochałeś.

- Z całą pewnością nie! I wcale nie zamierzałem... To znaczy wcale nie chciałem...

- Zaplątał się i umilkł, po czym spiorunował siostrę wzrokiem. - Nie będę o tym z tobą rozmawiał.

- Dałeś plamę? Jestem zdumiona. Kiedyś służące i miejscowe dziewczęta szeptały o tobie. Podobno uważa się ciebie za piekielnie zdolnego kochanka. Annis mówiła mi, że...

- Na litość boską - westchnął słabo. - To naprawdę nie wypada.

- A kiedy robiłam to, co wypada? - Znowu się uśmiechnęła. - Więc dałeś plamę, ona uciekła z wrzaskiem przerażenia, a teraz brak ci odwagi, by ponownie spróbować. Dobrze myślę?

- Źle, jak zwykle. Nie „dałem plamy”, jak to delikatnie ujęłaś, ale rankiem... nie byłem uprzejmy. Małżeństwo jest niemożliwe, co jej jasno wyłożyłem...

- Ech, Neddie. Ty i ten twój jadowity język - jęknęła Miranda. - Potrafisz żywcem obdrzeć człowieka ze skóry. Tak bardzo bałeś się ją pokochać, że musiałeś ją skrzywdzić?

Benedick milczał. Miranda naprawdę знаła go dużo lepiej niż on sam siebie. Zamknął oczy.

Cisza się przedłużała. Nagle usłyszał, jak jego siostra zsuwa się z łóżka, robi kilka kroków i bierze go za rękę.

- Usiadłabym koło ciebie na podłodze, tak jak kiedyś, gdy byłam mała - powiedziała cicho. - Ale trudno byłoby mi potem wstać. Ach, Neddie, tak bardzo wszystko pogmatwałeś!

- Tak. - Nawet nie chciało mu się zaprzeczać.

- Możesz to naprawić. - Potrząsnęła lekko jego ręką. - Najpierw jednak musimy ocalić Brandona, a potem zobaczymy, co da się zrobić z tobą. Chcę, żebyś był szczęśliwy, kochanie. Nie potrzebujesz potomka. Wszystkim zajmie się nasz nadęty, stary Charles, a jeśli naprawdę pragniesz dzieci, to mogę ci kilkoro wypożyczyć. Kiedy zechcesz pobawić się z nimi, przywiozę je tutaj z wizytą.

W końcu popatrzył na nią z uśmiechem na ustach.

- Jesteś wcieleniem dobroci - oznajmił z ironią.

- Na mnie twoje sztuczki nie działają. Wiem, że uwielbiasz moje dzieci, a one przepadają za tobą. Czasami tylko dzięki temu upewniałam się, że nie zamieniłeś się w płaza o lodowatym sercu. Naprawimy to, Neddie. Będziesz miał swoje szczęśliwe zakończenie.

Miał ochotę powiedzieć coś sardonicznego, ale przecież Miranda zawsze była odporna na jego cięty język... Poza tym wcale nie pragnął jej ranić.

- Wszystko w swoim czasie - powiedział. - Musimy odnaleźć Brandona.

Wielki Mistrz Niebiańskich Zastępów był z siebie bardzo zadowolony. Naturalnie, nie wszystko ułożyło się tak, jak oczekiwał, ale pomyłki i niebezpieczeństwo dodawały pieprzyku całej sprawie. Kto by się spodziewał, że ta Carstairs będzie tak uparta? Zamknął ją, z dala od dziewczynki wybranej do rytuału, i jak dotąd nikt nie przyszedł jej z

pomocą. Zresztą nawet gdyby ktoś się zjawił, to i tak niczego by nie znalazł. Po zapadnięciu się północnego tunelu zamknięto główne wejście i otwarto inne, ukryte w starej stajni. Mistrz mógł sobie wyobrazić narzekania wiernych, jak lubił o nich myśleć. To go bawiło. Skoro mieli się uwalniać w metaforycznym błocie, to równie dobrze mogli się utylać w starym końskim łajnie.

Już zaczęli się zbierać. Przygotowano pomieszczenie sakralne, wzniesiono ołtarz zdobiony kwieciami, owocami oraz mistycznymi symbolami. Czekwały także pęta oraz tace na krew. Wielki Mistrz trząsał się z ekscytacji. Nigdy dotąd nikogo nie zabił, a perspektywa złożenia w ofierze młodej dziewicy wydawała się niesłychanie przyjemna.

Wiedział, że głupcy, którzy tworzyli Niebiańskie Zastępy, będą zachwyceni. Da im okazję zjednoczyć się w duchu, obmyć w niewinnej krwi, a nawet ją wypić. Był pewien, że uraczywszy się zaprawionym winem, zrobią wszystko, czego zapragnie.

Musiał zabić wścibską lady Carstairs, ale doszedł do wniosku, że będzie improwizować. Zastanawiał się, czy kazać jednemu z wyznawców wbić jej nóż, czy też może sam skreśli jej kark. To też stanowiło część wielkiego planu.

Wszystko było wyjątkowo proste. Mistrz pragnął władzy i o niej marzył. Władza była wszystkim, czego chciał. Dawała pieniądze, rozkosze fizyczne, zaspokajała pragnienie dominacji.

Wiedział, jak ją zdobyć. Jako naoczni świadkowie czynków, które zaplanował na późniejszy wieczór, wszyscy wierni staną się współwinni. Członek Izby Gmin, znany ze swych tyrad piętnujących zdrową działalność gospodarczą nie będzie mógł spojrzeć nikomu w oczy, gdy się przekona, że uczestniczył w rytualnym mordzie, a młody hrabia nie odmówi swojemu duchowemu przywódcy, gdy ten zechce zabawić się z nim w sypialni albo wstąpić do ekskluzywnego klubu. Wystarczyło im tylko zagrozić zdemaskowaniem. Mistrz wiedział, że dzięki szantażowi będzie mieć wszystko, czego zapragnie, i nikt go nie powstrzyma.

Uważał, że wybór Brandona Rohana na kata był przejawem geniuszu. W innych okolicznościach nie mógłby przejąć kontroli nad kimś pokroju Benedicka Rohana. Wicehrabia nie był zainteresowany gierkami Niebiańskich Zastępów i pozostawał odporny

na szantaż, jednak dla swojego młodszego brata zrobiłby wszystko. Na pewno nie stałby z boku, pozwalając na to, aby Brandon Rohan trafił na stryczek za morderstwo.

W rzeczy samej, to wydawało się wyjątkowo proste. Nie trzeba było namawiać Rohana, aby trwał w swoim opiumowym nałogu, zwłaszcza że spożywał też duże ilości alkoholu zaprawionego specjalnie dobranymi substancjami. Sporysz żytni wywoływał błogie lub przerażające wizje, w zależności od usposobienia człowieka, a ich skutki bywały dramatyczne.

Mistrz nie przewidział jednak, że młody Rohan będzie miał w sobie tyle życia, by niemal obrócić wniwecz jego starannie przygotowany plan. Wczorajszego wieczoru Mistrz wyłuszczył mu detale - uczynił to w ostatniej chwili, żeby uniknąć przypadkowych przecieków. Nie spodziewał się trudności, w końcu młody Rohan już wcześniej zabijał. Był żołnierzem, a poza tym krążyły pogłoski o jakimś nieprzyjemnym wojennym incydencie z udziałem miejscowych. Wielki Mistrz nie zdołał dokopać się do szczegółów, ale nie tracił nadziei. Czuł, że prędzej czy później dowie się wszystkiego.

Jednak Brandon Rohan, pijany i otumaniony opium, siedział w fotelu, patrząc tępo na zdobione ostrze, które Wielki Mistrz kazał ukuć specjalnie na tę okazję.

Raz za razem powtarzał stanowcze: „Nie w żadnym razie. Nigdy.” Mówił tonem tak przytomnym, jakby wcale nie był zamroczony.

Wielki Mistrz nie zniechęcał się łatwo, dalej namawiał niechętnego kandydata, aż ten nie zasnął. Kazał więc sługom przewieźć go do palarni opium w najgorszej, wschodniej części miasta, aby nikt go nie znalazł przez co najmniej kilka dni. Pouczył swoich ludzi, żeby wysmarowali krwią ubranie Rohana i ukryli pod nim zakrwawione ostrze. Był na tyle przewidujący, że zamówił dwa ceremonialne noże. Po przebudzeniu się Rohan miał uznać, iż popełnił zbrodnię. Wielki Mistrz żałował jedynie, że nie będzie przy tym obecny i nie ujrzy przerażenia na twarzy Brandona, Niestety, miał inne sprawy na głowie.

Habity członków Niebiańskich Zastępów były identyczne, a kaptury gwarantowały całkowitą anonimowość. Mistrz musiał tylko naśladować kuśtykanie Brandona Rohana, by wszyscy uznali, że to okaleczony bohater wojenny skatował dziewczynę.

Zaplanował to tak dobrze, że sam był zdumiony. Zaśmiał się mimowolnie, po czym błyskawicznie położył dłoń na ustach, aby nikt go nie usłyszał. Jedyne hałas dobiegał z pomieszczenia, w którym tkwiła związana lady Carstairs, co do której miał inne plany...

TLR

## Rozdział trzydziesty drugi

Benedick Rohan pomyślał, że siedzenie i czekanie nie jest ani odrobinę mniej bohaterskie niż szarża bitewna. Uznał je nawet za bardziej bohaterskie. Został bowiem uwięziony w swoim domu wraz ze wścibską, nazbyt bystrą młodszą siostrą i jej godnym pogardy mężem. Samotne jedzenie we własnym pokoju wydało mu się dziecinne, więc nie miał wyjścia. Usiadł przy stole ze Skorpionem oraz kobietą, którą tenże porwał i przymusił do zamążpójścia.

Jedynym sposobem na odpędzenie nudy było oskubanie szwagra z pieniędzy. Choć Lucien de Malheur był wytrawnym hazardzistą, w grze w faraona mało kto mógł pobić członków klanu Rohanów. Miranda niechętnie zgodziła się służyć za bankiera, wyłącznie po to, by powstrzymać męża i brata od rzucenia się sobie do gardeł. Gra była bardzo wyrównana, pewnie dlatego, że mąż Mirandy oszukiwał. Szala zwycięstwa przechylała się raz na jedną, raz na drugą stronę, aż do wczesnych godzin porannych. Benedick znowu wypił zbyt dużo brandy, ale tym razem, kiedy szedł spać, był zbyt zmęczony, aby pragnąć mordy na Skorpionie.

Obudził się bardzo późno, zdumiewająco przytomny. Ubrał się pośpiesznie, a nawet zaryzykował i sam się ogolił, zamiast czekać na Richmonda. Na dole uznał, że nie jest już w stanie dłużej czekać. Postanowił wyruszyć na poszukiwania i niech diabli wezmą konsekwencje.

Lucien siedział przy stole w jadalni, z zatroskanym wyrazem twarzy popijając kawę, a Miranda nerwowo spacerowała od ściany do ściany. Spojrzała na brata z ponurym wyrazem twarzy.

- Znaleźli go! - wykrzyknęła. - W jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi norze. Gdyby nie powiązania Luciena, pewnie tkwiłby tam do przyszłego tygodnia. Nawet nie wiadomo, czyby przeżył.

Benedick poczuł, jak ściska mu się serce.

- Gdzie jest teraz?

- Przywiozą go tutaj. - W głosie Luciena również brzmiała powaga. - Nie jest w najlepszym stanie. Moi ludzie mają rozkaz zachować dyskrecję, więc to trochę zajmie.

- W nie najlepszym stanie? - przerwała mu Miranda. - Lucien, przecież on był w palarni opium! Nieprzytomny! Nikt nie mógł go dobudzić. Miał na sobie zakonny habit i był wymazany krwią. - Znów zaczęła dreptać.

Niedobrze, pomyślał Benedick, ale uznał, że musi podnieść Mirandę na duchu.

- Przynajmniej go znaleźli - zauważył. - To już pierwszy krok. A co do krwi... W istocie, to zły znak. Ale przecież uroczystość zaplanowano na dzisiaj, więc przynajmniej wiemy, że nie będzie brał udziału w tej podłości. Możemy zaweźwać doktora, by się nim zajął...

- Już po niego posłałem - odezwał się ponuro Skorpion. - Jeśli moi informatorzy się nie mylą, a co do ich wiarygodności nie mam wątpliwości. Brandon rzeczywiście jest w okropnym stanie. Przy odrobinie szczęścia lekarz zjawi się tutaj przed przybyciem waszego brata.

- Doktor Tunbridge rzadko przychodzi tak prędko...

- Wezwałem własnego medyka, nie twojego, Rohan - przerwał mu oziębłe Skorpion. Bardziej się nadaje do takich sytuacji. Wątpię, by stary Tunbridge kiedykolwiek widział przypadek zatrucia opium.

Benedick pomyślał, że świat byłby piękniejszy, gdyby ktoś po prostu przyłożył w twarz Lucienowi, i zacisnął pięści. Tyle że to z pewnością nie spodobałoby się Mirandzie, która i tak już znosiła nazbyt dużo stresu jak na kobietę w jej stanie.

- Ani mi się waż - powiedziała, mrużąc oczy, jakby odczytała myśli brata.

- Będę grzeczny. - Benedick podniósł ręce w poddańczym geście. - Mamy dość zmartwień.

Niebawem okazało się, że Skorpion miał rację. Lekarz faktycznie zjawił się przed Brandonem. Przynajmniej nie wyglądał na felczera spod ciemnej gwiazdy, jak się tego spodziewał Benedick. Miranda zajęła się szykowaniem pokoju dla pacjenta, służący biegali po schodach tam i z powrotem, a Benedick usiadł jak najdalej od szwagra, bębnił palcami o blat stołu i czekał.

Uniósł głowę, dopiero gdy usłyszał, że Miranda wróciła do pokoju. Widząc łzy na jej twarzy, Benedick natychmiast spanikował.

- Co się stało? - wykrzyknął. - Czy coś słyszałaś?



- Wrócił, kochanie? - chciał wiedzieć Skorpion.

Miranda skinęła głową.

- Doktor go właśnie bada, ale jest źle, Lucien, bardzo, bardzo źle - odparła. - Ma całe ciało i ubranie we krwi, jakby kogoś zabił, a w dodatku znaleziono przy nim nóż. Wciąż jest nieprzytomny.

- Nawet nie słyszałem, kiedy go przynieśli! - oznajmił Benedick z wściekłością.

- Bo weszli tylnym wejściem - wyjaśnił mu Lucien tonem przeznaczonym dla idiotów. - Jeśli jest zamieszany w morderstwo, musimy być bardzo dyskretni. Chyba że chcesz, aby twojego brata wtrącono do więzienia?

Benedick nawet nie raczył odpowiedzieć na to pytanie.

- Gdy będzie po wszystkim, sukinsynu, w końcu poważnie się rozmówimy - warknął.

Na poranej bliznami twarzy Luciena pojawił się niegodziwy uśmiech.

- Nie mogę się doczekać. Tymczasem może zajmiemy się tym, co najważniejsze?

Miranda nie przesadzała. Trupio blady Brandon leżał na wąskim łóżku. Doktor ściągnął już z niego poplamione ubranie i Benedick widział jak wąska, pełna blizn klatka piersiowa jego brata ledwie zauważalnie wznosi się i opada. Jego kościste, nieco szponiaste dłonie były zakrwawione. Miranda pośpiesznie je obmywała.

- Nie powinnaś tego robić - powiedział nagle Benedick. - Powinniśmy wezwać pokojowca czy kogoś...

- Nie! - warknęła. - Im mniej osób o tym wie, tym lepiej. Poza tym muszę się czymś zająć. - Wyciągnęła rękę i odgarnęła ciemny kosmyk włosów z twarzy Brandona. - Mój biedny braciszek - wyszeptała ze łzami w oczach.

- Jest w kiepskim stanie, ale powinien wydobrzeć - wymamrotał lekarz, chudy mężczyzna o smutnych oczach. - Ilość opium, które spożył, spowolniła akcję serca. Bałem się, że w ogóle przestanie bić, ale kryzys już minął. Nawet lepiej oddycha i nie jest już taki blady.

- Nie jest taki blady? - mruknął z powątpiewaniem Benedick, patrząc na żółtobiałą twarz brata.

- Szkoda, że nie widziałeś, kiedy go tu przynieśli - powiedziała Miranda i popatrzyła na medyka. - Co możemy zrobić?

- Obserwować. Jeśli tylko nie dostanie nowej porcji opium ani niczego w tym rodzaju, jak choćby laudanum w syropie, powinien poczuć się lepiej. Proszę nie podawać mu również żadnych alkoholi. W razie potrzeby można nawet przywiązać go do łóżka, ale niech przez dwa dni nie spożywa żadnych odurzających substancji. A najlepiej przez tydzień.

- Dwa dni? - powtórzyła Miranda z oburzeniem. - Nigdy więcej nie sięgnie po to paskudztwo.

Doktor popatrzył na nią ze smutkiem.

- Z mojego doświadczenia wynika, że rzadko tak się dzieje, droga pani. To nałóg, i choć, jak sądzę, zaczął zażywać opium dla złagodzenia bólu, teraz robi to, by uciec od świata. Bardzo trudno wyjść z takiego uzależnienia. Ale poza nałogiem nic mu nie jest. Żadnych ran, żadnych połamanych kości.

- A krew? - odezwał się nagle Lucien.

Lekarz podniósł głowę.

- Nie widziałem żadnej krwi, wasza lordowska mość - powiedział spokojnie.

Lucien skinął głową.

- Zostanie pan odpowiednio wynagrodzony, jak zwykle - powiedział.

Benedick rozsierdził się jeszcze bardziej.

- To mój brat i ja się zajmę rachunkiem - warknął. - Gdyby mógł mi pan powiedzieć, dokąd przesłać pieniądze, doktorze...?

Czekał, aż lekarz mu odpowie, jednak ten tylko popatrzył na Skorpiona, po czym wzruszył ramionami.

- Najlepiej obywać się bez nazwisk - oświadczył uprzejmie. - Skorpion wie, jak się ze mną skontaktować. Rozstrzygnięcie kwestii zapłaty pozostawiam panom. - Odwrócił się do Mirandy i dotknął jej ramienia. - Proszę się nie martwić, droga pani, pacjent wkrótce wydobrzeje. Potem może pani przekonywać go, by trzymał się z daleka od opium. Życzę szczęścia. To będzie trudne zadanie.

Miranda uśmiechnęła się, po czym lekarz wyszedł.

W tym momencie Brandon uniósł powieki, rozejrzał się i ponownie zamknął oczy. Benedick zdążył jednak ujrzeć przerażenie w jego spojrzeniu.

- Budzi się! - krzyknęła Miranda z entuzjazmem.

Benedick zastanawiał się, czy jego szwagier też widział ten wzrok.

- Chodźmy na dół, skarbie, powinnaś coś zjeść - zwrócił się Lucien do Mirandy. - Za długo już tu siedzisz.

- Ale Brandon mnie potrzebuje! - oświadczyła buntowniczo.

- Brandon ma Benedicka, który bez trudu może się nim zająć i na pewno lepiej się nada do przytrzymywania mu miski, jak będzie chorował. Ty, moja droga, musisz wziąć pod uwagę dziecko i coś zjeść.

- Walczysz nie po dżentelmeńsku - poskarżyła się.

- Oczywiście, że nie, mój skarbie. - Wyciągnął rękę, a Miranda wstała po chwili wahania.

- Ale zaraz wracam, rozumiesz? - oznajmiła z uporem.

- Przydałaby ci się krótka drzemka. Wrócisz tu później. A do tego czasu twój braciszek z pewnością poczuje się na tyle lepiej, by znieść obecność bliskich... I ich entuzjazm. Niech Neddie się tym zajmie.

Benedick z trudem powstrzymał irytację, słysząc, że Skorpion naśmiewa się z jego dziecięcego przydomku.

Gdy Skorpion i Miranda wyszli, odwrócił się do łóżka. Brandon miał otwarte, pełne rozpaczycy oczy.

- Zabiłem ją, Neddie - wyszeptał chrapliwie. - Powiedziałem mu, że tego nie zrobię. Powiedziałem, że nic mnie nie zmusi, ale i tak to zrobiłem.

- Już cicho. - Benedick usiadł obok niego i wziął go za rękę. Pod paznokciami nadal była krew. - Kto ci kazał ją zabić? I kogo?

- Wielki Mistrz - wydusił z siebie Brandon. - Nikt nie wie, kim jest, ale wszyscy przysięgaliśmy mu posłuszeństwo. Powiedziałem, że nie mogę... za nic nie mogę... ale najwyraźniej to zrobiłem. Cały jestem umazany krwią... Wszędzie krew... na rękach, na nożu.

- Ale nie pamiętasz, byś kogokolwiek zabił? - Benedick chwycił się ostatniej deski ratunku.

Brandon niemal niezauważalnie pokręcił głową.

- Nie jestem pewien, ale pamiętam, że ją widziałem. To jakaś biedna służąca, praktycznie dziecko. A on kazał mi robić tak straszne rzeczy... Nie mogłem, Neddie... Nie mogłem, a jednak to zrobiłem.

- Na pewno nie - zapewnił go Benedick kojącym tonem. - Nie masz tego w sobie. Nie jesteś zabójcą i nie dręczysz kobiet.

- I tu się właśnie mylisz, Neddie. Nie masz pojęcia, co robiłem, jakie okropności widziałem. - Nawet nie wiem, ilu mężczyzn zabiłem. A co do kobiet... Nie chcesz wiedzieć. Nie umiem z tym żyć. Nawet opium nie pozwala zapomnieć... Nie do końca. Nie będę obciążał cię swoimi wspomnieniami. Jestem potworem... Wyglądam jak potwór...

Benedick patrzył na niego beznamiętnie. Brandon miał rację - nie chciał wiedzieć, ale jeśli brat pragnął się zwierzyć, wysłucha go.

Wyciągnął rękę i odgarnął włosy z twarzy Brandona, tak jak wcześniej Miranda.

- Wszystko będzie dobrze, stary - powiedział łagodnie. - Nic nigdy nie jest tak straszne, jak się wydaje.

Śmiech Brandona zabrzmiał upiornie.

- Nie. Jest o wiele gorsze. - Opadł na poduszkę i zamknął oczy. - Wybacz mi, Neddie.

Po raz pierwszy od lat Benedick miał ochotę wybuchnąć płaczem.

- Nie mam czego, braciszku - szepnął. - Zaufaj mi. Twój starszy brat wszystko naprawi...

Brandon jednak zdążył już zapaść w głęboki, pozbawiony marzeń sen. W drzwiach pojawiła się pokojówka, która odprowadziła lekarza.

- Czy jaśnie pan chce, żebym posiedziała przy chorym? - zapytała szeptem.

- Tak, dziękuję, Trudy. - Na szczęście pamiętał jej imię. Nie był najlepszym panem dla służby, ale traktował ich z dużo większym szacunkiem niż większość arystokratów. - Zawiadom mnie, kiedy znowu się obudzi.

- Doktor mówi, że będzie spał przez dobę albo dłużej, aż trucizna ulotni się z ciała. Będę go doglądać i dopilnuję, żeby spał spokojnie.

Benedick skinął głową. Ogarnął go głęboki niepokój, co było dziwne. Przecież Brandon wrócił bezpiecznie. Zabicie dziewczyny nie miałoby sensu, było zbyt wcześnie na złożenie ofiary. Zastępy zamierzały czekać aż do pełni, która przypadała tej nocy.

Oznaczało to, że jakieś biedne dziecko nadal jest uwięzione, a jutro zapewne będzie martwe. Mógł usiąść i nic z tym nie robić albo zrobić to, co uważał za słuszne. Powinien jechać do Kersley Hall i ich powstrzymać.

Usłyszał jakiś hałas, gdy szedł po schodach. Ktoś się z kimś kłócił. Benedick zatrzymał się na półpiętrze i zamarł na widok bladej, zrozpaczonej twarzy Emmy Cadbury, z którą wyklócał się jeden z lokajów.

- Jaśnie pana nie ma w domu dla kobiet twojego pokroju. Odejdź.

Gdyby to był Richmond, na pewno by jej nie odprawił.

- Proszę poczekać - powiedział Benedick i szybko zbiegł.

- Jaśnie panie, ta kobieta myszkowała po domu - poinformował go lokaj. - Chyba weszła drzwiami dla służby. Mówiła, że szuka pana, ale kucharka twierdzi, że to jedna z tych jawnogrzesznic i nie ma prawa odwiedzać domu przyzwoitego dżentelmena... Chyba że ten po nią pośle. A jaśnie pan to pewnie po nią nie posyłał, z powodu zmartwienia z bratem i w ogóle...

- Z bratem? - wtrąciła się Emma Cadbury. - Co się stało z bratem waszej lordowskiej mości?

- Nie wydaje mi się, żeby to była pani sprawa - odparł ostro Benedick. - Wśliznęła się tu pani, by się ze mną spotkać?

- Nie przyszło mi do głowy nic innego. Wiedziałam, że nikt mnie nie wpuści od frontu - burknęła.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Proszę do biblioteki - oznajmił nagle. - To wszystko - zwrócił się do lokaja, którego imienia nie pamiętał. - Proszę trzymać z dala od nas moją siostrę i jej przekłętą męża.

- Ale jaśnie panie... - zaczął lokaj, lecz było już za późno.

Benedick minął go i otworzył drzwi. Za nimi ujrzał Luciena de Malheura z bardzo ciężarną żoną na kolanach. Oboje całowali się w najlepsze.

- Cholera! - Benedick raczej nie używał tego słowa w obecności dam, jednak sytuacja była wyjątkowa, więc je powtórzył. - Cholera. Co wy robicie w mojej bibliotece? Lepiej nie odpowiadajcie. Czy nie udostępniłem wam sypialni? Tam sobie figlujcie!

- Kto to? - zapytała Miranda, zeskakując z kolan męża.

Skorpion podniósł się z miejsca, gdy pani Cadbury weszła do pokoju.

- Wasza lordowska mość nie musi mnie przedstawiać - wyszeptała. - Nie powinienam była tu przychodzić, ale nie wiedziałam, co robić.

- Proszę, by pani pozostawiła mojej decyzji to, kogo przedstawiam mojej siostrze - wycedził.

- Wobec tego ja rozwiążę problem i będę czynił honory - wtrącił gładko Lucien. - Moja droga, wydaje mi się, że odwiedziła nas pani Emma Cadbury, niegdyś jedna z naj-słynniejszych właściolek domów publicznych w Londynie; Pani Cadbury, oto moja żona, hrabina Rochdale.

Miranda uśmiechnęła się do Emmy.

- Ależ pani jest taka młoda! - zawołała. - To naprawdę wyjątkowe osiągnięcie jak na pani wiek. Jak rozumiem, przeszła pani na emeryturę?

- Mirando! - jęknął Benedick.

- Nie zapominaj, że twoja siostra wyszła za mnie, Rohan - zauważył Skorpion. - Przywykła do osób z półświatka.

- Taką osobą jestem? - zapytała pani Cadbury z przekąsem. - Cóż, nazywano mnie jeszcze gorzej. - Spojrzała na Benedicka. - Wasza lordowska mość, naprawdę musimy porozmawiać.

- Wobec tego proszę zrobić to w obecności mojej siostry i jej piekielnego męża. Co znowu wymyśliła lady Carstairs?

- Właśnie w tym problem, wasza lordowska mość. Zniknęła.

## Rozdział trzydziesty trzeci

Benedick pomyślał, że z każdą chwilą dzień przynosi coraz gorsze wieści. Zaczęło się od niepokoju o brata i irytacji na siostrę, a skończyło na panice. Dopadli Melisandę, niech Bóg ma ją w swojej opiece!

I ich również.

- Dlaczego uważa pani, że mogę cokolwiek o tym wiedzieć?

Z trudem panował nad głosem.

Emma Cadbury popatrzyła na niego z niesmakiem.

- Miałam taką nadzieję, wasza lordowska mość - odparła. - Liczyłam na to, że jest na tyle niemądra, by znowu spędzić z panem noc, i po prostu nie chciała się przyznać.

- Tak byłoby najlepiej - zauważyła Miranda.

- Jednak Melisanda wyruszyła na poszukiwania naszej małej Betsey. Obiecała, że zjawi się u pana po pomoc. Wydało mi się dziwne, że nie wysłała nam żadnej informacji. Nigdy nie porzuciłaby Betsey dla jakiegoś przelotnego romansu z zatwardziałym hulaką - dodała z goryczą.

- Nie widziałem lady Carstairs - odparł Benedick. - Ostatni raz kontaktowałem się z nią dwa poranki temu...

- Kiedy odeszła stąd we łzach - powiedziała Emma Cadbury. - Drań z pana, wasza lordowska mość.

Benedick zamrugał ze zdumieniem. Nie był przyzwyczajony, by ktokolwiek nazywał go draniem, a tym bardziej ktoś tak nisko stojący w hierarchii społecznej.

Miranda interweniowała, nim zdążył odpowiedzieć.

- Niezupełnie drań, ale prawie - zauważyła. - Na domiar złego, ten piekielny głupiec jest zakochany w lady Carstairs, ale nie chce się do tego przyznać. Mam tak strasznie dosyć twardogłowych mężczyzn i ich tępego uporu!

Lucien de Malheur wybuchnął śmiechem.

- Ty też nie jesteś wyjątkiem - warknęła.

Emma Cadbury przyglądała się Benedickowi ze sceptycyzmem w oczach.

- Nie widzę żadnych oznak miłości, lady Rochdale. Widzę okrutną, pozbawioną serca męską świnię, która wykorzystała Melisandę, odprawiła ją i...

- Dość! - zagrzmiał Benedick i wszyscy posłusznie umilkli. - Nie lubię być wyzywany we własnym domu, nie jestem draniem, hulaką ani świnią, ani też czymkolwiek, co sobie wymyślicie, moje panie. Nie dyskutuję o swoim życiu miłosnym, niezależnie od zainteresowania ewentualnych słuchaczek.

- Oraz słuchaczy - wtrącił Skorpion, a Benedick spiorunował go wzrokiem.

- A poza tym uważam, że powinniśmy zająć się obecną sytuacją lady Carstairs. Proszę mi wytłumaczyć, co się stało - zażądał.

- Przede wszystkim proszę usiąść - wtrąciła Miranda.

- Nie proponuje się krzesła właścicielce burdelu, Mirando - oznajmił Benedick sztywno.

- Przecież z tym skończyła.

- Nie chcę siadać - oświadczyła Emma. - Pragnę znaleźć Melisandę i upewnić się, że jest bezpieczna. Obawiam się, że wyruszyła tropić tych ludzi, a nie jest nawet w pańskim nieciekawym towarzystwie... Jest bezbronna!

Benedick zazgrzytał zębami, ale nie podjął rękawicy.

- Kiedy wyjechała? - zapytał.

- Wczoraj, późnym porankiem. Wynajętym powozem. Wzięła ze sobą habit, który jej uszyłyśmy, i zapowiedziała, że sprowadzi Betsey do domu. To ostatnie, co wiemy.

- Powinna pani była przyjść do mnie wcześniej - warknął.

- Zakładałam, że jest razem z panem, wasza lordowska mość. Tak mi powiedziała. Mogłam się domyślić, że coś jest nie tak. Zwłaszcza wzięwszy pod uwagę, jak przygnębiona była po powrocie stąd ostatnim razem.

Zignorował i ten cios.

- Tak, mogła się pani domyślić - powiedział lodowato i zerknął na Luciena. - Muszę wyjechać. Pewnie jest w Kersley Hall, a robi się późno. Nie wiem, czy przypadkiem nie zamierzają wykorzystać jej w tym paskudnym rytuale.

- Rozumiem, że ona nie jest... hm... dziewicą - odezwała się Miranda nieśmiało.

- To nie moja wina - burknął Benedick. - Przecież była wdową.



- Wasza lordowska mość? - W drzwiach stanął Richmond z grubym materiałem w dłoni. - Myślałem, że może to się przyda waszej lordowskiej mości.

- Co?

- Habit - odparł majordomus. - Znalazłem go wśród rzeczy pana Brandona i zabrałem w nadziei, że zaprzestanie tych... praktyk. Na nic się to jednak nie zdało.

Benedick miał ochotę uściskać staruszka, ale tylko chwycił habit i przerzucił go sobie przez ramię.

- Muszę jechać - powtórzył.

- Więc jedź. - Miranda pomachała mu ręką. - Lucien i ja podążymy za tobą, gdy tylko przygotują nasz powóz. I na pewno zdołamy zawezwać jego nieco mniej wyrafinowanych znajomych na pomoc. - Odwróciła się do męża. - Wiesz, gdzie leży Kersley Hall, skarbie?

- Z grubsza. Znajdziemy to miejsce - odparł Lucien i popatrzył na Benedicka. - Kiedy ten rzekomy rytuał ma się odbyć?

- Dziś o północy. I nawet nie myśl o zabraniu ze sobą Mirandy. Przecież jest w ciąży, na litość boską!

- Znasz ją przez całe życie. Naprawdę myślisz, że mam jakąkolwiek szansę zatrzymać ją w domu?

- Strachliwy jesteś, Skorpionie - zauważył Benedick z uśmiechem.

- Daj spokój. Twoja siostra przeraziłaby każdego.

Benedick popatrzył na Mirandę.

- Ktoś musi zająć się Brandonem - zauważył. - Nie wiem, czy Trudy da sobie radę.

- Pani Cadbury to zrobi. Nie ma pani nic przeciwko temu, prawda? - zwróciła się Miranda do Emmy. - Doktor zapewnia, że nasz brat będzie spał przez najbliższą dobę, ale czulibyśmy się lepiej, gdyby ktoś miał na niego oko.

Emma Cadbury wyglądała tak, jakby ktoś ją zapędził w kozi róg.

- Nie powinno mnie tu nawet być... Naprawdę, muszę już iść. Będą się martwić...

- Wyślemy kogoś z wiadomością do pani domu. Nie sądzi pani, że jest pierwszą osobą, którą lady Carstairs zechce zobaczyć, kiedy Benedick bezpiecznie ją tu sprowadzi? A na pewno to zrobi, prawda, Neddie?

Nie miał wyboru, musiał przytaknąć.

- Tak, bardzo proszę, niech pani zostanie, pani Cadbury - powiedział. - To byłoby bardzo uprzejme z pani strony.

Emma poddała się i skinęła głową.

- Na co czekasz? - Miranda popatrzyła na brata. - Będziemy na miejscu przed północą. Jak cię znajdziemy?

Benedick wiedział, że nie zdoła jej powstrzymać, tak jak nie zdołałby powstrzymać przyływu.

- Zróbcie zamieszanie - polecił jej. - Takie, które odciągnie uwagę ludzi od tego, co zaplanował ten tak zwany Mistrz. Jak rozumiem, twoje źródła jeszcze nie wiedzą, kto stoi na czele tych Niebiańskich Zastępów? - spytał szwagra.

Skorpion pokręcił głową.

- Zapewnię żonie bezpieczeństwo, pani Cadbury zajmie się Brandonem - oznajmił.  
- Reszta zależy od ciebie.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece - wymamrotał Benedick.

W domu panowała cisza. Emma Cadbury siedziała samotnie w bibliotece wicehrabiego. Wypiła filiżankę herbaty, jednak widok ukochanych ciasteczek Melisandy sprawił, że znowu wezbrał w niej płacz. Niepewnym ruchem przykryła tacę z ciasteczkami serwetką.

Brandon Rohan wciąż spał w sypialni na piętrze. Lady Rochdale zapewniała Emmę, że wydobrzeje. Służąca miała zawołać Emmę, gdyby się obudził. Pozostało jej tylko czekanie.

Jakby nie było wystarczająco źle, pomyślała. Teraz musi zмагаć się z pokusą. W ciągu ostatnich kilku miesięcy, odkąd opuścił szpital, pragnęła zobaczyć Brandona wiele razy, jednak nie miała takiej możliwości. Wmawiała sobie, że tak będzie najlepiej, a teraz leżał tutaj, nieprzytomny, znowu pod jej opieką.

Pewnie nawet nie będzie pamiętał, że złożyła mu wizytę. Był tylko chłopcem, mimo wieku i wszystkich okropieństw, których doświadczył, mimo determinacji, z jaką

pragnął się zniszczyć. Powinna się teraz za niego modlić, ale była zbyt przerażona. Bała się, że Melisanda nie uniknie niebezpieczeństwa, a biedna Betsey zginie.

Chyba należało się jej jedno spojrzenie na śpiącego Brandona Rohana? Tylko ku pokrzepieniu serca.

Powoli weszła na schody. Na zewnątrz robiło się coraz ciemniej. Późną wiosną wieczór przychodził znienacka. W pobliżu nie widziała służby, nawet miłego starszego pana, który przyniósł jej herbatę i powiedział, że teraz uda się na kolację, ale wystarczy, żeby zadzwoniła, jeśli będzie potrzebowała asysty.

Szła powoli, mając nadzieję, że może jeszcze się rozmyśli, ale im bliżej celu się znajdowała, tym bardziej była świadoma, iż nie zdoła przewyciężyć pokusy. Pokój Brandona znajdował się na końcu korytarza. Lady Rochdale mówiła jej, że przed drzwiami będzie siedziała pokojówka, jednak krzesło było puste.

Emma zbliżyła się i przycisnęła ucho do drzwi. Wewnątrz panowała idealna cisza, którą nagle przerwał złowróżbny huk.

Natychmiast pchnęła drzwi i ujrzała Brandona Rohana. Wisiał na sznurze pośrodku pokoju, a na podłodze leżało przewrócone krzesło. Podbiegła do wisielca, objęła go i uniosła, żeby się nie udusił.

- Ty głupcze! Ty okropny głupcze! - wykrzyknęła. - Niech cię diabli wezmą! Natychmiast przestań!

Przez chwilę walczył i kopał, ale po chwili poddał się. Zalana łzami, popatrzyła w górę. Brandon spoglądał na nią ze zdumieniem w oczach, a pętla leżała luźno wokół jego szyi.

Zahaczyła stopą o krawędź krzesła i postawiła je tak, aby Brandon mógł na nim bezpiecznie oprzeć nogi. Dopiero wtedy zwolniła uścisk. Wyjęła nóż, który zawsze nosiła przy sobie, wdrapała się na krzesło i przecięła sznur wysoko nad głową niedoszłego samobójcy.

Wtedy Brandon objął ją i spojrzał tak, jakby zobaczył ducha.

- Moja harpia... - wyszeptał i nieprzytomny osunął się na podłogę.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Gdyby dosiadał innego konia, z pewnością by nie zdążył. Na szczęście Bucefał gnał jak szalony, tak prędko, że wiosenna rosa nie miała szansy osiąść na ramionach Benedicka.

Ściągnął wodze pod zagajnikiem, w tym samym miejscu, w którym razem z Melisandą zostawili konie kilka dni wcześniej. Teraz był zadowolony, że siostra i szwagier podążają za nim, bo przecież trudno byłoby mu wierzchem odwieźć Melisandę z dziewczynką. Pomijając oczywistą niewygodę, obie potrzebowały kobiecej opieki.

Habit Brandona leżał na nim całkiem nieźle. Byli podobnego wzrostu, choć Benedick miał nieco szersze barki. Początkowo zastanawiał się, czy powłóczyć nogą, by lepiej udawać brata, lecz doszedł do wniosku, że człowiek, który usiłował obarczyć Brandona winą za morderstwo, od razu zorientuje się w podstępie. Dlatego Benedick postanowił tylko garbić się i nie zwracać na siebie uwagi.

Po ścieżkach Kersley Hall snuło się kilkanaście ubranych w habit osoby, niewątpliwie oszołomionych narkotykami, ale ku zdumieniu Benedicka, nie kierowały się one do starej mleczarni, tylko do stajni. Nie miał wyboru, musiał iść za nimi. Przy wejściu do opuszczonego budynku stał mężczyzna z uniesioną latarnią, którą świecił każdemu przybyszowi w twarz. Benedick nie mógł liczyć na to, że strażnik wpuści go do środka, w końcu nie należał do nowych, odmienionych Niebiańskich Zastępów. Wokoło kręciło się jednak zbyt wielu ludzi, aby zdołał wedrzeć się siłą.

Nie wyobrażał sobie, jak normalni ludzie mogli stać i beczynn timer patrzeć na mordowane dziecko. Rozpoznał pijacki rechot Elsmere'a oraz ostrzegawczy głos jego żony. Nie były to osoby, które wybrałyby na swoich przyjaciół, ale nie mógł uwierzyć, że są one gotowe uczestniczyć w tak odrażająco brutalnym akcie.

Zaczaił się w oczekiwaniu na odpowiedni moment, aby przystąpić do działania. Po niecałych dziesięciu minutach wszyscy wierni zniknęli w stajni, przed którą pozostał już tylko strażnik.

Benedick przyglądał mu się przez chwilę, myśląc o tym, że najchętniej sprząby go na kwaśne jabłko, ale nie miał na to czasu. Podkradł się więc bliżej, chwycił leżącą na

ziemi łopatę do przerzucania łąjna i z całej siły gruchnął mężczyzną w głowę. Strażnik padł bez czucia, nie wydawszy z siebie ani jednego dźwięku. Benedick rozpoznał jego pryszczatą twarz - był to młody okoliczny ziemianin, który niewątpliwie pragnął należeć do wyższych sfer. Benedick rozwiązał sznur, którym strażnik był przepasany, i skrepował nim jego ręce oraz nogi. Na wszelki wypadek wepchnął mu też w usta chustkę i zawłókł nieprzytomnego do jednego z boksów. Następnie podniósł latarnię i spokojnie ruszył po schodach do tunelu.

Podjeżdżał, że zebranie odbywa się w dużej komnacie centralnej. Obejrzał się za siebie, ale nie dostrzegł światła. Domyślił się, że wszyscy uczestnicy są już na miejscu.

Po chwili dotarł do pomieszczenia rozświetlonego pochodniami, mniejszego niż sala zebrań, o niższym suficie. Po dwóch stronach dostrzegł wejścia do pokoi, niewątpliwie wykorzystywanych do wszelkiego rodzaju lubieżnych zabaw. Długie, niskie stoły zastawiono półmiskami z mięsiwem, a także winem i piwem. Pośrodku znajdował się stół z owocami i warzywami, na którym leżała naga kobieta. Gdy podszedł bliżej, wstrzymał oddech. Była to Melisanda.

Rzucił się ku niej, przerażony, że przybył za późno. Na szczęście żyła i nie miała widocznych obrażeń. Położono ją tylko na wielkim półmisku, zakneblowano, skrepowano jej ręce i nogi, przywiązano do stołu, a następnie przyozdobiono ciało zieleniną, owocami i ciemnofioletowymi winogronami. Miała otwarte oczy i wpatrywała się w niego z furią i błaganiem zarazem. Pomyślał z rozbawieniem, że to dobrze, ale nie tracąc czasu, przeciął więzy nożem. Gdy tylko poczuła, że ma oswobodzone ręce, usiadła i wyciągnęła z ust zmiętą szmatkę. Benedick rozciął pęta na jej nogach, a wtedy nieoczekiwanie rzuciła mu się w ramiona, nie zważając na ostry nóż, który nadal trzymał w dłoni.

Objął ją bez wahania i pocałował, nie zważając na okoliczności. Drżała z chłodu, ale poza tym wyglądała dobrze. Nawet bardzo dobrze, pomyślał z satysfakcją.

- Byłam pewna, że nie przyjdiesz - wyszeptała. - Strasznie się bałam. A teraz oddaj mi swój habit.

- Nie mogę - odparł. - Poza tym oni oczekują, że będziesz naga.

- Nie obchodzą mnie ich oczekiwania. Oddaj habit!

Właściwie był skłonny ustąpić, ale jej ton sprawił, że postanowił nagle obstawać przy swoim.

- Potrzebuję go bardziej niż ty. Powinnaś położyć się z powrotem na stole i leżeć nieruchomo. To najlepsza kryjówka.

Chwyła go za sznur przy habicie i szarpnęła.

- Nie jestem w nastroju na żarty. Habit!

Niechętnie ściągnął szatę i wręczył ją Melisandzie. Miał czarną odzież, która dobrze go maskowała w mrocznych podziemiach.

- Musisz uciekać - polecił. - Ja znajdę Betsey i wkrótce do ciebie dołączymy.

- Nawet nie wiesz, jak wygląda - mruknęła z powątpiewaniem.

- A ile dzieci przywlekli tu, aby złożyć je w ofierze?

- Naprawdę nie wiem - powiedziała poważnie.

Benedick popatrzył na nią z góry i zmarszczył brwi.

- A zatem nie zamierzasz wyjść z podziemi, choć tutaj grozi ci niebezpieczeństwo?

- Na pewno nie ucieknę, dopóki gra toczy się o czyjeś życie - oznajmiła.

- Zapewniam cię, że tej nocy najprawdopodobniej zginie tylko jedna osoba: człowiek, który jest sprawcą tego całego koszmaru.

- Czy przypadkiem nie był nim twój przodek? - zainteresowała się

- Tak, ale wówczas chodziło jedynie o orgie... Teraz to okrucieństwo. Ktokolwiek za tym stoi, nie doczeka poranka. Wmówił Brandonowi, że zabił młodą kobietę... Bardzo się postarał, aby namieszać mu w głowie... Musi ponieść karę!

Melisanda wpatrywała się w Benedicka przez dłuższą chwilę.

- Cudownie - mruknęła w końcu. - Czy przed pomszczeniem twego brata moglibyśmy uratować Betsey, jeśli łaska?

Najwyraźniej znowu wykazał się nietaktem, ale nie miał czasu na roztrząsanie tego. Musiał działać.

- Nie sędzę - mruknął i zanim się zorientowała, rąbnął ją pięścią w szczękę.

Melisanda momentalnie straciła przytomność. Złapał ją, zanim upadła na twarde podłoże. Nigdy w życiu nie uderzył kobiety, nawet nie brał tego pod uwagę, ale dla ratowania jej życia był gotów zrobić wszystko.

Przez moment trzymał ją w ramionach i spoglądał w jej spokojną twarz.

- Wybacz, najdroższa - wyszeptał i musnął wargami jej usta. - Ale nie mogę cię narażać. Potem będziesz mogła mnie zabić.

Tuląc ją mocno, przeszedł do jednego z bocznych pomieszczeń i ułożył ją na ster- cie poduszek. Powinien zabrać habit, ale nie mógł zostawić Melisandy nagiej i bezbron- nej.

Sięgnął po sznur od habitu i skrępował jej nadgarstki, na tyle luźno, żeby mogła się sama oswobodzić, gdyby nie wrócił. Nie miał żadnej pewności, że jego misja się powie- dzie. Pocieszał się jednak, że prędzej czy później nadciągnie Skorpion z Mirandą i posił- kami.

Cofnął się szybko i odwrócił, żeby nie zmienić zdania. Gdy wyszedł, Melisanda otworzyła oczy. Po silnym ciosie bolała ją szczęka, a upadek wcale nie był udawany. Szybko doszła do wniosku, że walka z silniejszym Benedickiem jest z góry przegrana, więc udawała nieprzytomną, gdy ją całował.

Na dodatek powiedział do niej „najdroższa”... Czy mówił poważnie? Nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Postanowiła, że mu wybaczy, jeśli ją kochał. Jeśli nie, zginie marnie z jej ręki!

Szarpnęła sznur, który krępował jej nadgarstki, i z łatwością oswobodziła rękę. Powoli wstała, nadal oszołomiona po ciosie, i na bosaka ruszyła za Benedickiem. Mijając stół, poczuła głód, więc zabrała ze sobą winogrona, aby pokrzepić się przed walką.

Z oddali dobiegał chór ludzi, skandujących jakieś niezrozumiałe słowa. Nigdzie nie widziała Rohana. Czyżby pojмали go tak szybko? Po jej plecach przebiegł zimny dreszcz. Wstrzymała oddech, modląc się, by nie było za późno. Czy miała szansę samotnie ura- tować biedną Betsey?

Kiedy dotarła do korytarza, prowadzącego bezpośrednio do wielkiej sali, ujrzała niezliczone świece, których blask rozjaśniał cienie. Przed sobą dostrzegła Benedicka. Odstawił latarnię, przywarł plecami do ściany jaskini i po sekundzie znikł Melisandzie z oczu. Był tak skupiony, że w ogóle jej nie zauważył.

Oparła się o ścianę i zamarła. Pomyślała z przerażeniem, że Benedick miał słuszość. Powinna uciec, aby mu nie przeszkadzać, bo i tak miał niewielkie szanse na powodzenie.

Odetchnęła głęboko, zamknęła oczy i ponownie zmówiła modlitwę.

TLR



## Rozdział trzydziesty piąty

Benedick stał bez ruchu. Zebrani skandowali głośno jakieś zbitki nic nieznaczących sylab. Miał nadzieję, że Skorpion z pomocą jest blisko, gdyż sytuacja gwałtownie wymykała się spod kontroli.

- Czyżby ktoś do nas dołączył? - rozległ się łagodny, dziwnie znajomy głos z komnaty.

Benedick zmełł w ustach przekleństwo. A zatem nadszedł czas. Bez słowa wyszedł na środek sali, zadowolony, że przynajmniej Melisandzie chwilowo nic nie grozi.

Skandowanie nie ustało, gdy wkraczał do przestronnego pomieszczenia. Zebrani nie zachowywali się tak, jakby go dostrzegli, choć ich twarze ukryte pod kapturami były skierowane ku górze. Wszyscy klęczeli wokół ołtarza, ustawionego w centralnym punkcie podłogi. Na drewnianej, ukwieconej konstrukcji leżała dziewczynka w koronkowej białej sukni. Miała czyste włosy, które spływały wokół jej zdumiewająco spokojnego oblicza. Benedick liczył na to, że narkotyk, którym potraktowano nieszczęsne dziecko, był na tyle mocny, aby nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje. Dzięki temu miał większe szanse wyrwać ją z rąk oprawców.

Przed ołtarzem stał Wielki Mistrz z ozdobnym sztyletem w dłoni, a na podłodze leżało kilka tac, zapewne po to, by zebrać krew ofiary. Benedick wolał nie myśleć o tym, co ci ludzie zamierzają zrobić z posoką.

- Oczekiwałem ciebie - powiedział Mistrz i przeszedł na drugą stronę ołtarza. Wyraźnie kuśtykał, niewątpliwie po to, by udawać Brandona. Jego twarz była zakapturzona, więc odurzeni wyznawcy z pewnością uwierzyliby potem w winę młodego Rohana. - Jak mniemam, uwolniłeś już tę męczącą kobietę. Wygląda na to, że darzysz ją uczuciem. Miłość... To sentymentalna bzdura. Na szczęście nigdy nie było mi dane zaznać tego żenującego uczucia. Szkoda, że dałeś się usidlić, ale wciąż jesteś mile widziany w naszym kręgu. Zawsze możesz sprowadzić ją tutaj, do sali bankietowej. Napoimy dziewczkę winem, a wtedy zrobi wszystko, co zechcemy. Nim wrócisz, złożymy już ofiarę, więc nawet nie będziesz jej świadkiem.

- Znaleźliśmy Brandona w palarni opium, tam gdzie go zostawiłeś - wycedził Benedick. - Ci idioci w habitach mogą sobie myśleć, że nim jesteś, ale ja znam prawdę.

- Problem w tym, przyjacielu, że oni ciebie nie słyszą. Odmieniłem ich stan świadomości, a to dzięki narkotynom, którymi zaprawiłem wino. Nieobce są mi także techniki kontroli umysłów. Gdy moi wierni się ockną, będą pamiętać tylko to, co im się teraz wydaje. A myślą, że widzą twojego okulałego brata, który za moment poderżnie gardło tej niewinnej dziewczynce i zbryzga ich wszystkich krwią.

Benedick nagle usłyszał za plecami jakiś hałas. To Melisanda. Piekielna kobieta, pomyślał.

- Ale ja nie jestem otumaniony i od razu cię poznałem - warknął.

Wielki Mistrz zachichotał znajomo. Zebrani nie przestawali głośno skandować.

- Oczywiście, przyjacielu. Spodziewałem się tego.

- Moi ludzie tu idą. Nie wymkniesz się im, więc lepiej uwolnij dziewczynkę. Jeszcze nie jest za późno. Puść ją, a będziesz mógł uciec na kontynent i nikt za tobą nie ruszy w pościg.

- Niby czemu mam to robić, skoro mogę mieć wszystko, czego zapragnę? - zasyzczał Mistrz. - Nie doniesiesz na mnie, w grę wchodzi reputacja zbyt wielu ludzi. Nikt z tu obecnych nie będzie chciał przyznać, że uczestniczył w czymś tak haniebnym, a jeśli ich zdradzisz, z pewnością zgodnie potwierdzą, że dziewczynę zaszlachtował twój brat. Co do twoich rzekomych posiłków... Nie masz ich. Większość ludzi, których uważasz za przyjaciół, zebrała się już w tej komnacie. Pogódź się z tym, Rohan. Zwyciężyłem, a to dopiero początek.

Uniósł nóż nad głowę, a wtedy jego kaptur odchylił się na tyle, by odsłonić uśmiechniętą twarz Harry'ego Mertona.

- Nie! - krzyknął Benedick, rzucił się przed siebie i przeskoczył nad ołtarzem.

Nie wszyscy wierni byli jednak tak oteńiali, jak się zdawało. Harry uskoczył, a Benedick poczuł, że dwóch roślących mężczyzn chwytają go za ręce. Bez namysłu wymierzył potężnego kopniaka napastnikowi z lewej, miażdżąc mu kolano i posyłając go na ziemię. Drugi agresor otrzymał silny cios pięścią w twarz. Rozległo się złowrogie chrupnięcie łamanej kości i spod kaptura spłynęła struga gorącej krwi. Mężczyzna ryknął z bólu i od-

rzucił kaptur, odsłaniając zmasakrowane oblicze, w którym Benedick z pewnym trudem rozpoznał Penningtona.

Pozostał mu na drodze tylko Harry Merton, z kpiącym uśmiechem na twarzy i bogato zdobionym nożem w dłoni. Znajdował się bliżej ofiary niż Benedick, więc nie było szansy go powstrzymać.

- Dalej, Rohan, przyjacielu - zachęcił Benedicka. - Rozprawiłeś się z moimi najlepszymi ludźmi, więc teraz na pewno nie odstępisz. A może dociera do ciebie, że zdążę wybebeszyć tego bachora, nim choćby drgniesz? To będzie sygnał do zabawy, której nawet ty nie powstrzymasz. Moi wierni schwycą cię i unurzają w niewinnej krwi. Gwarantuję, że ktoś wpakuje ci nóż między żebra, nim sobie uświadomisz, co się dzieje.

- Skoro mam zginąć, to ty razem ze mną - warknął Benedick.

Natarł na Harry'ego Mertona, gotów rozszarpać mu gardło gołymi rękami. Wtedy usłyszał krzyk Melisandy, dobiegający z oddali, ale nie zatrzymał się. Pędził ku Mertonowi, kiedy nagle cały świat runął mu na głowę.

## Rozdział trzydziesty szósty

Melisanda wrzasnęła rozpaczliwie. Miała wrażenie, że jest świadkiem końca świata. Więc tylko zasłoniła głowę rękami, gdy walił się sufit komnaty, a spadająca ziemia i kamienie przygniatały ludzi w habitach. Coś uderzyło ją między łopatki tak silnie, że na moment straciła dech i padła na kolana, krztusząc się.

Staczające się głazy i osuwająca gleba powoli nieruchomiały. Na szczęście nie było już słyhać upiornego skandowania, choć „wierni” nadal klęczeli w bezruchu dookoła ołtarza. Melisanda podniosła wzrok, wypatrując Benedicka, ale nigdzie go nie dostrzegła i omal nie wpadła w histerię. Jeśli umarł... Jeżeli był ranny... - kołatały się jej w głowie pytania.

Wtedy zauważyła, że na ołtarzu ktoś się porusza. To Benedick, cały w pyle i brudzie, powoli odgarniał ziemię z Betsey. Osłonił dziecko własnym ciałem! W ostatniej sekundzie rzucił się na ratunek niewinnej dziewczynce, choć podobno nie miała ona dla niego żadnego znaczenia. Melisanda omal nie wybuchnęła płaczem.

Rozejrzała się w poszukiwaniu Harry'ego Mertona i dostrzegła ciało przygniecione głazem. Odetchnęła z ulgą. Ten człowiek nie zagrazi już nikomu, pomyślała.

Dotarła do ołtarza i zabrała się do rozpinania skórzanych pasów. Nagle zerknęła w górę, na niebo. Na skraju osuwiska stała młoda kobieta w zaawansowanej ciąży.

- Hej tam, na dole! - krzyknęła nieznajoma. - Żyjecie?

Benedick obrzucił Melisandę uważnym spojrzeniem, a potem odsunął się od ołtarza i uniósł głowę.

- To było skuteczniejsze, niż zakładałem, siostrzyczko! - krzyknął. - Można powiedzieć, że świat zwałił się nam na głowy.

- Skąd mogliśmy wiedzieć, że znajdujemy się bezpośrednio nad tobą, Neddie? - spytała kobieta ze skruchą. - Ktoś jest ranny?

- Tylko ci, którzy powinni. Harry Merton nie żyje.

- Mój Boże, nie! - jęknęła Miranda.

- Mój Boże, tak. To on był Wielkim Mistrzem - wyjaśnił Benedick. - Sprowadź Luciena, niech zabierze stąd kobiety. Podczas wybuchu zawaliła się jaskinia prowadząca do schodów.

Jego siostra znikła, a on sam ostrożnie odsunął Melisandę od ołtarza i dokończył odpinanie Betsey. Wziął ją na ręce i przeniósł do podnóża osuwiska. Przerzucił dziewczynkę przez ramię i wszedł po spuszczonej drabinie. Następnie wrócił do Melisandy.

- Co zamierzasz zrobić z Niebiańskimi Zastępami? - spytała.

- Zostaw tę sprawę nam. Nie musisz być odpowiedzialna za wszystko. - Ze zniecierpliwieniem podał jej rękę. - Idziesz?

- Nie, pomyślałam, że zostanę tutaj w towarzystwie bandy degeneratów oraz jednego trupa - burknęła ze złością.

Ignorując jego rękę, podeszła do drabiny. Gdy pokonała pierwsze stopnie, ktoś chwycił ją mocno i wciągnął. W jasnym blasku księżyca Melisanda ujrzała wokół siebie gromadkę podejrzanie wyglądających osób, zapewne kryminalistów.

Ciężarna kobieta otuliła Betsey kocem i szeptała do niej łagodnie.

- Lady Carstairs? - przemówił ktoś niskim głosem.

Odwróciła się w jego stronę i ujrzała poorly bliznami twarz przystojnego mężczyzny. Stał o lasce, więc domyśliła się jego tożsamości.

- Pan Brandon Rohan? - spytała.

- Och, bynajmniej. - Wzdrygnął się. - Choć chyba odnieśliśmy podobne rany. Zapewniam jednak panią, że w moich żyłach nie płynie dzika krew Rohanów, czego nie mogą o sobie powiedzieć moje dzieci. Jestem Rochdale, a ta dama przy nadziei to moja połowica. Pozwoli pani, że ją odprowadzę do powozu...

- Łapy przy sobie, Skorpion! - warknął złowrogo Benedick, wyłaniając się z zawalonego tunelu.

- Nawet jej nie dotknąłem, stary druhu! - oświadczył Lucien z anielskim uśmiechem. - W istocie jednak myślałem, że jej nie chcesz.

- Ja... - Benedick zawiesił głos.

Melisanda poczuła, że jej radość znika. Skierowała spojrzenie na Rochdale'a.

- Byłabym wdzięczna za odwiezienie mnie do domu, wasza lordowska mość - poprosiła. - Przyznaję, że padam z nóg.

Miranda podprowadziła do nich oszołomioną Betsey.

- Już dochodzi do siebie - zapewniła Melisandę. - Niewiele kojarzy i martwi się o panią.

- Och, Betsey - szepnęła Melisanda, obejmując dziewczynkę. - A ja obiecywałam, że nic ci nie grozi.

- To nie pani wina - zauważyła Miranda pogodnie. - A poza tym mała i tak niewiele zapamięta. - Obejrzała Melisandę od stóp do głów. - A więc to w pani zakochał się mój brat. Szkoda, że jest idiotą... Wygląda pani na zmordowaną. - Przeniosła wzrok na Luciena. - Kochany, odwieź je do miasta. Benedick wróci później, kiedy już zrobi porządek.

Jej mąż pokiwał głową.

- Jak zamierzasz rozwiązać sprawę Niebiańskich Zastępów? - spytał.

- Najchętniej zasypałbym tę dziurę, wraz z tymi szaleńcami - wtrącił się Benedick. - Ale nie możemy tego zrobić. Ponosimy za to część odpowiedzialności. - Spojrzał na Melisandę. - Muszę z tobą porozmawiać.

- Nie teraz, Neddie. - Miranda wzięła Melisandę i Betsey za ręce. - To może zaczekać, aż wrócisz do Londynu.

Po chwili Melisanda wsiadła do luksusowego powozu, a za nią Betsey i lady Rochdale.

- Zostaniesz tutaj z Benedickiem, niech zanadto nie przeciąga sprawy - zwróciła się do męża ta ostatnia. - Podejrzewam, że cierpliwość lady Carstairs jest na wyczerpaniu.

Skorpion zrobił zrezygnowaną minę.

- Znajdzie się dla mnie jakiś wierzchowiec? - spytał.

- Ludzie Jacoba z pewnością o wszystkim pomyśleli - odparła Miranda. - Dasz sobie radę. Poczekamy na twój powrót.

Powóz ruszył tak raptownie, że Melisanda zatrzęsała się na wertepach. Betsey od razu zwinęła się w kłębek i zasnęła. W blasku księżycy niewiele było widać, ale lady Rochdale najwyraźniej była w nastroju na pogawędkę.

- Jak rozumiem, mój brat nielecho namieszał - zauważyła.

Melisanda postanowiła czym prędzej uciąć rozmowę.

- Lady Rochdale, mam za sobą niebywale wyczerpujące dni - powiedziała. - Uderzono mnie w głowę, porwano, znęcano się nade mną, a na dodatek byłam świadkiem śmierci człowieka. Czy mogłybyśmy kontynuować tę dyskusję kiedy indziej?

- Droga Melisando... O ile mogę zwracać się tak do ciebie. Wcale nie zamierzasz kontynuować tej rozmowy, i być może druga taka okazja się nie nadarzy. Dlatego równie dobrze możemy zamienić słowo teraz, póki rany są ciągle świeże. Mów mi po imieniu, w końcu będziemy szwagierkami. Jestem Miranda.

- Co za absurd! - burknęła Melisanda z irytacją. - Nic nie zobowiązuje go starać się o moją rękę!

- Dziwnie to ujęłaś - zauważyła Miranda. - Jesteś jednak w błędzie. Neddie bez nadziejnie się w tobie zakochał.

Melisanda policzyła do dziesięciu, bezskutecznie próbując się opanować.

- Ostrzegam cię, Mirando, zaraz zacznę wrzeszczeć, a nie chcę niepokoić Betsey - warknęła.

- Proszę, zrozum... - ciągnęła niezrażona. - Mężczyźni nie przyznają się do słabości i nie umieją mówić o uczuciach. To dlatego często udają niewzruszonych... Poza tym, Benedick przeżył śmierć żon...

- I nadal je opłakuje, jak mniemam - przerwała Melisanda, bo wcale nie miała ochoty tego słuchać.

- Nie w tym rzecz. Śmierć Annis odebrała mu radość życia, śmierć Barbary go zalała, ale obie już opłakał. Boi się, że straci także ciebie...

Melisanda była bliska hysterii.

- Nie wierzę w to! - krzyknęła. - Wiem, że zamierzał oświadczyć się Dorothei Pennington, tylko po to, by dała mu potomka.

- Chciał się z nią związać wyłącznie dlatego, że jej nie kochał - wyjaśniła jej Miranda.

Melisanda wstrzymała oddech.

- To okropne - zauważyła w końcu.

- I owszem. Nigdy nie twierdziłam, że mój brat to pocziwina, choć w porównaniu z moim mężem jest niewinnym jagniątkiem. Jednak szczerze powiedziawszy, trudno mi wykrzesać w sobie współczucie dla Dorothei Pennington.

Szczerze słowa hrabiny rozbawiły Melisandę i wbrew sobie zachichotała.

- Już lepiej... - Miranda uśmiechnęła się. - Ciebie na pewno nie chciałby stracić, więc postanowił cię zniechęcić do siebie. Zachował się głupio, ale wszyscy mężczyźni to głupcy. Zwłaszcza ci zakochani.

- Przestań wreszcie to powtarzać! - jęknęła Melisanda. - On mnie nie kocha.

- Znam brata lepiej niż ty - zauważyła Miranda. - Jest beznadziejnie zakochany, ale nie chce się do tego przyznać. Jak mniemam, odwzajemniasz jego uczucia - inaczej nie byłabyś taka urażona i wściekła.

- Jestem ledwie poirytowana. Poza tym on mnie wcale nie obchodzi.

- Kłamczucha - powiedziała Miranda wesoło. - A może się mylę?

- Nie myślę trzeźwo.

Miranda uśmiechnęła się, czując, że resztki jej wątpliwości rozwiewają się bez śladu.

- Powinnaś ukarać jego, a nie siebie, Melisando - oznajmiła stanowczo. - A jedynym sposobem, by to osiągnąć, jest wyjście za niego za mąż.



## Rozdział trzydziesty siódmy

Melisanda obudziła się dopiero, gdy powóz stanął. Oszołomiona snem, uświadomiła sobie, że ktoś otwiera drzwi, rozkłada schodki, a następnie bierze Betsey na ręce. Byli na Bury Street.

- Wolałabym wrócić do domu - szepnęła sennym głosem.

- Myślę, że Betsey powinna natychmiast trafić do łóżka - oświadczyła Miranda. - A poza tym czeka tu na ciebie przyjaciółka.

- Moja przyjaciółka?

- Pani Cadbury - sprecyzowała Miranda.

- Emma przenigdy by tutaj nie przyszła.

- Zrobiła to tylko dlatego, że groziło ci niebezpieczeństwo. Nalegałam, by na ciebie zaczekała i przy okazji doglądała Brandona. Biedaczysko jest w kiepskiej formie po tym całym opium i innych medykamentach, które wpompował w niego ten łotr Merton. Ale jeśli nalegasz, powiem woźnicy, by odwiózł was wszystkie do domu. Zanim to jednak zrobię, proszę, byś na moment weszła do środka. Benedick nadal jest w Kencie, nie obawiaj się więc, że na niego wpadniesz.

Melisanda musiała przyznać, że nie sposób wygrać z hrabiną Rochdale.

Po wejściu do budynku natychmiast przystąpiła do wydawania poleceń.

- Richmond, lady Carstairs ma ochotę na przyjemną, gorącą kąpiel. Przeszła ciężkie chwile i jest cała umorusana. Czy mógłbyś też znaleźć dla niej stosowne odzienie spośród moich rzeczy? Obawiam się, że straciła swoje ubranie.

Majordomus ukłonił się nisko.

- W jednej chwili, lady Rochdale - odparł. - Zapewne nie od rzeczy będzie, jeśli podam gorącą herbatę i ciasteczka? Jego lordowska mość kazał kucharce przygotować zapas na wypadek wizyty lady Carstairs.

Melisanda dopiero po chwili zrozumiała sens tych słów i po jej policzkach spłynęły łzy. Hrabina natychmiast wzięła ją w objęcia, a Richmond wycofał się w popłochu.

- No już, kochana - wyszeptała. - Wiem, było ci bardzo ciężko. Ale zaraz się wykąpiesz, ubierzesz jak człowiek i coś zjesz. Od razu poprawi ci się samopoczucie. Richmond, gdzie jest przyjaciółka lady Carstairs?

- Wróciła do Gołębniczka... To znaczy do Carstairs House, lady Rochdale. Została list dla lady Carstairs, zapewniając, że lady zrozumie.

- Dziwne - zauważyła Miranda. - A panicz Brandon?

- Upadł. Trudno powiedzieć, jak do tego doszło, ale pani Cadbury go znalazła i znowu wezwaliśmy doktora. Panicz Brandon jest nieco zatruty alkoholem, ale dochodzi do siebie, choć wydaje się dość poobijany.

Melisanda wyczuła napięcie w ramionach Mirandy.

- W takim razie sama będę przy nim czuwać - zdecydowała spokojnie. - Zechciej zająć się lady Carstairs, jeśli łaska, i znajdź jakieś ciepłe łóżko dla tego oto zblakłego ja-gniątka. - Betsey spała jak kamień na jednym z foteli w holu.

- Tak jest, lady Rochdale.

- Powinam wracać do domu... - zaczęła ponownie Melisanda, ale Miranda natychmiast jej przerwała.

- Dość! - oznajmiła. - Ta noc była ogromnym wyzwaniem także dla mnie, a pewnie zauważyłaś, że jestem przy nadziei. Zrób to dla mnie i idź z Richmondem. Otoczy cię doskonałą opieką.

Melisanda umilkła posłusznie. Hrabina miała rację. Ciepła kąpiel znakomicie regenerowała ciało i umysł, a po przeżyciach ostatnich godzin należało jej się nawet więcej niż chwila odpoczynku.

Do pomocy przy ubieraniu się otrzymała osobistą pokojówkę Mirandy. Dopiero podczas wkładania butów Melisanda zauważyła, że nadal ma spuchniętą i obolałą kostkę.

Herbatę i ciastka spożyła samotnie w sypialni, gdy służba wyniosła już wannę, a pokojówka wróciła do swojej pani. List od Emmy leżał na tacy, ale Melisandzie trudno było zrozumieć jego treść. Zawierał tylko kilka niejasnych zdań i zapowiedź wytłumaczenia wszystkiego w późniejszym terminie.

W końcu Melisanda usłyszała stukot pośpiesznych kroków na schodach i od razu wiedziała, kto idzie - wicehrabia kulał, a służba zawsze korzystała z tylnych schodów.

Kilka sekund później drzwi sypialni otworzyły się gwałtownie i na progu stanął zaszepiony Benedick. Był od góry do dołu wysmarowany błotem, choć zdążył obmyć twarz. Pachniał nocnym powietrzem, koniem i potem, ale także przyprawami korzennymi. Melisanda siedziała nieruchomo, czekając z niepokojem na to, co się miało zdarzyć.

- Żadnych dzieci - oznajmił nieoczekiwanie.

- Co proszę? - Zamrugła ze zdumieniem.

- Biorę to pod uwagę tylko dlatego, że zapewne jesteś jałowa. Nie będzie żadnych dzieci, czy wyrażam się jasno?

Rozumiała doskonale, ale wcale nie zamierzała ułatwiać mu zadania.

- Co bierzesz pod uwagę? - zapytała spokojnie.

Przeczesał dłonią włosy, a z jego ręki posypał się grad drobin zaschniętego błota.

- Małżeństwo. To roztropne posunięcie.

- Roztropne? Gdzieżby tam! - zachnęła się. - Wszak potrzeba ci następcy, a ja ci go nie ofiaruję. Już mówiłam, że powinieneś uczynić ze mnie swoją kochankę.

- W żadnym razie. Wyjdiesz za mnie, i do czarta z następcą. Mam dwóch braci oraz siostrzeńca, którzy mogą odziedziczyć tytuł. Spadkobierca nie jest istotny.

- Więc co jest istotne? - zapytała Melisanda.

Milczał przez chwilę, a potem rzucił się ku niej tak gwałtownie, że cofnęła się przestraszona. Następnie padł na kolana i objął ją z całej siły.

- Wyjdiesz za mnie - zapowiedział z twarzą wtuloną w jej ramię. - Kocham cię, do diaska. Wbrew rozsądkowi i wbrew woli uwielbiam cię, każdy skrawek twojego ciała, każde wypowiedziane przez ciebie słowo i wszystko, co robisz z typowym dla siebie, bezsensownym uporem. Chciałem cię zniechęcić, ale nie mogę oderwać od ciebie rąk. Kocham cię i jestem zmęczony walką z własnym uczuciem.

- A jeśli ja ciebie nie kocham?

Zrobił szczerze zdumioną minę i Melisanda zachichotała, rozbawiona jego niedowierzaniem.

- Bez obaw - pocieszyła go. - Kocham cię. Pomyślałam tylko, że przez chwilę się nad tobą poznęcam.

Pocałował ją mocno, wsunawszy dłonie w jedwabiste włosy Melisandy.

- Jestem strasznie brudny - zauważył. - Cuchnę... a ty jesteś taka świeża i słodka.
- Będę musiała wziąć jeszcze jedną kąpiel - zamruczała, rozpinając guziki.

TLR

# Epilog

To była niespokojna noc w Somerset.

Benedick, wicehrabia Rohan, siedział na sofie w swoim gabinecie, podczas gdy ojciec nalewał mu kolejną dużą szklanekę z aczej szkockiej whisky.

- W takiej sytuacji tylko mocny trunek może pomóc - orzekł ze znanstwem Skorpion, człowiek tolerowany w tym domu tylko ze względu na uwielbiającą go Mirandę. - Pij, mój stary. Wkrótce będzie po wszystkim.

Na zewnątrz szalała burza. Wewnątrz Benedick wodził wokoło dzikim spojrzeniem. Był gotów wybiec z domu, dosiąść Bucefała i pogalopować na urwiska, by runąć w przepaść, ale ojciec i Lucien pilnowali drzwi, więc zadowalał się kolejnymi dolewkami przedniego alkoholu.

- Bardzo z nim źle? - Charlotte, markiza Haverstoke, zajrzała przez uchylone drzwi.

Wyglądała całkiem atrakcyjnie, nawet jak na swój wiek. Jej rude włosy były przetkane siwizną, a w oczach widać było współczucie dla najstarszego syna.

- Zapewne przedstawia gorszy widok niż twoja synowa - odparł Adrian z uśmiechem.

Charlotte pokiwała głową.

- W istocie - westchnęła. - Niedługo będzie po wszystkim.

Adrian zaniepokoił się lekko.

- A dziewczyna? Wszystko z nią w porządku, prawda?

- Jest silna jak koń - zapewniła go Charlotte. - Nie żałujcie mu whisky.

Świtało, gdy drzwi otworzyły się ponownie. Benedick niestety nie umiał upić się do nieprzytomności i tylko siedział bez ruchu, mamrocząc coś pod nosem o odebraniu sobie życia. Był pewien, że jego żona już nie żyje.

- Jest żaloszny - mruknęła Miranda, podchodząc do kominka.

- Nie bądź dla niego zbyt surowa, kochanie - zaproponował Lucien. - Ma fatalne doświadczenia.

- Już nie - odparła zwięźle. - Melisanda urodziła syna z taką łatwością, że sama jej zazdrościć.

Położyła dłoń na lekko zaokrąglonym brzuchu.

- Syna? A więc to chłopak? - Adrian uniósł głowę, nie mniej pijany od syna i Luciena.

- Masz wnuka, Charlesa Edwarda, na cześć twojego brata, który umarł w młodości - oznajmiła ojcu córka.

Adrian zamrugał, gdyż jego oczy nagle zaszły łzami.

- Czyj to był pomysł? - spytał chrapliwie.

- Och, Melisandy. Benedick nie zamierzał wymyślać żadnych imion, bo był pewien, że przyjdzie mu po raz trzeci przygotowywać pogrzeb żony i dziecka.

- Czy oboje są w dobrym zdrowiu?

- Sam posłuchaj. - Miranda otworzyła drzwi i z głębi holu dobiegł ich donośny, przenikliwy wrzask noworodka.

Benedick uniósł głowę, zupełnie jakby nagle wyparowała z niego cała szkocka, którą wypił.

Miranda uśmiechnęła się do niego.

- Chodź, mój dzielny braciszku - powiedziała. - Żona i syn chcą cię zobaczyć.

